

ADELA JUROWSKA



*Jak być tą trzecią i nie zwariować?
Co ważniejsze: przyjaźń czy miłość?
Jak się wywinąć i zacząć prawdziwe życie?*

NA TROJE

babka wróżyła



SERIA POD GRUSZĘ

Adela Jurowska

NA TROJE BABKA WRÓŻYŁA

S E R I A P O D G R U S Z Ę



Redakcja: Paulina Płatkowska
Korekta: Anita Rejch/ Dolina Literek
Projekt okładki: Roman Marek/Project
Zdjęcie na okładce: Artur Bogacki/shutterstock, Ivanko80/shutterstock

Copyright © Adela Jurowska, 2017
© Copyright for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

Skład i łamanie: TYPO

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4566-8

Wydanie pierwsze
Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo

Spis treści

[Rozdział 1.](#)

[Rozdział 2.](#)

[Rozdział 3.](#)

[Rozdział 4.](#)

[Rozdział 5.](#)

[Rozdział 6.](#)

[Rozdział 7.](#)

[Rozdział 8.](#)

[Rozdział 9.](#)

[Rozdział 10.](#)

[Rozdział 11.](#)

[Rozdział 12.](#)

[Rozdział 13.](#)

[Rozdział 14.](#)

[Rozdział 15.](#)

[Rozdział 16.](#)

[Rozdział 17.](#)

[Rozdział 18.](#)

[Rozdział 19.](#)

[Rozdział 20.](#)

[Rozdział 21.](#)

[Rozdział 22.](#)

[Rozdział 23.](#)

[Rozdział 24.](#)

[Rozdział 25.](#)

[Rozdział 26.](#)

[Rozdział 27.](#)

[Rozdział 28.](#)

[Rozdział 29.](#)

[Rozdział 30.](#)

[Rozdział 31.](#)

[Rozdział 32.](#)

[Rozdział 33.](#)

[Rozdział 34.](#)

[Rozdział 35.](#)

Rozdział 1.

Znów wracała z Francuskiej taksówką. Najczęściej korzystała z dwóch korporacji: jedni mieli trochę niższe ceny, u drugich można było płacić kartą. Zawsze się przez chwilę zastanawiała. Tym razem wybrała tych od karty. Wiedziała, że o zamiarze jej użycia należy wcześniej powiedzieć taksówkarzowi, bo inaczej byli wściekli, że czegoś tam wcześniej nie włączyli i po dojechaniu trzeba było dłuższą chwilę czekać.

Lala miała zostać jeszcze przez parę minut przy stoliku kawiarni, w której się czasem umawiały i w której spędziły wieczór. Pomachała jej, widząc, jak przyjaciółka odjeżdża taksówką. Miała dopić swoje wino i pójść do domu, ze sto metrów dalej. Kaśka natomiast kazała się wieźć do siebie na Noakowskiego.

– U pana można płacić kartą, prawda? – spytała z tylnego siedzenia.

– Nno... można... A pani by chciała? – I tak był niezadowolony.

– Tak – odpowiedziała zdecydowanie.

Taksówkarz, wzdychając, wyciągnął spod siedzenia terminal do karty, coś w nim popstrykał i odłożył na fotel obok siebie. Pewnie im chodzi o prowizję, którą muszą płacić przy transakcjach kartą. Poza tym któryś jej kiedyś tłumaczył, że forsa z karty trafia do nich z dużym opóźnieniem. „Cholera, firma się reklamuje, że przyjmuje karty płatnicze, a jak przychodzi co do czego, to zawsze musi być jakaś psychodrama!” – wściekała się w duchu.

Taksówkarz też miał naburmuszoną minę. Ale spoglądał na jej odbicie we wstecznym lusterku i stopniowo się rozpozadzał. Kaśka była przyzwyczajona do aprobujących spojrzeń facetów. Ten zrobił teraz gest, jakby chciał poprawić lusterko, żeby mieć lepszy widok („Pewnie cycków nie widzi”), ale zorientował się chyba, że nie wypada, więc tylko się uśmiechnął, jakoś słabo. „Przynajmniej sobie popatrzy za te dwa pięćdziesiąt, co do mojej karty dołoży”.

Trzydziestoczteroletnia ładna blondynka wracająca samotnie późnym wieczorem... „Pewnie czuć ode mnie alkohol”. Wypiły we dwie z Lalą butelkę białego wina i Kaśka czuła się wyraźnie wstawiona. Robiła, co mogła, żeby nie było po niej przynajmniej nic widać. Ani słychać, skoro już czuć.

Wracająca samotnie... ładna blondynka... „Dziwne, nie?” – miała ochotę zagadać do taksówkarza, którego wzrok ciągle wracał do odbicia jej twarzy w lusterku. „Gapi się na mnie częściej niż na jezdnię”. Spojrzała na plakietkę z licencją, przymocowaną blisko wstecznego lusterka, i przyjrzała się fotografii słabo widocznej z tylnego siedzenia. Przylizany sztywniak w krawacie i białej koszuli wyglądał zupełnie inaczej niż teraz na żywo w tiszercie koloru bakłażana. Próbowwała przeczytać imię i nazwisko. Jacek... Kozicki... Kuźnicki... Nie, Paweł Kuźnicki, nie żaden Jacek. „O rany, całkiem głupieję. Co to będzie dalej?” – pomyślała nagle z rozpaczą.

Byli już na rondzie de Gaulle’a, koło palmy.

– Pani tak sama wieczorem wraca... – odezwał się w końcu Paweł K.

– Mąż czeka w domu – odpowiedziała wściekła, że znowu jakiś idiota domaga się od niej męskiego alibi, które ma usprawiedliwić, że żyje i chodzi po Warszawie; ale jednocześnie była zadowolona, że durna odzywka kierowcy pomogła jej przewalczyć moment słabości, którą poczuła wcześniej.

– Szczęściarz – szarżował po desperacku taksjarsz, uśmiechając się lekko, jakby nie był pewien, czy to zwykły kobiecy manewr obronno-wymijający, czy pasażerka rzeczywiście jedzie, żeby przeżywać wkrótce orgazm wielokrotny.

Zignorowała jego komentarz i przez parę minut jechali w milczeniu ulicami Śródmieścia.

Kaśka marzyła o herbacie.

– Tam, przy tym żółtym szyldzie – powiedziała, z ulgą witając widoczny już punkt ksero na parterze jej kamienicy.

Auto zatrzymało się po drugiej stronie ulicy.

– To co, kartą? – upewnił się jeszcze taksówkarz w nadziei, że pasażerka zmieniła zdanie.

– Tak. – Kaśka ogłosiła wyrok i wyciągnęła kartę w stronę bakłażana.

Chwilę trwało, zanim terminal nawiązał łączność i zaczął drukować potwierdzenie.

– Miła z pani kobietka – rzucił jeszcze taksówkarz Paweł, oddając jej kartę. Nie była pewna, czy za tymi słowami kryje się ironia, czy jakiś ślad nadziei, że pasażerka zmieni jeszcze zdanie co do towarzystwa na resztę nocy.

– A z pana zabawny facecik – odpowiedziała, chowając do torby portmonetkę z kartą i wydrukiem. – Dobranoc – rzuciła i wysiadła. Ruszyła skupiona głównie na tym, żeby przejść wąską jezdnię oddzielającą ją od wejścia do domu bez zataczania się.

Powiodło jej się szczęśliwym trafem. Idąc, czuła, jak wzrok taksówkarza wypala jej na tyłku dziury w spódnicy. Odjechał dopiero wtedy, gdy zatrzasnęła się za nią brama kamienicy.

W domu nie czekał mąż ani żadne zabawy. Dochodziła już północ, ale Kaśce nie chciało się spać. Zrobiła sobie herbatę i usiadła z nią na swoim niewielkim balkoniku, ciesząc się ciepłym wieczorem. Miała widok na politechnikę i dalej na teren Filtrów. Wciąż jeszcze ten obraz miał dla niej walor nowości, choć oglądała go codziennie mniej więcej od pół roku. Po uprzedniej nudzie grochowskiego blokowiska taki udomowiony widok prawdziwego miasta niezmiennie ją zachwycał.

Całe to piękne lato spędzała głównie na dworze. Z Lalą też przesiedziały wieczór w kawiarnianym ogródku, który właściwie nie był żadnym ogródkiem, tylko chodnikiem ulicy Francuskiej z porozstawianymi na nim stolikami. Pełno ludzi – i tych siedzących w licznych tamtejszych knajpach, i tych spacerujących po głównym deptaku Saskiej Kępy. W nielicznych i krótkich chwilach ciszy, która zapadała w trakcie ich rozmowy, gapiły się obie na przechodniów. Francuska miała nietypowy jak na Warszawę klimat: ludzie chodzili wyjątkowo niespiesznie, a jednocześnie nie dominowali wśród nich turyści jak na Nowym Świecie, tylko całkiem zwykli lokalsi, którzy w trakcie tych przechadzek łączyli załatwianie codziennych spraw z występem na deptaku. Kaśka zazdrościła Lali, że mieszka blisko tego miejsca, na Berezyńskiej – małej uliczce odchodzącej od Francuskiej.

Niedawno też dużo siedziała na dworze. Przez całe dwa i pół tygodnia, które spędziła w nadmorskim Grzybowie, miała wspaniałą pogodę: upalne dni wysycone słońcem, ciepłe wieczory i noce. Po południu i wieczorami siadywali w ogródkach miejscowych kawiarni albo na rozkładanych na plaży kocach, albo na fotelach w ogrodzie państwa Gołąbków, u których wynajmowała pokój. Kiedy nachodziła ich ochota, żeby zażyć bardziej światowych rozrywek, lokowali się gdzieś w Kołobrzegu, do którego szli spacerem trzy kilometry, a wracali zwykle autobusem, lekko wstawieni. Ciągle na dworze i ciągle we trójkę. Kaśka z Jackiem i Elpidą. Od dnia, w którym się poznali.

Weszła na chwilę do mieszkania i nastawiła płytę, której od powrotu z Grzybowa często słuchała. Koncerty Mozarta na flet i orkiestrę. Prezent od Elpidy, kupiony właśnie w trakcie któregoś z wypadów do Kołobrzegu. Weszli na chwilę do tamtejszego EMPiK-u z myślą o jakichś lekturach. Elpida zaczęła

przeglądać płyty w sprowadzonym do formy szczałkowej stoisku z muzyką klasyczną. Wybrała coś dla siebie i tę płytę dla Kaśki. Chciała jej coś ofiarować w dowód wdzięczności za pomoc, której Kaśka udzieliła jej kilka dni wcześniej w sklepie spożywczym w Grzybowie. Mówiła, że chodziło jej o grecką muzykę, ale niczego takiego w kołobrzeskim EMPiK-u nie mieli, więc wybrała Mozarta. Elpida była grecką żoną Jacka. Kaśka usiadła znów na balkonie, a późny wieczór wokół niej wypełniły błyskotliwe wyczyny Mozarta i jego flecisty. Nastawiła muzykę niezbyt głośno, tak żeby mogła ją słyszeć na balkonie, ale żeby nie przeszkadzać sąsiadom. Wypiła łyk herbaty i zorientowała się, że przez dźwięk fletu przebija się dzwonek komórki dobywający się z torby porzuconej na fotelu w salonie. O tej porze? Kto mógł dzwonić o północy? Pewnie Lala chce sprawdzić, czy przyjaciółka dotarła do domu.

Tak, rzeczywiście, to była Lala.

– Dojechałaś?

– Tak, siedzę na balkonie i piję herbatę.

– A mnie Sławek jeszcze namówił na kieliszek wina, chociaż mi się trochę kręci w głowie. Ciągle myślę o tym, co mi opowiedziałaś. Kaśka, musisz coś z tym zrobić. – Lala mówiła mniej wyraźnie niż zwykle, dykcja przegrywała starcie z białym winem.

– Nie chce mi się gadać, skoro siedzisz ze Sławkiem – odpowiedziała Kaśka.

– Nie martw się, nie słyszy. Poszedł do kibla.

– Wiem, że muszę coś zrobić, tylko może byś mi jeszcze powiedziała co.

– Z tego nie ma dobrego wyjścia. Albo komuś zrobisz krzywdę, albo siebie utopisz. A najpewniej jedno i drugie.

– Co ty nie powiesz? Jak na to wpadłaś?

– Nie rób sobie jaj, naprawdę musimy poważnie pogadać. No dobra, Sławek wraca, zadzwonię jutro.

– Pa. I nie plotkuj o mnie za dużo.

– No coś ty! Za kogo ty mnie masz? – zaprotestowała Lala oburzona. – Pa. Dobranoc.

Kaśka rozłączyła się i z lekkim ukłuciem w sercu wyobraziła sobie, że mąż jej przyjaciółki siada właśnie obok Lali na kanapie, obejmuje ją, ona kładzie mu na ramieniu głowę z lekko wirującą zawartością i tak siedzą przytuleni, trzymając kieliszki...

Dopiła herbatę i poszła do łazienki. Piętnaście minut później wyciągnęła się na łóżku w sypialni i zgasiła światło. Towarzystwa dotrzymywali jej z drugiego pokoju Mozart i porządnie już rozgrzany nieznajomy flecista, jeszcze trochę bardziej przyciszeni.

Rozdział 2.

Od czasu, gdy otwarto drugą linię metra, poranna droga do teatru zajmowała jej mniej czasu, chociaż przesiadka na stacji Świętokrzyska wymagała znacznie dłuższego spaceru niż poprzednio zmiana autobusów. Po wczorajszym winie nie czuła się zbyt świeżo i wydawało jej się, że chyba też nie najlepiej wygląda. Kiedy przyszła do pracy, utwierdził ją w tym przekonaniu jej podwładny, Wojtek Knapik, z którym razem stanowili dwie trzecie działu marketingu teatru Strych – wschodzącej gwiazdy warszawskiego życia artystycznego. Trzecią osobą w ich zespole była sekretarka Iwona.

Kaśka spotkała Wojtka przy wejściu. Zobaczył ją i przytrzymał dla niej otwarte drzwi.

– Kaśka, coś ty w nocy robiła? Czyżby...? – zagdakał, idąc z nią szybkim krokiem przez korytarz na parterze.

– O co ci chodzi?

– No jak to? Widzę przecież – przedłużał zabawę Wojtek. – Udało ci się coś wreszcie... wiesz, no...?

– Przestań, do cholery, na to są paragrafy. Nawet u nas mogą pójść do kadr i prosić o ochronę przed molestowaniem. Albo przed mobbingiem – rzuciła niby groźnie, choć na twarzy miała uśmiech. Bawili się w tę samą grę już po raz setny.

– Kasiu, co ty, jakie molestowanie, jaki lobbing? Przez podwładnego? Ja się po prostu po koleżeńsku interesuję, czy ty coś ten-tego... no wiesz.

– Mobbing, nie lobbing. O to cię, gnoju, oskarżę!

– Oj, to może puść się w końcu ze mną i sprawy nie będzie – zaproponował po przyjacielsku koncyliacyjnym tonem, zatrzymawszy się przy drzwiach gabinetu dyrektorskiego, który był tylko odrobinę bardziej reprezentacyjny niż jego pokój.

– Kolego Knapik, rozważmy waszą propozycję. Odpowiedź otrzymacie w trybie służbowym, a na razie proszę dać mi spokój. Przyjdź do mnie za piętnaście minut, ustalimy plan na dzisiaj – rzuciła, kończąc zabawę i otwierając drzwi do pokoju Iwony, za którym miała własne biuro, czasem dumnie nazywane gabinetem.

– Cześć, Iwonko – powiedziała w kierunku chudego rudzielca, który z uśmiechem pokiwał jej głową, nie przerywając prowadzonej rozmowy telefonicznej.

– Wszyscy sponsorzy dostaną od nas taką informację. Będziemy ją rozsyłać w tym tygodniu. – Kaśka usłyszała słowa sekretarki.

Weszła do siebie i wyjęła z torby kalendarz. Otworzyła okno na kolejny piękny dzień ciepłego lata.

Po chwili rozległo się ciche pukanie i w drzwiach pojawiła się ruda głowa Iwony.

– Dzień dobry, Kasiu. Zrobić ci coś do picia?

– Oj tak, bardzo proszę. Kawę najchętniej.

A potem się zaczęło. Narada z Wojtkiem (Kaśka miewała dość jego koszarowych żartów, ale doceniała profesjonalizm, zaangażowanie w pracę i dobre pomysły), spotkanie w Urzędzie Wojewódzkim (brutalna walka o pieniądze przebrana w strój kulturalnej rozmowy o roli teatru w pejzażu miasta), wizyta przedstawiciela agencji piarowej z kolejnymi ofertami („Proszę porozmawiać z moim zastępcą, on się zajmuje tymi sprawami”), krótka przerwa na lunch (z Wojtkiem do chińczyka – „Tylko bez żartów o ten-tego, dobrze?”), mejle, telefony, rozmowa z dyrektorem („Musimy na to znaleźć więcej kasy, nie wiem skąd, to ty masz wiedzieć, ale musimy”), telefon od matki („W ogóle nie przychodzisz, tylko znajomi i znajomi”), esemesy, podpisywanie dokumentów, krótka rozmowa z Iwoną o jej kłopotach z kotem („Nie je, nie pije, marnieje”) i narzeczonym („Za dużo je, za dużo pije, roztył się”), znowu mejle...

*

Do stacji metra Rondo Daszyńskiego miała z pracy jakieś siedem, osiem minut spacerem. Jak każdego dnia od kilku miesięcy, od przeprowadzki na Noakowskiego, wracając do domu, myślała o babci. To dzięki niej miała to mieszkanie. Ukochana, jedyna wnuczka Kasia ukochanej babci Honoraty. Brat Kaśki, Andrzej, nie budził w starszej pani aż takich namiętności. Babcia była kompletnie zwariowana na jej punkcie. Kaśka od najmłodszych lat pamiętała, jak babcia Honorka wносиła ją pod niebiosą, jak chwaliła przed znajomymi i rodziną, jak zachwycała się jej śpiewem, rysunkami, buzią, mową, tańcem,

jak ją rozpieszczała, obsypywała prezentami, podtykała pod nos smakołyki... Cokolwiek Kaśka zrobiła, dla babci było to cudowne, „niemożliwe” albo przynajmniej „paradne”. Ten babciny zachwyt i bezwarunkowa miłość towarzyszyły jej przez całą szkołę, liceum, studia... Kiedy Kaśka zdecydowała się na teatrologię, babcia przez chwilę miała wątpliwości („A ile ty, dziecko, będziesz po tej tetologii zarabiać?”), ale widząc zapał Kaśki i słuchając jej płomiennej ody do współczesnego teatru, zmieniła zdanie i gotowa była wydrapać oczy każdemu, kto by twierdził, że istnieje ciekawsza i bardziej pożyteczna dyscyplina niż nauka o teatrze. Część babcinej sympatii spadała na wszystkie przyjaciółki Kaśki. Przyprawiała je często do mieszkania na Noakowskiego. Siadywały tam wokół stołu w salonie jak dojrzałe matrony, popijając herbatę ze szklanek wkładanych w metalowe uchwyty, zajadając ciasto drożdżowe i słuchając w skupieniu opowieści doświadczonej kobiety, która wszystkim im kazała mówić do siebie po imieniu. Honorka. Uwielbiały ją i namawiały Kaśkę, żeby je do niej zabierała. Kiedyś, na drugim roku studiów, jedna z najbliższych koleżanek Kaśki wpadła w tarapaty: krótki wakacyjny romans z niezbyt odpowiedzialnym chłopakiem skończył się nieplanowaną ciążą. Chłopak, dowiedziawszy się, co się dzieje, odwrócił się na pięcie i zniknął. Pierwszym pomysłem, na jaki wpadła dziewczyna – miała na imię Elżbieta, co wszyscy w towarzystwie zdrabniali Żunia – było pójść się wypłakać. Na swoją powiernicę nie wybrała żadnej z przyjaciółek, matki ani starszej siostry, ale Honorkę właśnie. I dostała od niej rozsądną radę. Wraz z propozycją pożyczki.

Kaśka doszła do stacji metra. Przeszła przez bramkę i zjechała schodami na peron. Lubiła czerwony wystrój tej stacji, lubiła dekoracje Fangora, choć słyszała i czytała rozmaite narzekania na jarmarczny charakter drugiej linii. Ponieważ był to końcowy przystanek, na ogół kiedy wsiadała, w wagonie było dużo wolnych miejsc. Tak jak i teraz. Starła się unikać godzin największego tłoku, wychodziła z pracy trochę wcześniej albo trochę później. Swoboda w tym zakresie była jedną z dodatkowych korzyści pracy „w tetologii”. Kaśka usiadła na wolnym miejscu w którymś ze środkowych wagonów. Naprzeciwko siebie miała szybę, w której widziała odbicie swojej twarzy. Twarzy, którą zawsze zachwycała się babcia Honorka.

– Dziecko, jakaś ty niemożliwie piękna – mówiła, głaszcząc albo czesząc jej bujne blond włosy.

Kiedy z kolei w życiu Kaśki pojawił się pierwszy poważniejszy „starający

się” – Marcin – babcia przez dłuższy czas obwąchiwała go nieufnie.

– Ty jemu, dziecko, za szybko nie dawaj. – Tak nietypowo brzmiała babcina rada udzielona wnuczce. – On nie całkiem dla ciebie dobry jest.

Kaśka tłumaczyła to sobie zazdrością babci: żaden facet na świecie nie byłby przecież całkiem dobry dla królowny, którą – zdaniem Honorki – była jej niemożliwa wnuczka. Puszczając więc rady i przestrogi babci mimo uszu, aż w końcu nadszedł nieuchronnie dzień, w którym musiała przyznać, że starsza pani miała rację. O parę lat i o kilka ważnych życiowych decyzji za późno.

Kiedy pociąg wjechał na stację Rondo ONZ, usłyszała sygnał przychodzącego esemesa. „Chcemy iść jutro na nowy Bond. Idziesz razem? E.”. No tak, nawet bez tego „E.” szczególnie polszczyzna esemesa była wystarczająco wyraźną wizytówką Elpidy. Żona Jacka mieszkała w Polsce od paru lat i mówiła po polsku swobodnie, czytała też nawet polskie książki, ale nie uwolniła się od różnych śmiesznych błędów językowych.

Kaśka zastanowiła się chwilę i wystukała na swoim telefonie: „Chętnie. Zadzwoń wieczorem”. Do kina na nowego Bonda z Elpidą i Jackiem... Znowu będą w trójkę. Obejrzą film, a potem pewnie pójdą gdzieś na piwo albo coś zjeść. I Elpida z Jackiem wrócą do siebie, a ona do siebie...

Minęła stację Świętokrzyska, na której zwykle się przesiadała, i pojechała jeden przystanek dalej, do Nowego Świata, żeby wejść do Biedronki i przed powrotem do domu zrobić zakupy. Wciąż myślała o Honoracie i jej niezwykłym oddaniu wnuczce. Babcia towarzyszyła Kaśce w całej jej kilkuletniej przygodzie z Marcinem – od radosnego początku aż do żalostnego końca. Na początku komentowała narzekania wnuczki na psujące się relacje zdaniem „Wszystko przez to, że dzieci nie macie”. Po jakimś czasie zmieniła wersję na „Całe szczęście, że dzieci nie macie”. Po jakimś czasie zaś zaczęła namawiać Kaśkę, żeby się wyprowadziła, skoro jest między nimi tak marnie. Tylko dokąd? Mieszkanie, w którym spędzili z Marcinem ostatnie dwa i pół roku, należało do jego matki, a Kaśka nie miała tam żadnych praw. Jej partner zresztą nie pozostawiał w tej sprawie jakichkolwiek wątpliwości. Do rodziców nie chciała wracać, bo nigdy nie potrafiła się z nimi dogadać. Babcia proponowała jej pokój u siebie, na Noakowskiego. Ale Kaśka wciąż odwlekała ten moment, ciągle miała nadzieję, że sprawy z Marcinem jakoś się posklejają... Zresztą przy całej miłości do babci nie paliło jej się do wspólnego mieszkania w dwupokojowym, nieco zagraconym mieszkaniu.

– Na trochę, dziecko, potem sobie coś wynajmiesz albo kredyt weźmiesz na

własne – przekonywała ją babcia podczas popołudniowych spotkań, kiedy wnuczka przychodziła do niej po pracy, żeby wylać kolejną porcję żalów na Marcina i obumierający związek.

Doszło w końcu do tego, że babcia zaczęła przebąkiwać o wynajęciu dla siebie jakiejś kawalerki. Swoje mieszkanie planowała oddać wnuczce, byle tylko ułatwić jej wyplątanie się z trującej relacji z Marcinem. Kaśka nie chciała o tym słyszeć... Teraz zawsze miała łzy w oczach, kiedy przypominała sobie zatroskaną twarz babci Honorki, kilkakrotnie składającej jej tę propozycję.

W końcu, dwa tygodnie po Nowym Roku i dwie godziny po tym, jak przypadkiem natknęła się na ulicy na Marcina obściskującego jakąś pretensjonalnie wyglądającą brunetkę, Kaśka zjawiała się w mieszkaniu na Noakowskiego z niewielką walizką. Przeplakały z babcią cały wieczór i pół nocy.

A potem przyszło najgorsze. Kaśka spędziła na Noakowskiego kilka dni, po czym babcia Honorka, zdając sobie sprawę, że wnuczka potrzebuje spokoju i trochę intymności, postanowiła pojechać w odwiedziny do swojej młodszej siostry mieszkającej w Białymstoku. Kaśka rozumiała, że babcia chce zrobić jej miejsce... Próbowwała ją od tego pomysłu odwieść, choćby ze względu na styczniowe mrozy dodatkowo utrudniające podróż.

Tamte zimowe dni sprzed ponad pół roku znów stanęły jej teraz przed oczami, kiedy chodziła po Biedronce, zastanawiając się, co ma kupić. Przyszło jej do głowy, że po jutrzejszym Bondzie mogłaby zaprosić Elpidę z Jackiem do siebie na pierogi z wiśniami. Elpida za nimi przepadała. Jacek też... Tylko czy pod koniec sierpnia znajdzie jeszcze gdzieś porządne wiśnie? Zaczęła się rozglądać po stoisku z owocami i warzywami. Oprócz wiśni potrzebowała też śmietany, laski wanilii i cukru trzcinowego. Sos do polewania robiła według własnego pomysłu, nadzienie z wiśni zgodnie z przepisem matki, a ciasto na pierogi według nauk babci Honorki.

Biedna babcia. Kaśka odwiozła ją taksówką na dworzec, wsadziła do pociągu. Zauważyła, że w wagonie słabo działa ogrzewanie. Znalazła konduktora, który zapewnił ją, że tak jest tylko na początku trasy, że przedział zaraz się nagrzej... Prosiła go, żeby zadbał o babcię i w razie czego znalazł jej inne miejsce, bo jest stara, schorowana.

– Tak, tak, niech się pani nie przejmuje, pani starsza pojedzie jak królowa – zapewniał.

W Białymstoku na dworcu miał czekać siostrzeniec babci, Zygmunt. Rzeczywiście odebrał ją z pociągu, odwiózł samochodem na miejsce, do domu swojej matki, ciotki Gieni. Kiedy Kaśka zadzwoniła do nich wieczorem, usłyszała, że babcia mówi ochryplym głosem.

– Zimno było w pociągu, zawiało mnie trochę – rzuciła w telefon, a Kaśka miała ochotę wrócić na dworzec i szukać po pociągach tamtego konduktora. – Miodówki zaraz z Gienką popijemy. Będzie dobrze, córciu, nie martw się o mnie, starą.

Kaśka uświadomiła sobie teraz, że na jutrzejszą rozmowę o Bondzie i pierogach potrzebne będzie jakieś wino. Podeszła do regału z alkoholami i zaczęła się rozglądać. Jak zawsze w Biedronce miała ten problem, że wina, które poprzednio jej zasmakowało, już w sklepie nie było. To była wada tych dyskontowych superokazji. Włożyła więc do wózka dwa nieznane – rioję i jakieś włoskie – i postanowiła z braku świeżych wiśni zaopatrzyć się w mrożone. Dokończyła zakupy i stanęła w krótkiej kolejce do kasy, zastanawiając się, jak najlepiej dotrzeć do domu.

Babcia Honorata nie wróciła już z Białegostoku. Po trzech dniach od przyjazdu wylądowała w szpitalu. Może gdyby tam trafiła od razu, gdyby nie próbowały z siostrą radzić sobie z przeziębieniem domowymi sposobami... Wezwany przez Gienię lekarz stwierdził, że Honorka ma zapalenie płuc, i kazał natychmiast kłaść się na oddział. Mimo intensywnego leczenia chora słabła z dnia na dzień. Gienia przekazała Kaśce i jej rodzicom, że sytuacja jest poważna. Pojechali we troje (Andrzeja nie było akurat w Polsce) samochodem rodziców do Białegostoku. Babcia na szpitalnym łóżku wydała się jakaś mała, nie była w stanie go wypełnić, jakby się skurczyła. Siostra nie odchodziła od niej. Honorka była blada i wyraźnie osłabiona, ale na widok bliskich, a szczególnie wnuczki, uśmiechnęła się szeroko.

W którymś momencie poprosiła wszystkich, żeby ją zostawili samą z Kaśką.

– Widzisz, dziecko, tak się porobiło – mówiła ciężko, trzymając wnuczkę za rękę. – Ale nie martw się, ty jesteś teraz ważna... Pamiętaj, dziecko, w biurczku w salonie, w prawej szufladzie jest biała koperta. Tam wszystko zapisane... I poświadczone... Żebyś pamiętała.

– Babciu, nie mów tak. – Kaśka, która przez cały czas starała się robić dobrą minę, rozkleiła się całkiem i zaczęła ryczeć.

– Spokojnie, dziecko. Trzeba mówić, jak jest. Trzymaj mnie za rękę i nie

becz.

Umarła nazajutrz wieczorem, dwudziestego siódmego stycznia. Lekarze tłumaczyli, że wycieńczenie, osłabienie, niewydolność układu krążenia, niesprawne nerki... Ale Kaśka nie mogła pozbyć się straszego wrażenia, że babcia po prostu... zrobiła jej miejsce, żeby jej pomóc.

Pochowano ją w Białymstoku, tak jak chciała, blisko jej rodziców. W prawej szufladzie biurczka na Noakowskiego był testament, na mocy którego mieszkanie babci Honorki wraz z pewną kwotą pieniędzy przypadło jej ukochanej wnuczce. Reszta oszczędności – jak się okazało, niemałych – trafiła do drugiego wnuka, starszego brata Kaśki, a różne sprzęty, pamiątki rodzinne i trochę cennych drobiazgów dostało się pozostałym bliskim.

To wszystko działo się niewiele ponad pół roku wcześniej. Ciągle jeszcze nie było dnia, żeby Kaśka nie wspominała tych zdarzeń, szczególnie, gdy wracała do swojego nowego mieszkania. Tak jak teraz, kiedy na Nowym Świecie wsiadała z zakupami do autobusu, gdy z niego wysiadała i szła powoli spacerem od placu Konstytucji na plac Politechniki, kiedy otwierała bramę kamienicy, wstukując kod domofonu, kiedy mocowała się z zamkiem od drzwi, kiedy otwierała okno w salonie, żeby wpuścić do środka ciepłe, sierpniowe powietrze...

– Trzymaj mnie za rękę i nie becz – powtarzała jej wciąż babcia Honorka.

Rozdział 3.

Nazajutrz Kaśka siedziała w pracy dłużej, bo nie chciało jej się wracać do domu przed kinem. Była umówiona z Elpidą i Jackiem o szóstej po południu w Żółtych Tarasach. Ustaliły z żoną Jacka, że po filmie pójdą we troje do niej i zajmą się lepieniem pierogów (według zasady „lepisz tyle, ile zjesz”), a potem dalszymi, przyjemniejszymi etapami biesiady. Wcześniej rano zagniotła ciasto i schowała je owinięte w wilgotną ściereczkę i folię do lodówki. Przygotowała nadzienie z dwóch opakowań rozmrożonych wiśni, a śmietanę z laską wanilii, paroma ziarnami kardamonu, małym skrawkiem skórki cytrynowej i cukrem trzcinowym podgrzała poprzedniego wieczoru. Po ostudzeniu przeniosła nieprzecedzony jeszcze sos do lodówki, gdzie miał dalej naciągać przez cały dzień.

Wychodząc, rozejrzała się po mieszkaniu, sprawdzając czy nie zostawia na wierzchu czegoś kompromitującego. Miała wrócić dopiero wieczorem razem z gośćmi. Utrzymywała w domu porządek, więc niczego niestosownego nie zauważyła. Przed dziewiątą zatrzasnęła drzwi mieszkania i wyruszyła do metra.

W teatrze panowało poruszenie. Tego dnia miał się po raz pierwszy pojawić zaproszony przez Strych niemiecki reżyser Uner Kernes, sprowadzony, by przygotować inscenizację sztuki Olivera Dabescha *La Cenerentola*. Prawa do wystawienia sztuki i gażę reżysera finansował niemiecki Instytut Goethego. Kaśka negocjowała z nimi warunki i uzyskanie niemieckich funduszy było w ostatnich miesiącach jednym z jej większych sukcesów.

Kiedy weszła do pokoju Iwony, zastała ją wpatrzoną w ekran komputera.

– Cześć, Kasiu – przywitała ją sekretarka. – Zrobić ci coś do picia?

– Nie, dzięki, o dziesiątej jest spotkanie u Staszka z tym Niemcem. Pewnie dadzą kawę.

– No właśnie. – Iwona wskazała brodą monitor, przekręcając go tak, żeby szefowa mogła zobaczyć portret kruczowłosego, śniadego faceta z czarnym wąsem. – Zastanawiałam się nad tym Unerem Kernesem. Uner... To jest tureckie imię. Wiedziałaś, że to Turek? Przystojny gość. W twoim wieku... –

dodała Iwona i zawiesiła głos.

– Tak, wiedziałam – odpowiedziała Kaśka. Nie do końca było jasne, której części wypowiedzi Iwony dotyczą te słowa. – Jego rodzina przyjechała do Niemiec, jak miał kilka lat. Uczył się i studiował już w Niemczech. Bardzo jest modny w całej Europie. I teraz pracuje u nas... Mam nadzieję, że to będzie wielki hicior.

– Może się zaprzyjaźnicie... – rzuciła Iwona, otwierając plik z pismem, które właśnie kończyła redagować.

– Jezu, ty też zwariowałaś? Możecie sobie podać ręce z Wojtkiem.

Kaśka stukając się w czoło, otworzyła drzwi do swojego pokoju.

– Swoją drogą poproś go, żeby tu wpadł. Chciałam z nim pogadać przed spotkaniem u Staszka... Będziecie mieli okazję, żeby omówić sytuację – rzuciła ponuro, zamykając drzwi.

Była w takim nastroju, że jeśli jej zastępca wszedłby do niej do pokoju uzbrojony w swoje zwykłe żarciki („No i co tam w nocy, coś... ten-tego?”), zagroziłaby mu całkiem poważnie, że go wyleje na zbity pysk. Na szczęście Wojtek miał na tyle wyczucia, że nigdy nie przekraczał cienkiej czerwonej linii między głupawymi żartami a prawdziwym chamstwem. W gruncie rzeczy lubili się, a Kaśka ceniła pewność, którą jej dawał: że ma w nim nie tylko kompetentnego współpracownika, ale też lojalnego kolegę.

Omówili szybko sprawę, którą należało się pilnie tego dnia zająć, poplotkowali chwilę i poszli razem na pierwsze piętro, do gabinetu dyrektora naczelnego i artystycznego w jednej osobie – Staszka Rachwalskiego.

W dyrektorskim pokoju zastali już sporą grupę pracowników teatru. Główną atrakcją był oczywiście gość z Niemiec. W porównaniu z wizerunkiem, który pół godziny wcześniej pokazywała Kaśce Iwona, w rzeczywistości facet wyglądał na dziesięć lat starszego. I nie miał wąsa. Rzeczywiście był przystojny, miło się uśmiechał i robił sympatyczne wrażenie. Rozmowa toczyła się po angielsku, z którym Kernes dobrze sobie radził. Rachwalski przedstawił mu Kaśkę i jej zastępcę.

– To głównie dzięki nim możemy cię tu dzisiaj gościć – powiedział z emfazą. – Właśnie Kasia Witkowska tak przekonywała ludzi z Instytutu Goethego, że w końcu wysupłali pieniądze. W ogóle wszyscy tu siedzimy u Kasi w kieszeni.

– Nie przesadzaj – odpowiedziała z uśmiechem Kaśka, ściskając dłoń Unera. – Dabesch, Kernes, Rachwalski... To są nazwiska, które otwierają

drzwi i portfele. My przychodzimy na gotowe.

Po krótkiej rozmowie u dyrektora całe towarzystwo zeszło do sali teatralnej, gdzie mieli dołączyć pozostali aktorzy i ekipa techniczna. Praca nad spektaklem zaczynała się nazajutrz. Tego dnia chodziło o pokazanie Kernesowi teatru i przedstawienie zespołu.

Kaśka chciała się upewnić, czy gość jest zadowolony z mieszkania, które załatwił mu teatr. Z myślą o przyjeźdnych Strych wynajmował trzypokojowe mieszkanie dość wygodnie usytuowane w centrum. Prawie przez cały czas było zajęte. Czasem wykorzystywano je jako hostel dla dwóch lub trzech osób na krótkie pobyty, czasem udostępniano pojedynczym gościom na dłużej. Kiedy teatr nie miał własnych gości, wynajmowano to lokum odpłatnie, przez co mieszkanie właściwie samo się finansowało. Kernes miał na razie zostać w Warszawie przez sześć tygodni i zdążył już się zainstalować w mieszkaniu na Szkolnej 7.

Spotkanie z zespołem przebiegało w dobrej atmosferze, w dużej mierze za sprawą Staszka, który znany był z tego, że potrafi skrócić dystans ze współpracownikami, nie tracąc nic ze swojego autorytetu. Kernes mówił trochę o sztuce Dabescha, o tym, jak ją rozumie i na które wątki chciałby położyć nacisk w warszawskim przedstawieniu. Ludzie zadawali pytania, wywiązała się niezobowiązująca rozmowa. Wszyscy siedzieli na widowni. W pewnej chwili Kaśka odezwała się półgłosem do Wojtka:

– Zostań tu i posłuchaj, o czym będą gadać, a ja wracam do pracy.

Wojtek kiwnął głową, a Kaśka wstała i zaczęła przesuwać się do wyjścia. Zauważyła, że Kernes odprowadza ją wzrokiem. Wojtek też to spostrzegł. Tuż przed wyjściem zobaczyła, że jej zastępca z głupkowatym uśmiechem puszcza do niej oko i podnosi kciuk...

*

Reszta dnia minęła jej na rutynowych czynnościach. Obdzwoniła kilkoro znajomych dziennikarzy, opowiadając im o przyjeździe Kernesesa i planowanej premierze *Cenerentoli*. Wszyscy mniej lub bardziej wylewnie wyrazili zainteresowanie tym wydarzeniem. Krytyk teatralny jednego z ważniejszych tygodników opinii wyraził chęć zrobienia reportażu z pracy zagranicznego gościa z zespołem Strychu. Umówili się, że Kaśka zawiadomi go, kiedy zaczną

się próby, i załatwi zgodę na jego obecność i robienie zdjęć w trakcie grupowych narad i zajęć na scenie.

Potem przyszedł Wojtek i zdał jej relację ze spotkania Kernesa z aktorami.

– Chyba złapał z nimi kontakt, chociaż niektórzy kręcą nosem, że muszą się wysilać po angielsku.

Rozmawiali o szansach wizerunkowych, jakie otwiera przed teatrem zaangażowanie niemieckiej gwiazdy współczesnego teatru i o niebezpieczeństwie, że z powodu dość awangardowej *Cenerentoli* Strych zostanie wzięty na celownik przez „obrońców wartości”. W pewnej chwili oboje uświadomili sobie, że od rana nic nie jedli, i na dwadzieścia minut przenieśli się z rozmową do pobliskiego Książęcego Kebaba.

Potem znów dzwonił telefon i przychodziły mejle, a jeszcze później zrobiła się piąta i Kaśka pospiesznie wyszła z teatru. Po krótkiej przygodzie z metrem i równie niedługim spacerze uściskała przyjaciół i mogła wreszcie bez zahamowań rzucić się w ramiona Daniela Craiga.

*

W drodze z kina do mieszkania Kaśki rozmawiali oczywiście o nowym Bondzie. Jak zwykle w takich przypadkach ktoś rzucił wyzwanie:

– A wymienicie wszystkich aktorów, którzy grali Bonda?

Kaśka miała to obcykane, bo już nie raz brała udział w tym quizie. Zawsze zaginała innych na George’u Lazenbym, który na jeden film wygryzł Seana Connery’ego, żądającego zbyt dużej podwyżki po pięciu Bondowych sukcesach. Ktoś nawet przekonywał ją kiedyś, że Australijczyk Lazenby miał polskie korzenie i naprawdę nazywał się Łaziebny, ale jakoś nigdzie nie potrafiła znaleźć potwierdzenia tej hipotezy. Kaśka z Elpidą wdały się w równie tradycyjne rozważania, który z Bondów był najprzystojniejszy i – znowu tradycyjnie – zwyciężył w tej konkurencji Sean Connery. Śmiejąc się i rozmawiając, dotarli spacerem na Noakowskiego.

– Chodźcie, pokażę wam, co ci barbarzyńcy zrobili z posadzkami z 1915 roku – powiedziała Kaśka, prowadząc swoich gości do kamienicy usytuowanej bezpośrednio obok tej, w której mieszkała. – Opowiadałam wam. Reprywatyzacja, modernizacja, a przy okazji dewastacja.

Weszli do bramy budynku, który właśnie był remontowany przez nowego

inwestora. Podłoga w bramie wyglądała jak klepisko – po skuciu starej posadzki nie położono jeszcze nowej. Kaśka poprowadziła znajomych do najbliższej klatki schodowej. Drzwi nie były zamknięte i weszli na pierwsze piętro. Wszędzie było takie samo klepisko jak w bramie.

– A teraz wejdziemy do innej klatki – zapowiedziała Kaśka.

Wyszli na podwórze, minęli podniszczoną figurę Matki Boskiej i otworzyli drzwi do jednej z klatek w oficynie. Ich oczom ukazała się stylowa posadzka utrzymana w beżowo-brunatnej tonacji: w ściętych rogach czworokątnych, pistacjowych kafli rozmieszczono niewielkie, brązowe kwadraty. Wszystko było w dobrym stanie, bez pęknięć i ubytków.

– W całej kamienicy i w bramie była taka posadzka. Tu jeszcze nie zdążyli skuć.

Idąc wolno po schodach, dotarli na pierwsze piętro. Wszędzie taka sama, nienaruszona podłoga.

– Układali to równo sto lat temu – powiedziała Kaśka.

– Boże, co to za wandale – westchnął Jacek, kiedy wracali po chwili przez bramę ogołoconą z posadzki. – Nikt nie protestuje?

– Lokatorzy coś próbują. Budynek nie jest wpisany do rejestru zabytków, więc można z nim wszystko zrobić.

Przeszli do sąsiedniej kamienicy, w której mieszkała Kaśka. Na ulicy minęły ich dwie dziewczyny, jedna z nich przez telefon umawiała się z kimś w jakimś pubie.

– Och, wiecie co ostatnio widziałem? – zaczął opowiadać Jacek. – Byłem z kumplem w knajpie na Kruczej. Weszły cztery dziewczyny, rozsiadły się za barem i zamówiły drinki. Jedna chciała piwo, więc barman pyta: „Duże czy małe?”. A ona na to: „A czy cena jest taka sama?”.

Chichocząc, wjechali windą na piętro Kaśki i weszli do mieszkania.

– Myjemy łapki i do roboty – zarządziła gospodyni, otwierając przy tym drzwi na balkon.

Elpida pierwsza wyszła z łazienki, do której wtoczyli się wszyscy troje. Kaśka przez chwilę została przy umywalce razem z Jackiem. Spojrzeli oboje na wspólne odbicie w lustrze.

– Prawie jak selfie. – Uśmiechnął się Jacek.

– Prawie...

Scena trwała nie dłużej niż kilka sekund. Tyle potrzebowała Kaśka, żeby poczuć po raz kolejny silne ukłucie w sercu. Stała obok niego i nie wiedziała,

czy on wie, domyślała się, że wie, że przecież to musi być widać, i myślała, że on nie tylko wie, ale tak jakoś patrzy na nią, jakby też coś... ale to niemożliwe, bo przecież... A może jednak nie wie, tylko jej się wydaje? To wszystko w cztery czy pięć sekund patrzenia na łazienkowe selfie.

Była nieprzytomnie zakochana.

– Gdzie jest ciasto do pierogi? – dobiegło ich pytanie Elpidy.

– Już wyjmuję! – odkrzyknęła Kaśka.

Zakręciła wodę i rzucając jeszcze jeden uśmiech w kierunku lustra, poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej kulę owiniętą w folię.

– Proszę, tu masz ciasto *na* pierogi. – Położyła pakunek na blacie.

Już dawno się umówiły – zresztą na prośbę Elpidy – że Kaśka będzie poprawiać jej błędy w mówieniu po polsku. Jackowi się nie chciało, a było to rzeczywiście dość skuteczne narzędzie dydaktyczne.

– A masz... *a rolling pin*? – Elpida czasem zastępowała nieznane polskie słowa ich angielskimi odpowiednikami.

– Jasne, jakżeby tu mogło nie być wałka.

Sięgnęła do jednej z szuflad i wyciągnęła stary, drewniany wałek babci Honorki z wyslizganymi rączkami.

– *A rolling pin*, czyli wałek.

Wyjęła też z szafki słoik z mąką do oprószenia kawałka kuchennego blatu. Sięgnęła po fartuch wiszący na klamce drzwi i przełożyła górny pasek Elpidzie przez głowę.

– Ależ ty masz niesamowite te loki – skomentowała z podziwem, nie po raz pierwszy, fryzurę Greczynki.

Stanęła za nią, żeby przewiązać jej fartuch w pasie. Wtedy do kuchni wszedł Jacek. Objął obie spojrzeniem i ciepło się uśmiechnął. Stały tak, że żadna nie widziała twarzy drugiej. Może dlatego Kaśce się wydało, że to spojrzenie było przeznaczone tylko dla niej. Na chwilę wszyscy znieruchomieli: Elpida czekała z wałkiem w ręku, aż fartuch zostanie właściwie założony, Kaśka trzymała końcówki pasków, które miała związać na plecach przyjaciółki, i intensywnie wpatrywała się w jej ukochanego, a Jacek wyglądał, jakby trenował zabójcze i uwodzicielskie miny, których uczył go sam agent 007.

– Otwórz wino. Pora się napić – przerwała w końcu ciszę Kaśka, poprawiając kształt zgrabnej kokardy, którą przyozdobiła Elpidę.

Rozdział 4.

Początek tej przyjaźni wyglądał bardzo niepozornie: ot, krótka pyskówka ze sprzedawcą w sklepie spożywczym w nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej. Kaśka przyjechała do Grzybowa za namową Lali, która jeździła tam jeszcze w czasach panieńskich. Wynajmowała zawsze pokój w domu niejakich Gołąbków. Kiedy Kaśka spytała ją o jakąś spokojną i niezbyt drogą wakacyjną metę, Lala bardzo zachwalała przyjaciółce to miejsce, miłą atmosferę, bliskość morza i domową kuchnię.

– Nie martw się, nie gotują ani gołąbków, ani grzybów – uspokajała Kaśkę, która żartowała sobie, że w sensie kulinarnym nie brzmią jej te Gołąbki z Grzybowa najlepiej. – A poza tym tam fajni ludzie przyjeżdżają, wiesz... dziennikarze, artyści... Może?

– Lala, zamknij się – syknęła wściekła Kaśka. – Jeszcze jedno słowo i na pewno tam nie pojedę.

U Gołąbków rzeczywiście było sympatycznie. Wszystko, co zapowiadała Lala, sprawdzało się – włącznie z tym, że pewien wypoczywający w pensjonacie rzeźbiarz ze Szczecina wyraźnie zainteresował się samotną, a urodziwą wczasowiczką. Lala oczywiście już pierwszego dnia dzwoniła i o wszystko wypytywała, a kiedy Kaśka przy drugiej czy trzeciej rozmowie – niemalże widząc wypieki na twarzy rozmówczyni – dla świętego spokoju opowiedziała jej o szczecińskim adoratorze, przyjaciółka skrzywiła się i powiedziała:

– O rany, Szczecin? To bliżej Warszawy już nie ma?

Te słowa stały się ich prywatnym grepssem, który, powtarzany potem w różnych wariantach, wielokrotnie wprawiał obie w chichot.

Nazajutrz po przyjeździe Kaśka zapytała o sklep, w którym można by zrobić drobne zakupy. Pani Gołąbkowa poradziła jej niewielki market położony dziesięć minut spacerem od domu. Po włożeniu do koszyka jakichś słodczy, napojów, trzech jabłek i przedłużacza stanęła w krótkiej kolejce do kasy. Była zła, że znowu zapomniała zabrać z domu przedłużacz i musiała kupować następny. Dawno już zauważyła, że chorobą polskich pensjonatów i kwater prywatnych była za mała liczba gniazdek elektrycznych w pokojach.

Obsługa ładowarki do telefonu, do czytnika e-booków, zasilacza do laptopa, lampki nocnej i suszarki do włosów za pomocą jednego wolnego gniazdka – zazwyczaj jeszcze niewygodnie zlokalizowanego – wymagało podłączania i odłączania poszczególnych urządzeń według skomplikowanego algorytmu uwzględniającego żywotność poszczególnych baterii oraz planu zajęć na dany dzień. Nagabywani gospodarze nigdy nie mieli w domu wolnego przedłużacza i zazwyczaj zdziwieniem reagowali na fanaberie miastowych. Kaśka nauczyła się w końcu, że w ramach moszczenia się w nowym miejscu trzeba na początku pobytu iść do sklepu i kupić własny przedłużacz – przy czym zawsze oczywiście pozostawała do rozstrzygnięcia kwestia, czy ma być z uziemieniem, czy bez. Poprzednia kolekcja z okresu wczasów małżeńskich przypadła po rozstaniu Marcinowi, a teraz Kaśka postanowiła zainicjować gromadzenie nowej, własnej. (Inną plagą były dawniej za słabe żarówki w pokojach – włącznie z lampkami nocnymi, przy których nie dawało się czytać. Kaśce zdarzało się więc kupować także i żarówki, ale w ostatnim czasie sytuacja w tej dziedzinie się poprawiła; w każdym razie u państwa Gołąbków było pod tym względem bez zarzutu).

Przed nią w kolejce stała kobieta mniej więcej w jej wieku z burzą kruczoczarnych loków. Kiedy Kaśka zajęła miejsce za nią, tamta odwróciła głowę w jej stronę i sympatycznie się uśmiechnęła. Miała ciemną karnację i Kaśka pomyślała, że dziewczyna mogłaby reklamować uroki zalanej słońcem grzybowskiej plaży. Odwzajemniła uśmiech i obie cierpliwie czekały na swoją kolej przy sklepowej kasie.

Pewnie ze względu na dużą liczbę niemieckich turystów przychodzących do marketu na ladzie umieszczono tabliczkę z symbolem euro i informacją „We accept euro”. Właścicielka czarnych loków postawiła po chwili swój koszyk przed sprzedawcą i ten – popatrując to na poszczególne drobiazgi wybrane przez klientkę, to na jej niebanalną urodę – zaczął podsumowywać zakupy.

– Dwadzieścia dwa sześćdziesiąt – ogłosił po chwili z uśmiechem.

Brunetka otworzyła portmonetkę i wyciągnęła z niej banknot o nominale pięćdziesięciu euro. Pokazała go sprzedawcy i nieśmiałym głosem zapytała:

– Można? – Choć w jej wykonaniu zabrzmiało to raczej jak „Moszna?”.

Kaśka stłumiła śmiech, sprzedawca zaś z zadowoleniem pokiwał głową.

– Ale resztę wydam w złotówkach – poinformował klientkę.

Ta zrobiła niepewną minę świadcząca o tym, że nie do końca zrozumiała komunikat.

– Reszta złotych. *Polish zloty I give you. Polnische zloty.*

– Tak, tak – odpowiedziała czarnowłosa i znów odwróciła się do Kaśki, uśmiechając się tym razem przepaszająco.

Facet za ladą wyciągnął z szuflady kalkulator i zaczął liczyć, mamrocząc przy tym pod nosem.

– Dwadzieścia dwa sześćdziesiąt odjąć od pięćdziesięciu, czyli dla pani dwadzieścia siedem czterdzieści, po kursie trzy i dziewięć, dla pani sto sześć złotych dziewięćdziesiąt groszy – orzekł, po czym zaczął odliczać odpowiednią sumę, włożywszy podany mu przed chwilą banknot do oddzielnej przegródki.

Zakłopotana wywołanym zamieszaniem klientka zaczęła pośpiesznie zbierać podane jej banknoty i monety, wpychając je bezładnie do portmonetki i potrząsając czarnymi lokami. Widać było, że nie całkiem nadała za operacją przeliczania walut.

Kaśkę za to trafił szlag.

– Dlaczego pan odjął te dwadzieścia dwa sześćdziesiąt tak, jakby to było euro? – zapytała podniesionym głosem. – Przecież to była cena w złotych, wszystkiego raptem sześć euro. Orznął ją pan na... – zastanowiła się – na jakieś sześćdziesiąt złotych. Jak panu nie wstyd?

Sprzedawca w ogóle nie dyskutował w sprawie rachunków, tylko się zachnął:

– Orznął? No wie pani...! – prychnął. – A co pani myśli, że ja tak specjalnie? Pomyliłem się i tyle. – Po czym zaczął przeliczać wszystko od początku.

Szybkość tej rejterady nieomylnie zdradzała nieuczciwe intencje. Brunetka tymczasem odeszła już dwa kroki od lady, ale Kaśka zamachała na nią ręką i powiedziała:

– Niech pani zaczeka, należy się pani jeszcze reszta.

Lekko czerwony na twarzy kasjer popstrykał chwilę w kalkulator i z urażoną miną oznajmił odętymi wargami:

– No tak, dla pani jeszcze sześćdziesiąt sześć pięćdziesiąt.

Odliczył odpowiednią kwotę i położył na ladzie z miną nastolatka, któremu matka kazała wyłączyć komputer i wziąć się za odrabianie lekcji.

– I nawet jej pan nie przeprosi? – Kaśka z energicznym stuknięciem odstawiła swój koszyk na ladzie i zebrała pieniądze należne poprzedniej klientce. – Chrzanię pana i ten głupi sklep – rzuciła na pożegnanie, zostawiając

sprzedawcę sam na sam z wyzierającym z koszyka przedłużaczem, waflami prince polo extra large, trzema jonatanami i dwoma soczkami z marchwi.

– Proszę, to jeszcze dla pani. – Podała pieniądze brunetce, po czym obie wyszły ze sklepu.

– Boże, co to za buc! – wysyczała zaczerwieniona ze zdenerwowania Kaśka, kiedy stanęły w pełnym słońcu na ulicy.

– Dziękuję, ja nie liczyłam, on mnie pomyślał – tłumaczyła się jej rozmówczyni, neutralizując zabawny błąd ciepłym, rozbrajającym uśmiechem.

– Elpida – dodała, wyciągając rękę do Kaśki.

– Co takiego?

– Elpida. Moje imię.

– Aha, jakie ładne. – Kaśka próbowała ukryć gafę.

– Greckie.

– Ja jestem Kasia, Katarzyna. Wszyscy mówią Kaśka. Jesteś Greczynką? – Kaśka pomyślała z nutką żalu, że czarne loki i śniada cera kobiety są jednak wyjęte z reklamy greckiego, a nie polskiego wybrzeża.

– Tak, ale mieszkam w Polsce. Dwa lata. Robię dużo błędów.

– No co ty, świetnie mówisz – pochwaliła ją całkiem szczerze Kaśka.

– Mój facet mnie uczy.

– Mieszkacie tu, w Grzybowie?

– Nie, tutaj wakacje.

W ciągu kwadransa zdążyły sobie opowiedzieć kilka ostatnich lat swojego życia, ze szczególnym naciskiem na ostatni tydzień. Okazało się, że Elpida jest o dwa lata młodsza od Kaśki, przyjechała do Polski jako pilotka grupy biznesmenów greckich objeżdżających w celach zawodowych kilka krajów europejskich (świetnie znała angielski), poznała w czasie pobytu w Warszawie – jak się wyraziła – „cudnego faceta” o imieniu Jacek, zakochała się, po powrocie do Grecji dalej była zakochana, więc zaczęła się uczyć polskiego. Romans z Jackiem trwał dzięki mediom elektronicznym. Po kilku miesiącach wspólnego zastanawiania się nad sposobami przeniesienia go do realu Elpida dowiedziała się, że jej koleżanka kończy pracę asystentki prezesa Rady Przedsiębiorców Greckich w... Warszawie. Natychmiast rzuciła się na otwierającą się możliwość. Połączone wysiłki koleżanki, która protegowała ją w Warszawie, oraz Elpidy, która uruchomiła wszystkie swoje kontakty biznesowe w Atenach, a także dwie rozmowy kwalifikacyjne (jedna w Grecji, druga w Polsce) zostały uwieńczone sukcesem. Pewnego wiosennego dnia

ponad rok temu lotnisko Okęcie stało się scenerią kolejnego szczęśliwego powitania Jacka z Elpidą i jej czarnymi lokami, które tym razem zagościły w jego życiu już na dłużej. Zamieszkali razem w mieszkaniu Jacka, w którym prowadzili życie pełne miłości, śródziemnomorskiej radości życia i planowania wspólnej, mazowieckiej przyszłości (ślub, dziecko) w modelu może nie multi-, ale na pewno bi-kulti. W ramach tego modelu po zeszłorocznych wakacjach na greckich wyspach w tym roku przyjechali – trzy dni przed niesympatycznym zdarzeniem w grzybowski markecie – na wakacje nad Bałtyk. W dalszych planach mieli jeszcze tydzień w słowackich Tatrach.

Elpida pokazała Kaśce dom, w którym wynajmowali z Jackiem pokój. Był położony nie dalej niż o trzy minuty od pensjonatu państwa Gołąbków. Stały jeszcze chwilę przed furtką, żeby dokończyć wzajemnego przedstawiania swoich CV. Kaśka zdążyła opowiedzieć w tym czasie skróconą wersję własnej opowieści o życiu, pracy i rozstaniu z Marcinem. W swojej nowej znajomej wyczuwała jakieś miłe ciepło i serdeczność. Choć znały się od kwadransa, poczuła, że ją lubi. Miała też wrażenie, że Greczynka odwzajemnia tę sympatię. W końcu Elpida pokazała ręką uliczkę biegnącą w kierunku morza i powiedziała:

– Tam jest Kotwica, restauracja. Chodzimy czasem na kolację. Może przyjdiesz wieczorem, Kaszka. Poznasz Jacka.

Kaśka przytaknęła, objęły się serdecznie, ucałowały w policzki i umówiły na siódmą. I w ten oto sposób Kaśka poznała Jacka.

Rozdział 5.

W dzień po wieczorku z pierogami à la James Bond Kaśka z trudem zwlekła się rano z łóżka. Goście wyszli po drugiej. Nie skończyło się na dwóch butelkach kupionych w Biedronce, w którymś momencie Jacek wyskoczył na Nowowiejską do całonocnego sklepu z alkoholem i przyniósł kolejne dwie... Rano Kaśkę łupało w głowie i suszyło. Jak zawsze w podobnych sytuacjach uświadomiła sobie, jak trafnie Francuzi nazywają kaca: „drewniana gęba”. Rzut oka w łazienkowe lustro – to samo, w którym poprzedniego wieczoru oglądała się razem z Jackiem – bezlitośnie ujawnił zakres dewastacji.

– Boże, jak ja wyglądam – wymamrotała i zaczęła płukać twarz zimną wodą.

Na szczęście salon i kuchnia były wysprzątane i nigdzie nie walały się talerze z zaschniętymi resztkami śmietany. Kiedy zostały na parę minut we dwie z Elpidą, Greczynka zarządziła zmywanie i przy niewielkiej pomocy gospodyni uporała się ze wszystkimi śladami pierogowej uczy, włącznie z przetarciem podłogi. Pierogi wyszły świetnie, wszyscy się najedli, a na dodatek teraz kuchnia lśniła, jakby się szykowała do występu w niemieckiej reklamie płynu do czyszczenia Wszechświata. Kaśka pomyślała o przyjaciółce z ogromną wdzięcznością: gdyby przyszło jej w obecnym stanie ścierać mękę z kuchennego blatu, odkrobywać resztki z talerzy i sztućców i zabawiać się pozostałościami po rozmrożonych wiśniach na terakocie... Kochana Elpida. Dzięki niej Kaśce pozostało tylko wynieść do kuchni kieliszki i opróżnione butelki. To też zresztą przy rozchwierutanim metabolizmie okazało się ciężką próbą.

Tak, kochana Elpida...

Kaśka powoli nalala wody i wsypała kawę do kawiarki, postawiła ją na kuchence na najmniejszym ogniu, po czym wróciła do łazienki.

Pół godziny później siedziała z mokrymi włosami przy stole w salonie i dyszała, jakby miała za sobą spotkanie nie z sedesem i wanną, tylko z orbitrekiem i sztangą.

„To przecież nie chodzi tylko o kaca i niewyspanie” – dręczyło ją coś w środku. Na poniesione straty w urodzie miała kosmetyki, na łupanie

w głowie – kawę i świeże powietrze, na suchość w ustach – niezawodną colę z cytryną.

Ale co miała zrobić ze swoim życiem?

Co można zażyć na poczucie winy?

Co zrobić z tą okropną świadomością: oszukiwała przyjaciółkę, nadużywała zaufania dobrej, serdecznej osoby, która przyłgnęła do niej, bo w obcym kraju – choć znalazła miłość – była jednak dość osamotniona, potrzebowała powiernicy, koleżanki, damskiego wsparcia i damskiej widowni, która podziwiałaby jej szczęście. Elpida, zakochana po uszy w Jacku, pewna swojej miłości i jego wzajemności, straciła czujność. Przestała dostrzegać w Kaśce drugą kobietę, której relacje z Jackiem mogą polegać na czymś innym niż na czystym koleżeństwie. A Kaśka... No właśnie, co Kaśka? Kaśka, droga Elpido, zakochała się w twoim mężu. Ale czy to coś złego, nieuczciwego? „Czy ja go podrywam, uwodzę, ciągnę do łóżka?” – Kaśka zadawała sobie retoryczne pytania, które miały ją wybielić we własnych oczach. „Czy wyrządzam zło”? Jeśli tak, to tylko sobie, bo wpadłam w beznadziejną pułapkę, wpakowałam się jeszcze gorzej niż przedtem z Marcinem. To się nigdy nie spełni, nigdy nie dokona, nie najem się nigdy tej miłości... On kocha ją, ja kocham jego, nigdy nie upadnę tak nisko, żeby zrobić takie świństwo kobiecie, która podeszła do mnie z sercem na dłoni...”.

Ten obraz sytuacji byłby już dostatecznie okropny, żeby obrzydzić Kaśce życie w ogóle, a w szczególności utrudnić proces porannego wychodzenia z kaca. Ale przecież dobrze wiedziała, że to nie jest jeszcze pełny obraz. Pełny – a w każdym razie pełniejszy – dostrzegła wczoraj w łazienkowym niby-selfie. W lustrze, w które oboje z Jackiem wpatrywali się najwyżej przez trzy albo cztery sekundy. O trzy albo cztery sekundy za długo. Dostrzegła go też w jego oczach, kiedy wszedł do kuchni, w której Kaśka wiązała kokardę na plecach Elpidy. Widziała, jak na nie patrzy. Widziała, jak na *nią* patrzy. Wiedziała, że z Jackiem też dzieje się coś... Coś, co dzieć się nie powinno. Że to nie jest wcale samotne cierpienie świętej Katarzyny, że jej winy wobec Elpidy są głębsze niż to, że znalazła się nie tam, gdzie trzeba i nie wtedy, kiedy trzeba. I wiedziała, że żadne wybielacze nie zmażą brzydkich zacieków na sumieniu niemożebnie ukochanej wnusi babci Honorki. Odstawiła na stół pusty kubek po kawie. Na wspomnienie bezgranicznie dobrego i zakochanego w niej spojrzenia starej kobiety napłynęły do jej oczu łzy. Kaśka nie musiała zadawać sobie pytania, co powiedziałyby o tej sytuacji babcia. Wiedziała, że nie

pochwalałaby jej za brnięcie w ten galimatias, a jednocześnie – i to chyba bolało najbardziej – nigdy, przenigdy, niezależnie od wszelkich wątpliwej jakości akcji wnuczki i jej „paradnych” odjazdów, nie odwróciłaby się od niej i nie przestała patrzeć na nią z miłością. „Trzymaj mnie za rękę i nie becz” – to była babcina troska, babcina mądrość i wielkie, jakże trudne do spełnienia zobowiązanie.

Kaśka wstała, wyniosła kubek do kuchni i wstawiła go do zlewu. Potem poszła do łazienki i włączyła suszarkę, żeby dosuszyć włosy. Potrzebowała im poświęcić jeszcze parę minut, a pora była już najwyższa, żeby wreszcie wybrać się do pracy. Z kacem czy bez.

Rozdział 6.

Bodaj największą zaletą pracy w Strychu było to, że Kaśka potrafiła się w niej kompletnie – no, może prawie kompletnie – wyłączyć ze swoich prywatnych spraw. Wpadała w wir wysysający z niej wszystkie siły, energię, uwagę i moce intelektualne. Wychodziła z pracy jak po dobrym treningu na siłowni – zmęczona, ale z przyzwoitym zapasem endorfin.

Tego dnia – a było to już pod koniec września – Kaśkę szczególnie rozgrzał jeden z elementów treningu: telefon od wiceprezesa Ratajczaka z Alpha Amsterdam Bank. Strych miał tam niewielki kredyt zaciągnięty w związku z realizacją jednego ze spektakli w ubiegłym sezonie. Kiedy podliczono koszty, okazało się, że gaże gościnnie występującej w Strychu gwiazdy scenicznej z Wrocławia, dekoracje ambitnie zaprojektowane przez gwiazdę scenografii teatralnej z Krakowa oraz muzyka skomponowana przez gwiazdę z Warszawy przekroczyły planowany budżet spektaklu o jakieś trzydzieści tysięcy złotych z niedużym kawałkiem. Nie było innej metody szybkiego sfinansowania deficytu jak kredyt. AAB – od niedawna obecny na polskim rynku – chętnie zaproponował niezłe warunki. W imieniu Strychu negocjował wtedy z bankiem zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych. Facet przeszedł już na emeryturę i teraz na tym stanowisku był wakat, a obowiązki dyrektora tymczasowo rozdzielono między zespół Kaśki, główną księgową a samego Staszka Rachwalskiego, który nie przepadał za sprawami finansowymi, ale całkiem niezłe sobie z nimi radził.

Przy współpracy z AAB pewną rolę odegrał zapewne fakt, że wiceprezes zarządu banku, Krzysztof Ratajczak, był pasjonatem teatru i miał dobre rozeznanie w życiu teatralnym Warszawy. Tamten początkowo deficytowy spektakl okazał się zresztą sukcesem, przedstawienia wykupiono na długo naprzód, w teatralnym programie pojawiły się też reklamy paru znanych firm i nie było problemów ze spłatą zobowiązań wobec AAB. Ale prezes Ratajczak nie dzwonił tym razem w sprawie kredytu, choć o tym w pierwszej chwili pomyślała Kaśka, kiedy usłyszała w telefonie głos Iwonki:

– Kasiu, mam na linii sekretarkę prezesa Ratajczaka z AAB. Pan prezes chciałby porozmawiać.

– Jasne, jasne, połącz.

Po paru zgrzytnięciach w słuchawce rozległ się głos bankowca. Kiedy już mieli za sobą wstępne grzeczności, padła nieoczekiwana, a miła propozycja: Alpha Amsterdam Bank jest zainteresowany sponsorowaniem działalności Strychu.

– Pani dyrektor, my, profani i groszorozy, chcielibyśmy się jakoś wdrzeć na Olimp, a skoro nie potrafimy inaczej, to może chociaż w ten sposób, wspomagając artystów. Słyszałem, że Uner Kernes przygotowuje dla państwa *Cenerentolę* Dabescha. To na pewno będzie ważne wydarzenie. Widziałem kiedyś jego spektakl na festiwalu w Avignonie. – Ratajczak najwyraźniej nie zmyślał, kiedy mówił o swoim zainteresowaniu teatrem. – AAB chętnie wzięłoby w tym udział. Myślę, że moglibyśmy wesprzeć ten projekt. Sto tysięcy jako główny sponsor. Co pani na to? A poza tym moglibyśmy porozmawiać o szerszej współpracy i strategicznym partnerstwie. Myślę, że i w sprawie kredytów dałoby się zaproponować coś ciekawego.

– Panie prezesie, to świetna wiadomość! – Trybiki w głowie Kaśki obracały się z maksymalną dopuszczalną przez prawo szybkością. – Budżet *Centeneroli* mamy w zasadzie domknięty, bo bardzo nam pomógł Instytut Goethego. Ale zawsze można przesunąć środki...

– Chętnie będziemy występować na afiszu obok Instytutu Goethego. Ale jednak jako główny sponsor.

– Oni nie są firmą komercyjną, więc na pewno da się znaleźć jakąś formułę...

– Pani dyrektor, liczę na dobre miejsca na premierze. Spotkajmy się w najbliższym czasie, żeby omówić szczegóły. Zapraszamy do nas. Proszę umawiać spotkanie przez sekretariat.

– Miłego dnia, panie prezesie. Łał!

„Łał!” padło już na szczęście po przerwaniu połączenia.

Kaśka jeszcze przez chwilę siedziała nieruchomo przy biurku, po czym zerwała się z miejsca i wyszła do pokoju sekretarki.

– Iwonko, w przyszłym tygodniu dzwoń do sekretariatu Ratajczaka i umów mnie i Wojtka na spotkanie – rzuciła, po czym wyszła na korytarz i szybkim krokiem skierowała się do pokoju Wojtka Knapika, żeby podzielić się z nim dobrą wiadomością. A potem oboje w tym samym celu poszli do Staszka Rachwalskiego.

*

Było już po pierwszej, kiedy tym razem to Wojtek pojawił się w jej pokoju. Właściwie weszła sama głowa Wojtka. Weszła i zapytała:

– Chińczyk, kebab czy Malwinka?

– Hm... Może Malwinka? – odpowiedziała Kaśka po chwili namysłu. – Dawnośmy nie byli. Piętnaście minut?

– OK – odpowiedziała głowa, po czym zniknęła, wyciągnięta za drzwi przez resztę Wojtka.

Niedaleko Strychu, w odległości nieprzekraczającej pięciu minut spacerem znajdowały się trzy lokale, w których Kaśka z Wojtkiem – a także inni pracownicy teatru – często jadal lunch. Pani Malwina była właścicielką niepozornie wyglądającej dziupli, opatrzonej szyldem OBIADY DOMOWE – JAK U MAMY. Lokal – w odróżnieniu od samej pani Malwiny – nie wyglądał imponująco, ale jedzenie rzeczywiście było dobre. Schabowe, mielone, pierogi, żeberka, dewolaj, leniwe, sztuka mięsa z sosem chrzanowym, pyzy, gołąbki, liczne sałatki – w różne dni różne potrawy, a wszystko świeże i własnej roboty. Do tego całkiem niedrogo. Pani Malwinie pomagał w biznesie i w kuchni mąż, pan Heniek, rumiany i zawsze uśmiechnięty. W Obiadach były cztery stoliki i długa kolejka do kasy, bo ludzie z okolicy przychodzili kupować rzeczy na wynos. Kaśce też się zdarzało kupować u Malwiny do domu pierogi z mięsem albo leniwe, albo uszka do barszczu. Lubiła tamtejsze smaki. W Malwince – jak ją pieszczotliwie nazywali – była w stanie zjeść nawet sałatę ze śmietaną i cukrem, choć nie znosiła tej potrawy, kojarzącej się jej ze stołówkami w domach wczasowych, do których w dzieciństwie jeździła z rodzicami, i z nudnymi imieninami ciotki.

U Malwiny w ogóle był klimat nostalgiczny, sprzyjający wspominkom i grzebaniu w przeszłości. Tym razem wzięło Wojtka, który w ostatni weekend odwiedził rodziców w Ostrołęce, i teraz wspominał o swoich rozmowach z ojcem, o problemach matki ze zdrowiem, o koniecznych naprawach w ich domu...

– Do ojca przyjechał na weekend kumpel z dawnych lat, niejaki Mietek Solecki. Znają się jeszcze ze szkoły, przyjaźnią się bardzo. Ten Mietek wyniósł się po szkole z Ostrołęki i pojechał szukać szczęścia w Warszawie. Coś niby próbował studiować, kręcił się, ale niezbyt mu to wszystko wychodziło –

opowiadał Wojtek, jedząc swoje ulubione gołąbki, które popijał kompotem truskawkowym „jak w domu”. – To nie były dobre czasy dla słoików. W końcu się zwinął i wylądował w Ostródzie. Ojciec żartem powtarza, że Mietek chciał wracać do Ostrołęki, ale po pijaku pomylił na dworcu napisy i wsiadł do pociągu do Ostródy, bo się tak samo zaczyna.

Przy ich stoliku pojawił się rumiany pan Henio, który przyniósł dwa talerzyki z ciastem drożdżowym. Zamówili je na deser.

– Wszystko pasuje, pani Kasiu? – spytał.

– Jak zawsze palce lizać, panie Heniu – odpowiedziała, a Wojtek energicznie pokiwał głową, bo akurat miał pełne usta.

– Ale to jednak nie był przypadek – ciągnął po chwili opowieść o Soleckim. – W tej Ostródzie zaczął pracować przy łodziach. W dzieciństwie nazywał się książek o żeglarzach i Wikingach. Zawsze miał rękę do drewna, znał się na tym, chociaż był samoukiem. Pracując u innych, nauczył się fachu, a potem założył własną firmę. Sole-Yacht. Że niby Solecki, a przy tym słońce, morze, jachty...

– Niezła nazwa – powiedziała Kaśka znad medalionu z kurczaka z ziemniakami i surówką z marchwi.

– W każdym razie odpaliła mu ta firma jak rakietę. Akurat idealnie trafił na odpowiedni moment. Polskie łodzie zrobiły się znane w świecie, on powymyślał jakieś bajery, których nikt inny wcześniej nie robił, czas był ogólnie niezły dla biznesu... I facet wystrzelił. Dzisiaj jest jednym z poważniejszych producentów łodzi w Polsce. Ma zamówienia z całego świata. Tłucze te łodzie dla szejków, dla nafciarzy z Teksasu, dla playboyów z Anglii i modelek z Paryża. Zatrudnia kupę ludzi, stał się w tej Ostródzie ważnym przedsiębiorcą i cenionym obywatelem... I od czasu do czasu przyjeżdża do mojego starego, siedzą przez cały weekend, gadają, jedzą, popijają gorzałkę, chodzą na spacer. Wspominają, rozmawiają o polityce, obmawiają wspólnych znajomych... Czasem ojciec jeździ do niego, ale rzadko, bo nie chce matki zostawiać.

Wojtek zaczekał, aż Kaśka upora się ze swoim kurczakiem, po czym odstawił ich talerze na ladę obok pani Malwiny i oboje przystawili bliżej talerzyki z ciastem.

– Weź mi też kompot – poprosiła Kaśka.

Stałym bywalcom kompot do obiadu przysługiwał gratis.

– To taki nasz pomysł marketingowy, pani Kasiu – mawiał pan Henio,

puszczając oko do swojej ulubionej klientki, którą oczywiście już dawno odpytał o jej stanowisko w Strychu.

– Facet ma forsy jak lodu. – Wojtek zaczął emisję kolejnego odcinka „Mietek Story”. – Zarobił na tych łodziach gigantyczną kasę. Od dawna proponuje ojcu pomoc. Teraz chce mu sfinansować wymianę ogrzewania i inne rzeczy, które trzeba w domu zrobić. Fajny gość. Ale stary jest ambitny, uparty, nie daje sobie pomóc. Będzie się z tym pieprzył przez pięć lat, zamiast zrobić szybko i porządnie, ale za to od nikogo nic nie będzie brał. Ode mnie też nie bardzo chce przyjąć pomoc – mówił Wojtek wyraźnie podenerwowany uporem ojca.

– Słuchaj, a czy to wiadomo, co jest w życiu ważniejsze? Dobre ogrzewanie czy satysfakcja i poczucie własnej wartości? Przecież liczy się to, co cenimy, a nie to, co cenią inni. – Kaśka objaśniała młodemu Knapikowi starego Knapika, zbierając na pośliniony palec resztę kruszonki z talerzyka.

– Wiem, wiem. – Wojtek koncyliacyjnie kiwał głową.

Kaśka lubiła takie opowieści jak o Soleckim i ojcu Wojtka – dwóch kumplach z Ostrołęki, którym się różnie życie potoczyło. Kolekcjonowała życiorysy, ludzkie historie, tak jak inni zbierają obrazy czy znaczki. Lubiała też te ich lunchowe pogwarki, pełne poczucia koleżeństwa. Lubiała Wojtka, lubiała swoją pracę.

Po lunchu wolnym krokiem ruszyli z powrotem do Strychu. Znalazłszy się w swoim pokoju, Kaśka znów wróciła myślami do tego, co powiedział jej prezes Ratajczak. Po krótkiej przerwie trening został wznowiony, trybiki znów przyspieszyły. Strategiczne partnerstwo z AAB otwierało przed Strychem naprawdę spore możliwości. Zaczęła się zastanawiać, liczyć. Ich teatr działał jako fundacja. Ułatwiała to przyjmowanie wpłat od sponsorów i darczyńców. Działalność Strychu finansowana była częściowo z pieniędzy publicznych – bezpośrednich dotacji od miasta oraz sponsorskich wpłat różnych spółek miejskich. Kiedy na przykład wystawiali *Tramwaj zwany pożądaniem*, do spektaklu dołożył się Zarząd Transportu Miejskiego. (Dostali też wtedy od ZTM skuteczne wsparcie promocyjne: przez trzy weekendy po Warszawie jeździł tramwaj oznaczony „Pożądanie”, w którym na monitorach wyświetlano fragmenty spektaklu, a raz nawet Grodecka z Mikoszem – czyli sceniczni Blanche i Stan Kowalsky – na żywo odstawiali na pomoście sceny awantur z dramatu Tennessee Williamsa. Robili to tak sugestywnie, że jakaś starsza pasażerka zażądała w pewnej chwili od Mikosza, żeby natychmiast przestał

„się pastwić nad tą panią”, i zagroziła wezwaniem policji). Aplikowali też o publiczne pieniądze z różnych innych źródeł, czasem z lepszym, czasem z gorszym skutkiem. Poza tym była sprzedaż biletów, sponsorzy, reklamy w teatralnych programach, na afiszach i rozwieszanych we foyer tablicach, wynajem sali na imprezy oraz kontraktowanie niektórych spektakli przez firmy komercyjne.

Pod koniec dnia znów usiedli z Wojtkiem i zaczęli się zastanawiać, które ze środków zaplanowanych na realizację *Cenerentoli* można bez naruszania przepisów i regulaminów dotacyjnych przesunąć na inne cele, uzupełniając braki funduszami obiecany przez Ratajczaka. Poszli też razem do głównej księgowej naradzić się w tej sprawie. Okazało się, że dzięki wpłacie AAB na fundusz *Cenerentoli* uzyskają całkiem spore możliwości podreperowania budżetów co najmniej dwóch innych przedsięwzięć. Wypełniali arkusze kalkulacyjne, gapili się w tabelki, zaglądali do umów. A potem trening się skończył i można było iść do domu. Kaśka zmęczona, ale zadowolona spakowała torbę i ruszyła w stronę metra.

Naprawdę lubiła swoją pracę.

Rozdział 7.

Od czasu niedawnej rozmowy w kawiarni na Francuskiej Lala upierała się, że muszą jak najszybciej znów „spotkać się i pogadać”. Bo „tak dalej nie można”. Kaśka nie była zachwycona tą perspektywą, bo dobrze wiedziała, na czym ma polegać to pogadanie i do czego będzie ją namawiać przyjaciółka, wiedzona oczywiście jak najszczerszymi intencjami dopomożenia jej i „wyciągnięcia jej z tego”. Opierała się więc przed spotkaniem, tłumaczyła Lali, że wszystko sama dobrze wie, tyle że z tego nic nie wynika.

– Nie musisz mi mówić, że tak dalej nie można. Teoretycznie jestem dobra, przynajmniej tak jak ty – cierpliwym i nieco zrezygnowanym głosem mówiła do telefonu. – Ale ciągle o nim myślę. Widzę go, kiedy zamykam oczy przed snem. Myślę o jego rękach. O uśmiechu. Śmieszą mnie jego żarty. Wiem, kiedy sobie kupuje nową koszulę. Nie miałaś tak nigdy? Bo ja nie. Może trochę, na samym początku z Marcinem.

– No i dobrze wiesz, jak to się skończyło. – wykrzyknęła Lala triumfalnie. – To jest jakieś cholerne zauroczenie, chwilowe, bez sensu. Dawno nie byłaś z facetem. Pewnie jesteś tak naerotyzowana, że i w tym łysym z *Rodziny Adamsów* też byś się zakochała.

– Nie obrażaj mnie. Ani Jacka. On jest naprawdę bardzo przystojny. A w ogóle mówisz jak moja ciotka, a nie jak przyjaciółka.

– Nie gniewaj się, Kasiu. Wierzę, że jest superprzystojny, ale on ma żonę. Podobno się z nią przyjaźnisz! Chcesz jej zrobić krzywdę, ma przez ciebie wyjechać z Polski albo się powiesić? Otruć?

Na tym etapie rozmowy Kaśka zwykle zaciniała się w sobie i milkła, a raz czy dwa Lali udało się doprowadzić ją do płaczu.

– Kasieńko, nie wściekaj się, wiem, że strasznie cierpisz. Musimy się spotkać, porozmawiajmy spokojnie.

Lala myliła się w jednym: Kaśka wcale tak bardzo nie cierpiała. Owszem, zdawała sobie sprawę z beznadziei tej sytuacji i braku dobrego wyjścia. Jeszcze silniej doskwierało jej poczucie winy wobec Elpidy. Coraz bardziej też krępowała ją życiowa rola samotnej ciotki-rezydentki przy rodzinie przyjaciół. Różni znajomi zaczęli zresztą reagować niejakim zdziwieniem na

ten stan. Ale jednocześnie błogosławione skutki zakochania niezależnie od wszystkiego sprawiały, że częściej niż dawniej zdarzały się jej chwile radości, przyływy energii. Świat bywał znów wesoły i kolorowy. No i to obłądne lato... W którejś z niezliczonych rozmów telefonicznych, kiedy Lala próbowała „wyciągnąć ją z tego”, Kaśka podsumowała ten stan swojego ducha.

– Wiesz, właściwie to nie wiem, co jest gorsze: mieć faceta, którego się nie kocha, czy nie mieć faceta, którego się kocha.

Po chwili milczenia zrezygnowana Lala wymamrotała w słuchawkę:

– Myślałam, że potrzebny ci terapeuta. Ale ty potrzebujesz egzorcysty.

– No to po co mamy o tym gadać? Nie masz uprawnień – powiedziała cicho Kaśka.

Ale oczywiście potrzebowała dobrego uśmiechu i ciepłego spojrzenia Lali, wiedziała, ile dla niej znaczy, ile znaczą dla siebie wzajemnie... Po śmierci babci Honorki to właśnie Lala stała się jej najbliższą powiernicą, bezwarunkowo ją wspierającą, choć na co dzień zdarzało jej się okropnie marudzić. Kaśka zdawała sobie sprawę, że od Lali nie usłyszy żadnej rady, która w istotny sposób odmieni jej sytuację, ale fakt, że gdzieś na Saskiej Kępie siedzi bratnia dusza, która martwi się o nią, myśli o niej, dobrze jej życzy, przejmuje się i chce pomóc – ten fakt niewątpliwie był jednym z najważniejszych świadczeń socjalnych, jakie Kaśce ofiarowało życie.

Jechała więc znowu na Saską Kępe, tym razem autobusem linii 117. Po raz pierwszy od kilku tygodni trafił się pochmurny dzień, rano nawet trochę padało. Miały się umówić z Lalą w tej samej kawiarni co poprzednio, ale Kaśka obawiała się, że w związku z pogodą nie będą mogły siedzieć na zewnątrz, a nie miała ochoty przekrzykiwać gwaru rozmów i muzyki w ciasnym wnętrzu. Lala przerwała jej telefoniczne rozważania:

– Oj, już tak nie mękol. Jak wolisz, to przyjedź do mnie. Sławek ma dyżur i wróci późno. Zdamy się nagadać. I będzie bez wina, bo to ma być poważna rozmowa. No, może po łyżku.

Kaśkę i Lalę łączył szczególny związek. Znały się od dzieciństwa: chodziły do tej samej szkoły podstawowej, potem do tego samego liceum. Polubiły się od pierwszego dnia znajomości, a po latach wypełnionych dziewczynską symbiozą czuły się żyte ze sobą jak siostry. I to bliźniaczki. Takie, które się nigdy ze sobą na poważnie nie kłócą i mają dla siebie niewyczerpywalne, a w każdym razie łatwo odnawialne zasoby cierpliwości i miłości.

Szczególną rolę w tej wspólnocie dusz przyjaciółek odegrał istotny epizod dotyczący wspólnoty ciał: zrzącenie losu, że obie przeżyły swój pierwszy raz tej samej nocy i w tym samym mieszkaniu. W przedostatniej klasie licealnej, kiedy dziewczyny miały po siedemnaście lat, w ich towarzystwie zaczął się czas intensywnego życia rozrywkowego i imprezowania. Alkohol, hormony, muzyka, niekiedy eksperymenty z trawką i moda na dorosłość – wszystko to tworzyło niezwykle skuteczną mieszankę, która umiała sobie radzić z niezbyt ugruntowanymi efektami umoralniających pogadanek, lękami i przebłyskami zdrowego rozsądku. W szkole na przerwach dziewczyny opowiadały sobie, która już po (takie wyznania, choć czasem podkolorowane, wzbudzały szmer uznania i aprobujące kiwanie głowami), chłopcy z kolei, w swoim gronie, z minami królów życia rzucali krótkie informacje (czasem również podkolorowane) o kolejnych zaliczeniach. Kaśka z Lalą były częścią tego wariactwa, uczestniczyły w poimprezowych opowieściach, chociaż wciąż jeszcze żadna z nich nie była w stanie ogłosić kluczowego komunikatu.

Kiedyś trafiły obie w większym towarzystwie do jednego z warszawskich klubów, którego klientelę stanowili w większości studenci politechniki. Zabawa toczyła się według standardowego przepisu: głośną muzykę zapewniał klub, alkohol od pewnego momentu dostarczali Kaśce i Lali dwaj studenci mechatroniki, którym dwie młode laseczki najwyraźniej wpadły w oko, hormony w dostatecznych ilościach dziewczyny organizowały sobie w ramach produkcji własnej.

Klasowe towarzystwo gdzieś się rozpieczęściło i w pewnym momencie Kaśka i Lala straciły kumpli z oczu. Przez cały czas trzymały się razem, a z nimi trzymali się dwaj przyszli mechatronicy. Jak to przeważnie bywa, takie sytuacje kończą się zazwyczaj propozycją kontynuowania zabawy w bardziej kameralnych okolicznościach – tym razem chodziło o przyjemny dom jednorodzinny na starym Mokotowie, w którym mieszkał jeden z chłopaków. Co prawda z rodzicami, ale ci akurat wybrali się w rejs turystyczny po Morzu Śródziemnym. Kiedy padła propozycja, Kaśka i Lala wymieniły krótkie – niewolne od niejkiej desperacji – spojrzenia i bez ceregieli obie udzieliły sobie milczącego pozwolenia na ciąg dalszy.

Nocny mrok rzedł już, kiedy taksówka wysadziła ich na Łowickiej. Ostatni drink, chwila rozmowy, tym razem spokojna muzyka i krótki taniec. W końcu każda z nich wylądowała w osobnym pokoju z innym mechatronikiem...

Spotkały się wczesnym rankiem w okolicach łaźienki.

– Muszę już iść. Zostajesz jeszcze? – spytała Lala.

– Nie, pójdę z tobą.

Po kwadransie obie były gotowe do wyjścia. Starły się nie hałasować, nie obudzić zdronzonych towarzyszy mijającej nocy. Obie chciały możliwie szybko opuścić willę. Wspólnymi siłami poradziły sobie z zamkami, domofonem i furtką. Po chwili były na ulicy. W porannym chłodzie szybkim krokiem szły w stronę alei Niepodległości. Nie rozmawiały o poprzednim wieczorze, o tym, co się działo na Łowickiej. Zastanawiały się, jak najszybciej dostać się do domów, czy starzy nie będą się wściekać. Doszły po paru minutach do miejsca, w którym miały się rozejść do różnych przystanków autobusowych, bo jechały w przeciwnych kierunkach. Kaśka musiała przejść na drugą stronę alei, Lala miała bliżej do przystanku. Na pożegnanie objęły się i uściślały – może trwały w tym uścisku chwilę dłużej niż zwykle? Ucałowały się w policzki.

– Zadzwoń.

– Zadzwoń.

Autobus Kaśki przyjechał pierwszy. Zanim wsiadła, pomachała jeszcze Lali stojącej po przeciwległej stronie skrzyżowania.

Nie rozmawiały o tamtej nocy ani w trakcie porannego, pospiesznego spaceru do autobusu, ani nigdy później. Ani razu. Musiało minąć kilka lat, zanim to wydarzenie zaczęło się pojawiać w jakichś aluzjach, żarcikach, wspominkach. Ale nigdy nie rozmawiały o tym, jak to przeżyły, jak się wtedy czuły, czy były zadowolone, czy przygnębione... Więzy między nimi a partnerami tamtej nocy nie przetrwały dwóch tygodni. W obu przypadkach ograniczyły się do paru zdawkowych rozmów telefonicznych, „może byśmy kiedyś”, „tak, tak, trzeba będzie”. A mimo wszystko przyjacielska więź Kaśki i Lali czerpała jakąś dodatkową siłę z faktu, że dziewczyny były dla siebie wzajemnie świadkami w ważnej chwili. Słowa nie były żadnej z nich potrzebne. Przynajmniej w tej sprawie.

Wysiadła na Francuskiej i ruszyła w kierunku Berezyńskiej. Lato się najwyraźniej kończyło, dzień był chłodnawy i mokry. Ale Kaśce zrobiło się ciepło na sercu, że za chwilę zobaczy dobrą twarz przyjaciółki. Wiedziała, że Lala będzie marudzić, besztać ją i udzieli jej stu pięćdziesięciu serdecznych, mądrych i najzyczliwszych – tyle że kompletnie nieprzydatnych – porad. Chciała ich i bardzo potrzebowała.

Rozdział 8.

Lato kończyło się już definitywnie. W teatrze rozkręcał się nowy sezon, co miało też wpływ na działania Kaśki, bo oznaczało wzmożone kontakty z dziennikarzami i dodatkowe obowiązki piarowskie. Przyjęło się, że dyrektorka do spraw marketingu była obok Staszka Rachwalskiego główną rzeczniczką Strychu. Reprezentowanie teatru w sprawach ściśle artystycznych należało do kompetencji dyrektora naczelnego i artystycznego, ale kiedy ktoś interesował się innymi sferami życia ich zespołu, Kaśka rozmawiała o teatrze chętnie i ze swadą. Była też za to lubiana przez większość dziennikarzy, którzy chętnie się z nią kontaktowali.

Jednym z nielicznych wyjątków od tej reguły była pewna pięćdziesięciolatka pracująca dla portalu Proscenium.pl. Kaśka na ogół ujmowała rozmówców uśmiechem i urokiem młodej, zaangażowanej w swoją pracę, dobrze wykształconej i atrakcyjnej kobiety. W przypadku redaktor Kostrzewskiej była to strategia najgorsza z możliwych. Od pierwszego kontaktu widać było, że chemia między nimi polegała na próbach wzajemnego oblania się kwasem solnym. Kaśce zawsze się wydawało, że ma do czynienia z publicznym oskarżycielem, a nie dziennikarką. Zaczynało się to od spraw najprostszych, ale na nich się nie kończyło. Kaśka na spotkania służbowe zawsze starała się ubierać w stonowane, profesjonalne stroje. Ale Kostrzewska, która gustowała w ascetycznym stylu „aktywistka ZMP w trakcie rekwizycji zboża” – płaskie obcasy, męskie koszule, proste spódnice, rozpinane swetry, dyskretne kolory, zero makijażu, zero biżuterii, włosy spięte prostą kłamrą w koński ogon, torba typu powstańczy chlebak przewieszona przez pierś – i tak za każdym razem była zgorszona: obrzucała prokuratorским spojrzeniem odsłonięte zgrabne nogi Kaśki, na sekundę zawisała potępiającym wzrokiem na jej biuście, ironicznym, ledwo zauważalnym uniesieniem prawej części górnej wargi kwitowała makijaż. Ilekroć rzeczniczka Strychu bezwiednie wykonywała naturalny u niej, wdzięczny gest odrzucenia w tył wypielęgnowanych włosów, Kostrzewska witała to błyskiem zgorszenia w oku, jakby Kaśka w obecności dziennikarzy gięła się w nie wiadomo jak grzesznych i lubieżnych wygibasach. Najwyraźniej w pojęciu pani redaktor

właściwym strojem dla młodej kobiety był pokutny wór, popiół na głowie i drewniane trepy na nogach.

Ale nie chodziło tylko o ubiór.

Kaśka odnosiła wrażenie – na podstawie lektur jej tekstów i kontaktów osobistych – że krytyczka Proscenium.pl ma całkiem staroświecką wizję teatru, ukształtowaną przez tradycję romantyczno-patriotyczną. W jednym ze swoich tekstów Kostrzewska wyraziła się krytycznie o reformatorskich poglądach Edwarda Craiga, który dla Kaśki był już teatralną prehistorią. Przy różnych okazjach krytykowała co bardziej awangardowe przedstawienia i – choć nie sposób było odmówić jej artykułom inteligencji, erudycji i dobrej orientacji także i we współczesnym teatrze – Kaśka nie czuła w niej sojuszniczki ani przy ambitniejszych artystycznie przedsięwzięciach Strychu, ani przy bardziej komercyjnych poczynaniach, podejmowanych dla ratowania budżetu.

Nie lubiła Kostrzewskiej i trochę się jej bała. Teraz, u progu nowego sezonu 2015/2016 też. Po rozesłaniu przygotowanej przez Kaśkę informacji o planowanej premierze *Cenerentoli* w reżyserii Kernesa Kostrzewska zadzwoniła i zapytała, jaki właściwie sens ma sprowadzanie gościa z Niemiec, skoro tylu jest w Polsce zdolnych ludzi teatru. Miała też wątpliwości co do samej sztuki i jej tytułu. Przecież włoska *La Cenerentola* to po prostu Kopciuszek, więc dlaczego nazywa się tak dziwnie. Kaśka nie wiedziała, czy Kostrzewska chce ją sprowokować, czy kompletnie zwariowała, ale odpowiadając, starała się za wszelką cenę zachować spokój. Wyjaśniała cierpliwie, że sam autor – Niemiec – nadał sztuce włoski tytuł i polski tłumacz zachował tę konwencję, a poza tym nie chodzi o wystawienie kolejnej wersji bajki dla dzieci, tylko o przeniesienie w realia dzisiejszego świata pewnych uniwersalnych motywów nienawiści, wykorzystania i poniżenia, zazdrości, dążenia do szczęścia, dobra triumfującego – motywów, które wszyscy tak dobrze znamy z tej prostej historii opowiedanej od starożytności... Nie wierzyła, że ktoś może zadawać tak durne pytania, a ona udzielać tak banalnych odpowiedzi. Po paru minutach rozmowy Kostrzewska rzuciła kwaśno w słuchawkę:

– No dobrze, dziękuję pani za informacje.

I rozłączyła się. Kaśka jeszcze przez chwilę siedziała przy swoim biurku, sycząc z wściekłości. Nie wytrzymała długo w samotności i poszła do pokoju Wojtka Knapika, żeby wypuścić z siebie choć część pary, która w trakcie

właśnie zakończonej rozmowy osiągnęła w jej głowie niebezpiecznie wysokie ciśnienie.

– Ty wiesz, co ta idiotka mi nagadała...? – zaczęła już od drzwi, nie przejmując się zdziwioną miną swojego zastępcy.

Po chwili rozmowy oboje nie mieli żadnych wątpliwości, jaką recenzję z ich najambitniejszego przedsięwzięcia artystycznego najbliższych miesięcy zamieści portal Proscenium.pl. Oczywiście miało to dość istotny wymiar praktyczny. Kiedy Kaśka albo jej zastępca podejmowali jakieś rozmowy na temat finansowania różnych przedsięwzięć Strychu przez instytucje, fundacje czy prywatnych sponsorów, ich rozmówcy chwyтали się każdego pretekstu, żeby odmówić. Krytyczne wypowiedzi o działaniach teatru, szczególnie zamieszczane w liczących się mediach branżowych – a do takich niewątpliwie należało Proscenium.pl – były dla różnych prezesów i dyrektorów bardzo wygodnym narzędziem ułatwiającym odmowę wsparcia.

– Oczywiście, pani dyrektor, to rzeczywiście chyba ciekawy projekt, tylko że poprzednią waszą premierę oceniono nie najlepiej... – Tu naczelnik wydziału zdejmował okulary i stukał oprawką w kserokopię trzymaną w ręku.

– Z chęcią, pani Katarzyno, nasz bank zawsze chętnie wspiera kulturę, tylko chcielibyśmy mieć pewność, że finansujemy przedsięwzięcia najwyższej klasy... – Tu dłoń członka zarządu unosiła się znad biurka z wycinkiem z gazety.

Nikt lepiej niż Kaśka i Wojtek nie wiedzieli, jak szybko kilka niepochlebnych – albo pochlebnych – recenzji przekłada się na stan rozmów ze sponsorami. Z tego powodu Kostrzewska, która w ramach podziału obowiązków w Proscenium.pl zajmowała się między innymi ich teatrem, mogła być naprawdę groźna.

– Robię, co mogę, żeby ją udobruchać. Ale ona mnie naprawdę nie znosi... – Po fazie pobudzenia Kaśka zaczynała wpadać w chwilową depresję.

– Chodź do chińczyka, zjemy coś, poczujesz się lepiej – zaproponował Wojtek, żeby ją wyrwać z kredowego kręgu zakreślonego przez Kostrzewską.

– Ech, kolego Knapik – westchnęła Kaśka po chwili – wy i te wasze proste recepty na wszystko... Jeść, pić i chędożyć.

– Kasiu, proponowałem jedzenie, ale gdybyś...

– Na razie na tym poprzestaniemy. Zaczekaj, pójdę się ubrać.

Rozdział 9.

Była beznadziejnie zakochana w Jacku. Nie mogły tego zmienić żadne rozmowy, żadne rady przyjaciółki, postanowienia, wewnętrzne monologi ani głupkowate maksymy zamieszczane przez znajomych na Facebooku.

Lala bombardowała ją pogadankami i połajankami. Dzwoniła co parę dni.

– Kasiu, przecież każda samica ucieka od samca, który pachnie inną. Bo wyczuwa, że on jej nie da potomstwa. Czy ty nie masz kobiecego instynktu?

– Laluniu, co ty chrzanisz? Jeśli chcesz, to mogę ci się przyznać, że jestem tak naprawdę facetem i przyciąga mnie zapach samicy. Przecież kiedy myślę o Jacku, nie zastanawiam się nad potomstwem. Kiedy go widzę, nie zadaję sobie pytania, czy mi da dzieci.

– Zawsze się o tym myśli – upierała się Lala. – Było na ten temat mnóstwo badań. Facet patrzy na kobietę i analizuje, czy ma dostatecznie szerokie biodra i duże cyce, żeby mu urodzić i wykarmić dzieci. A kobieta bezwiednie sprawdza, czy facet otoczy ją opieką, kiedy ona będzie zajmować się potomstwem. Wszyscy mamy zwierzęcą naturę.

– A ty z tą twoją zwierzęcą naturą, jak idziesz do piekarni, to się zastanawiasz, czy sprzedawca da ci świeże bułki, czy potomstwo?

– Nie zagaduj mnie piekarnią. Co mają do tego piekarze i bułki? Mówię ci: to, co ty uprawiasz, to jest działanie wbrew własnej naturze.

– No to pojechałaś. Jakie działanie? Przecież ja nie działam, nic nie robię w tej sprawie!

– No właśnie, sama widzisz: nic nie robisz. A powinnaś. Bywaj więcej na imprezach, poznaj jakichś fajnych facetów, puść się z jakimś. Przecież możesz mieć przydupasów na pęczki.

Na pęczki czy nie na pęczki – Kaśka nigdy nie narzekała na brak powodzenia. Dobrze wiedziała, że budzi zainteresowanie mężczyzn. W pracy był Wojtek; wyczuwała, że faceta dzieli krok od poważnego zaangażowania, a żartobliwa konwencja jego koszarowych zalotów jest tylko sposobem na ukrycie poczucia beznadziei. Wojtek wiedział przecież, że zależność służbowa między nimi działa na jego niekorzyść, i widział, jak bezwzględnie Kaśka ucina wszelkie próby wprowadzenia w ich relacje tonów prawdziwego flirtu.

W gruncie rzeczy byli bliskimi kolegami: Kaśka jeszcze na długo przed rozejściem się z Marcinem opowiadała mu o kryzysach w ich związku; Wojtek znał jej relacje z rodzicami, bratem i babcią Honorką. Słyszał też ostatnio opowieści o nowych znajomych szefowej – pięknej Greczynce i jej polskim partnerze. Coś zaczynał podejrzewać, bo ostentacyjna beztroska, z jaką Kaśka o nich opowiadała, brzmiała mu trochę fałszywie. Znał ją przecież... On z kolei też raczył ją – przy chińskich daniach, falafelu z humusem albo Strychowych herbatkach – opowieściami o swoich podbojach i rozstaniach, problemach życia przyjeźdnego, który musi radzić sobie w Warszawie, dzieciństwie w Ostrołęce i rodzinie. Ale w tych częstych, całkiem intymnych rozmowach zawsze istniała wyraźnie przez Kaśkę zarysowana i skrupulatnie przestrzegana granica między bliskim koleżeństwem a najdrobniejszymi choćby przejawami romansowania.

Oprócz Wojtka byli inni. Choćby i najnowszy gość Strychu – Uner Kernes. Od tamtego powłóczystego spojrzenia, którym pierwszego dnia odprowadził ją, kiedy wychodziła z teatralnej widowni, minęły już prawie trzy miesiące. Kernes w tym czasie kilkakrotnie pojawiał się na parę dni w Warszawie. Za każdym razem zdarzały się takie sytuacje, w których najwyraźniej próbował nawiązać z Kaśką bliższy kontakt. Lubiła go, kilka razy zdarzyło jej się rozmawiać z nim sam na sam i urzekał ją swoją bezpośredniością, poczuciem humoru, niebanalnym sposobem mówienia o teatrze. On z kolei był pod wrażeniem Kaśki. W innej sytuacji mógł się z tego narodzić interesujący romans. W innej sytuacji... Kiedy Kaśka opowiadała Lali o swoich kontaktach z Kernesem, przyjaciółka z przejęciem potrząsała głową, aż proste, kasztanowe włosy z asymetrycznie przyciętej grzywki opadały jej na oczy.

– I co? No i co? Co było dalej? – pytała, obiecując sobie jakieś interesujące rozwinięcie akcji.

Kaśka popatrywała na nią z politowaniem, uśmiechała się i mówiła:

– I nic, Laleczko, ciekawie opowiadał o współczesnym dramacie niemieckim. I tyle. Mówiłam ci, że nie interesuje mnie żadne „dalej”.

– Kretynka. Wywracać tymi cielęcymi gałami przy Jacusiu, to cię interesuje, tak? Tylko uważaj, żeby jego żona a twoja przyjaciółka się nie domyśliła!

W pierwszych tygodniach po rozwodzie Kaśki interesował się nią – z niejaką wzajemnością – dawny kolega z roku zwany Fosforem. Ksywka jeszcze z czasów studenckich stanowiła hołd kolegów dla jego wybitnych zdolności mózgowych. Cały rok uważał go – nie bez racji – za czołowego

uczelnianego intelektualistę. A że podobno fosfor dobrze robi na sprawność mózgu... Chłopak rzeczywiście był niezwykle bystry, wykształcony i przenikliwy. Kiedyś jeden z profesorów – od literatury współczesnej – zażartował o nim publicznie, że Fosfor jest jedynym znanym mu człowiekiem, który potrafi rozprawiać na temat różnic znaczeniowych między wyrażeniami „tak czy owak” a „tak czy siak”. Ugruntowało to jeszcze bardziej opinię Fosfora jako superintelektualisty. Po studiach Kaśka straciła z nim bezpośredni kontakt, od czasu do czasu dowiadywała się tylko o losach kolegów z roku – w tym i jego – od przypadkiem spotykanych znajomych. Fosfor nie zrobił kariery, którą mu przepowiadano. Pracował kolejno w dwóch czy trzech prowincjonalnych teatrach, pisywał eseje, których nie miał gdzie publikować, sztuki, których nikt nie chciał wystawić, frustrował się, podobno zaczął popijać. Na dodatek zostawiła go wieloletnia miłość – dziewczyna, z którą związał się jeszcze w czasach licealnych.

Spotkali się z Kaśką przypadkiem na jednej ze śródmiejskich ulic akurat w czasie, gdy Kaśka rozstała się z Marcinem i zamieszkała u babci na Noakowskiego. Poszli na kawę, spędzili ponad godzinę, gadając o starych dziejach i nie tylko. Nigdy na studiach nie byli zbyt zaprzyjaźnieni, ale sentyment do dobrych, pełnych młodzieńczych nadziei czasów, które dla siebie wzajemnie symbolizowali, sprawił, że bez oporów zaczęli się zwierzać także z aktualnych kłopotów. Potem było jeszcze kilka kolejnych spotkań. Na początku Kaśce wydawało się, że nawiązuje się między nimi jakaś straceńcza wspólnota, której szczytowym przejawem było kilka nocy spędzonych w mieszkaniu Fosfora... Ale po krótkim czasie Kaśce zaczęły doskwierać jego zgorzknienie i frustracja. Zamiast znajdować w tym związku jakiś rodzaj wsparcia, którego bardzo wtedy potrzebowała, czuła się coraz bardziej jak terapeutka zajmująca się trudnym przypadkiem. Ich relacja przestała być symetryczna. Kaśka musiała w nią inwestować znacznie więcej energii, troski i uwagi, niż mogła dostać dla siebie. Za czwartym czy piątym razem, kiedy do niego przyszła z myślą o pozostaniu na noc – umówili się tego dnia rano przez telefon – Fosfor był kompletnie pijany. Coś próbował Kaśce tłumaczyć, bełkotał, usprawiedliwiał się. Był w takim stanie, że do obowiązków terapeutki doszedł Kaśce jeszcze dyżur pielęgniarski. W końcu ułożyła leżącego się przez ręce Fosfora na łóżku, uwolniła go od części ubrań, postawiła na podłodze przyniesioną z łazienki plastikową miskę, sprawdziła, czy w mieszkaniu nie ma żadnych niebezpieczeństw w postaci zapalonego gazu

albo odkręconej wody – po czym wyszła. I więcej nie wróciła. Fosfor próbował jeszcze to łątać, kleić, dzwonił do niej, przeproszał, namawiał, prosił... Nie spotkali się już ani razu. Nie chodziło tylko o pijacki incydent. Kaśka uświadomiła sobie, że jeśli wejdzie w ten związek na poważnie, ukręci sobie gruby sznur na własną szyję. Potrzebowała partnera, a nie powroźnika. Spokojnie, ale stanowczo przekazywała Fosforowi komunikat, że ma się od niej odczepić. Za którymś razem adresat właściwie odczytał wiadomość. W końcu Fosfor był naprawdę bystrym chłopcem...

– Pamiętasz, wtedy z tym całym Fosforem potrafiłaś wyczuć pismo nosem i w porę uciekłaś. A teraz straciłaś instynkt? Dlaczego pakujesz się w coś jeszcze gorszego? – Lala nie darowała sobie i tego argumentu, próbując „wyciągnąć z tego” przyjaciółkę.

– Teraz... Teraz, Laleczko, to ja się zakochałam.

– Jezus Maria... – westchnęła bezradnie Lala po chwili równie bezradnego milczenia.

No właśnie, Kaśka była w Jacku beznadziejnie zakochana. Była to niemalże miłość od pierwszego wejrzenia. Od dnia, w którym o siódmej wieczorem w grzybowskiej Kotwicy z uśmiechem uściśliły sobie dłonie, przedstawieni przez Elpidę, „Kaszka” czuła, że wszystko jest inaczej, niż było do tej pory.

– Elpida opowiadała mi, jak się zachowałam w sklepie u tego skurwiela. Dzięki za czujność i pomoc – powiedział wysoki, starszy od obu kobiet o kilka lat, dobrze zbudowany blondyn, ostrzyżony na krótko w stylu Toma Hanksa z *Forresta Gump*a, tylko – zdaniem Kaśki – duuużo od tamtego przystojniejszy.

– Wyjątkowo bezczelny oszust. Ale dzięki temu poznałam Elpidę. To superdziewczyna. No, a teraz poznałam ciebie...

To był pierwszy z długiej serii wieczorów, które spędzili we troje. Od razu przypadli sobie do gustu. Jacek był geologiem, pracował dla jednego z zachodnich koncernów poszukujących w Polsce gazu łupkowego. Temat na pierwszy rzut oka nie wydawał się bardzo sexy, ale Jacek potrafił o nim ciekawie opowiadać. Żył ostatnio w stanie pewnego zawieszenia: obawiał się, że jego firma – wzorem wielu innych – wycofa się niebawem z wierceń na terenie Polski. Niepewność co do rzeczywistej wielkości zasobów i niskie ceny ropy naftowej sprawiały, że kolejne koncerny wygaszały swoje koncesje na poszukiwania polskiego gazu. Jacek z Elpidą zastanawiali się, co będą robić, jeśli taką samą decyzję podejmie również hiszpański Petróleo y Gas de Navarra. Jacek miał szanse pracować dalej dla tej firmy, ale oznaczałoby to

z pewnością konieczność przeniesienia się na parę lat do innej części świata, prawdopodobnie do Chin. Kłóciło się to z interesami Elpidy: musiałaby zrezygnować z ciężko wywalczonej pozycji w Warszawie i pracy, w której świetnie sobie radziła i nieźle zarabiała. Włożyła dużo wysiłku w naukę polskiego i nie bardzo miała ochotę przerzucać się teraz na chiński – level 0. A poza tym oboje lubili swoje warszawskie życie, które – mimo częstych służbowych wyjazdów i jego, i jej – płynęło im szczęśliwie, harmonijnie i spokojnie. Między innymi o tych sprawach rozprawiali przy smażonych rybach i białym winie w Kotwicy, a Kaśka była pozytywnie zaskoczona tym, jak otwarcie, bezpretensjonalnie i szczerze tych dwoje potrafi opowiadać o swoim życiu dopiero co poznanej osobie. Wypytywali też Kaśkę o jej pracę, Strych, rodzinę, rozwód... Po pierwszej butelce wina na stół wjechała druga, po pierwszych zwierzeniach nastąpiły dalsze, po pierwszym wspólnym wieczorze przyszły kolejne. Nie tylko Lala nie umiała tego potem zrozumieć, słuchając relacji Kaśki – najpierw jeszcze z Grzybowa, a potem z Warszawy.

– I znowu byłaś przez cały dzień z nimi? – Biegło z warszawskiej Saskiej Kępy wypowiedziane nieco zdziwionym głosem pytanie Lali.

– Tak, teraz przyszedłam, żeby chwilę odpocząć w swoim pokoju, a wieczorem wybieramy się na kolację do Kołobrzegu. – Kaśka odsyłała odpowiedź znad Bałtyku.

– Cały czas we troje?

– No... tak. Ja i oni.

– Może chociaż tego rzeźbiarza ze Szczecina zabierzcie.

– Daj spokój, to straszny nudziarz. A z Jackiem i Elpidą jest wesoło. Fajnie, że ich poznałam.

– Fajnie, fajnie... Tak, fajnie...

– Och, Lala, z ciebie też się zrobiła stara nudziara. Ciągłe ci się coś nie podoba.

– Kasieńko, kocham cię. Baw się dobrze.

– Ja ciebie też. Opowiem jutro, jak było.

Jutro było tak jak wczoraj – cały czas razem, we troje: spotykali się po śniadaniu, szli na plażę, pływali, spacerowali, jedli gdzieś lunch, po południu wracali do swoich pensjonatów na obiad, potem wybierali się gdzieś na przechadzkę albo jechali autem Jacka zobaczyć coś w okolicy, potem wieczór w Kotwicy albo w Kołobrzegu, albo w ogródku państwa Gołąbków z paroma butelkami wina. W tym ostatnim przypadku zazwyczaj przysiadali się do nich

gospodarze – a to z przekąską, a to z nalewką, a to z anegdotami o co osobliwszych gościach w historii urokliwego pensjonatu.

Było im ze sobą dobrze we troje, przy czym każde miało co innego na myśli, konstatuując ten radosny fakt. Jackowi podobało się, że jego publiczność powiększyła się o sto procent. Doszła jeszcze jedna słuchaczka jego opowiadań, żartów, rozważań, refleksji – słuchaczka niewątpliwie inteligentna, wdzięczna i atrakcyjna... Bardzo atrakcyjna... Rzuciło mu się to w oczy od razu o dziewiętnastej pamiętnego dnia w restauracji Kotwica... Elpida, pozbawiona w Polsce przyjacielskich relacji z dawnymi koleżankami, przyłączyła się do błyskotliwej, dowcipnej dziewczyny z otwartą głową i – najwyraźniej – dobrym sercem. A Kaśka... Cóż, Kaśka nie bardzo to wszystko rozumiała, ale jakoś tak wyszło, że odczuwała z każdym dniem coraz silniejszą więź z obojgiem: zachwycała ją Elpida, cudowna mieszanka temperamentu, ciepła i uśmiechu, a także różnych drobnych – nieco egzotycznych – świrów, z których zabawnie naśmiewał się Jacek. Kaśka zresztą przyłączyła się do tych dobrotliwych prześmiewek, co Elpida przyjmowała z promiennym uśmiechem i niezmaconą pogodą ducha.

A poza tym zachwycał Kaśkę Jacek: męski, przystojny, opiekuńczy, obyty w świecie, ze wspaniałym poczuciem humoru... Długą listę tych walorów Kaśka recytowała nieraz przez telefon – najpierw z „Gołąbkowa”, potem z Noakowskiego – coraz bardziej zniecierpliwionej Lali. Aż wreszcie za którymś razem zakończyła tę listę trzema słowami, na które biedna Lala czekała od pewnego czasu ze straceńczą pewnością, że muszą w końcu paść:

– Wiesz, kocham go.

Rozdział 10.

Pierwszy w tym roku śnieg zastał ją pod domami Centrum. Kaśka wybrała się na zakupy świąteczne. Potrzebowała kupić parę gwiazdkowych prezentów. Przed wyjściem z pracy spędziła dobry kwadrans, zapisując na kartce imiona ludzi, których chciała – a przynajmniej powinna – czymś obdarować. Dojrzał w niej nie całkiem jeszcze jasno uświadomiony zamiar zignorowania Wigilii u rodziców, ale wiedziała, że tak czy owak prezenty będą potrzebne. Jak nie w Wigilię, to w pierwszy lub drugi dzień świąt albo trochę przed lub po. A więc rodzice, czyli pozycje 1 i 2 na jej liście. Pod trójką i czwórką występował brat Kaśki, Andrzej, i jego dziewczyna Danka... Kto jeszcze? Tradycyjnie kupowała jakieś drobiazgi dla koleżeństwa ze swojego zespołu w Strychu – Wojtka i Iwony, sekretarki. Piątka i szóstka. Lala? Właściwie miały taki zwyczaj, że po świętach wybierały się razem na krótki rajd po przecenach i wtedy coś sobie wzajemnie kupowały. Dość szybko zresztą ten rajd kończyły i szły potem jeszcze coś zjeść i pogadać. Nie, Lali nie wpisała na karteczkę. Po raz pierwszy nie było też na liście babci Honorki. Kaśka na wspomnienie babcinej twarzy znów poczuła ucisk w gardle i musiała osuszyć wilgotniejące oczy. No i kolejne dwie pozycje na liście: Elpida, Jacek. Zastanawiała się przez chwilę, czy wpisać ich w jednym rzędku: Elpida i Jacek, czy osobno. Ta decyzja przesądzała też o charakterze prezentu. Elpida i Jacek kojarzyli się z czymś domowym, małżeńskim, na przykład jakimś gadżetem do ich mieszkania. Cementowało to ich, wiązało ze sobą... Kaśka zdecydowała się jednak na zapis osobny, a więc pozycje 7 i 8. To rozstrzygnięcie, aczkolwiek ważne, nie przesądzało jeszcze, co zamierza im kupić. Na swojej kartce oprócz rubryki „KTO” Kaśka miała jeszcze po prawej stronie rubrykę „CO”, w której przy każdym imieniu zapisywała konkretne propozycje prezentowe. Pamiętała o upodobaniu Elpidy do muzyki, szczególnie do folku i muzyki świata. Pod siódmką wpisała więc ze znakiem zapytania „Kapela ze wsi Warsz.” i tytuł najnowszej płyty. A co z ósemką? Jacek od niedawna chwalił się nowym czytnikiem do e-booków, więc Kaśka zaczęła się zastanawiać nad modnymi ostatnio tytułami. W prawej rubryce na wysokości ósemki pojawiło się po chwili „Tward.? Dehn.? Pilch? Bonda?”.

Rozważała przez chwilę „Dezod.? Woda kol.?” , ale miała wątpliwości, czy nie byłoby to zbyt osobiste. Przecież to niemal tak jak „Kales.?” . Wiedziała, że Jacek gra trochę w gry komputerowe, ale w tej dziedzinie jej wiedza była bliska zeru. Słyszała, że jest „Wiedźmin”, ale Jacek na pewno go miał. Sam jej opowiadał. Po konsultacji telefonicznej z bratem dopisała „Dod. do Wiedźm.? – ale który?”. No właśnie, który? Czy ma zapytać o to samego Jacka? Pomyślała, że jednak ta propozycja jest mało rozwojowa.

Intensywne myślenie o numerze ósmym wprowadziło ją w dziwny stan. Uświadomiła sobie, że całej reszcie listy nie poświęciła ani ćwierci tego czasu i uwagi, co Jackowi. Poczowała wyrzuty sumienia. Przecież byli to jej najbliżsi... Mama, zawsze o tej porze roku przygnębiona jeszcze bardziej niż zwykle. Jej brat, z którym nie mieli zaledwie serdecznych stosunków, ale przecież znali się od zawsze i – cokolwiek by mówić – kochali się. To przecież Andrzej niósł ją na plecach znad jednego z warmińskich jezior do najbliższego miasteczka, kiedy w wieku dziewięciu lat złamała nogę podczas letnich plażowych figli. A choćby i Wojtek – dobry kumpel, lojalny współpracownik, inteligentny i sympatyczny facet, który najwyraźniej się w niej podkochiwał, cierpliwie, z daleka, tak, żeby jej nie żenować i nie stresować. I wszyscy oni schodzili na daleki plan, bo oto jej uwagę zmonopolizował facet, który pojawił się w jej życiu przed kilkoma miesiącami, w towarzystwie innej kobiety, który paroma uśmiechami i nic niekosztującymi spojrzeniami zmałował jej rozum. I teraz Kaśka ciągle jeszcze siedziała przy swoim biurku w pracy, sposobiąc się do wyjścia na zakupy i wciąż rozmyślając głównie o prezencie dla Jacka. Tak, Lala miała rację, zmałował jej rozum... Stara, dobra Lala. Kaśka rozczuliła się na myśl o przyjaciółce. Nadąsanej i trochę przemądrzałej, ale bezgranicznie oddanej i lojalnej. Kaśka opuściła długopis nieco niżej i po chwili na liście pojawiła się pozycja dziewiąta. Lala. A w rubryce „CO” dopisek „Coś?”. Teraz była gotowa, żeby wyruszyć na zakupy.

Rozdział 11.

Od faktów nie było ucieczki: drugi rok z rzędu przyszło jej spędzać Wigilię samotnie. Poprzedniego roku na święta Bożego Narodzenia przypadł szczyt kryzysu w relacjach między nią a Marcinem. Było to co prawda jeszcze przed styczniowym spotkaniem na Grójeckiej, kiedy zobaczyła swojego męża całującego się z inną kobietą, ale ich związek był już i tak martwy. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Marcin zniknął wtedy na Wigilię, oświadczając dzień wcześniej – bez żadnej próby dogadania się, ustalenia czegoś wspólnie – że idzie „do przyjaciół”. Kaśka zadzwoniła do matki, mówiąc, że ma gorączkę, i przepłakała całe popołudnie oraz wieczór na gruzach swojego małżeństwa. No i teraz znowu miała kłopot z Wigilią, choć oczywiście sytuacja nie była tak dramatyczna jak rok wcześniej. Dostała kilka zaproszeń. Mogła się załapać u rodziców albo u Lali i Sławka, albo u Elpidy i Jacka, albo u Wojtka Knapika... Tę ostatnią propozycję odrzuciła od razu. Za bardzo pachniała jej zaproszeniem na oglądanie albumów ze znaczkami lub kolekcji motyli, mimo że Wojtek nie zapraszał do siebie, tylko do swojego kuzyna geja, który miał dość twórcze podejście do tradycji wigilijnych. Razem ze swoim partnerem urządzał libertyńską wieczerzę dla ponad dwudziestki znajomych. Dla amatorów miały być tradycyjne polskie potrawy, a jako alternatywa – polędwiczki wieprzowe po tajsku, perliczki według jakiegoś przepisu z południa Francji i żeberka w sosie barbecue według teksańskiej receptury. Samo to menu wydało się Kaśce bardzo pretensjonalne, a reszty dopełniły opowieści Wojtka o hipsterstwie kuzyna i jego przyjaciół, jakby wyciętych z foci cykniętej na warszawskim placu Zbawiciela. Zastępca Kaśki mówił o nich z rozbawieniem, ale chciał tam iść i szukał towarzystwa. Kaśka grzecznie, ale stanowczo wymówiła się bliżej nieokreślonymi zobowiązaniami rodzinnymi. Ale do rodziców też nie miała ochoty iść. Wiedziała, że będzie tak jak co roku. Matka umęczona przygotowaniami i wściekła na ojca, że zamiast jej pomagać, śledzikuje od paru dni z kumplami i do domu przychodzi ciągle na bani, nieustannie pełen pretensji do żony. Ojciec głupkowato dowcipkujący i naśmiewający się z matki, szukający w Kaśce, starszym synu i jego dziewczynie sojuszników w tych docinkach, oni wszyscy ponuro milczący,

próbujący lawirować między złością na ojca a niemymi błaganiami matki, żeby nie pogarszać jeszcze bardziej sytuacji i nic nie mówić... Przez kilka lat przychodził z nią Marcin, który ku przerażeniu Kaśki dawał się czasem wciągać ojcu w zabawę pod nazwą „Ale te baby są głupie” i dowcipkował razem z nim. Potem tłumaczył jej, że robił to wyłącznie po to, żeby się nie udusić od ciężkiej atmosfery przy stole – tak jakby podejmowanie tej durnej gry w jakimkolwiek stopniu rozrzedzało atmosferę. Babcia Honorka zwykle wyjeżdżała do siostry do Białegostoku, chyba też dlatego, że nie mogła patrzeć na wyczyny syna. Andrzej, brat Kaśki, od dwóch czy trzech lat przestał brać udział w rodzinnych Wigiliach, spędzał te wieczory u rodziców Danki, swojej dziewczyny. Coraz większy ciężar spadał więc na Kaśkę... W tym roku nie miała już na to siły. Zadzwoiła do matki dwa tygodnie przed świętami i powiedziała, że nie przyjdzie. Niczego nie tłumaczyła. Nie musiała. Matka smutno dopowiedziała za nią:

– Masz już dość... Nie dziwię ci się.

Żał jej było zostawiać matkę sam na sam z ojcem i jego grubiaństwem, ale naprawdę nie mogła się przemóc, żeby tam pójść, szczególnie w swojej niełatwej sytuacji osobistej.

– Wpadnę w drugi dzień na podwieczorek, dobrze? – zaproponowała, żeby choć trochę osłodzić matce wyrok, jaki na nią wydała.

– Dobrze, córeczko, przyjdź, zrobię twój sernik. Może i Jędrzek wpadnie z Danką? – Wszystkie złudzenia i nadzieje matki na normalne życie zogniskowały się teraz w tej jednej myśli o świątecznym popołudniu.

Kaśka dostała też zaproszenie od Lali i Sławka, ale i na tę wizytę nie miała ochoty. Nie знаła zbyt dobrze męża przyjaciółki i obawiała się, że Lala wymusiła na nim zgodę na obecność przy wigilijnym stole w sumie obcej dla niego osoby. Wyobrażała sobie, jak Lala przekonuje męża, robiąc słodkie oczy i tłumacząc, że „ona taka biedna, sama jest, i babcię straciła w tym roku... no zaprosimy ją...”. Nie chciała się czuć jak piąte koło u wozu i wymówiła się... oczywiście zobowiązaniami rodzinnymi.

No a do Elpidy i Jacka... Nie, przecież tego by też nie zniosła, choć sama Wigilia u nich zapowiadała się ciekawie. Zgodnie z tradycją swojego Kościoła Grecy świętują głównie 25 grudnia. Jacek i Elpida postanowili połączyć zwyczaje obu kultur i zorganizować w dniu katolickiej Wigilii biesiadę z udziałem najbliższych krewnych Jacka i kilkorga przyjaciół z greckiej kolonii w Warszawie. Elpida opowiadała Kaśce o potrawach, jakie

przyszykuje wspólnie z kilkoma znajomymi Greczynkami, o gałązkach bazylii w drewnianej misce z wodą, o ciasteczkach z orzechami i miodem, o „chlebie Chrystusa”... Wszystko to było bardzo ciekawe i w innych okolicznościach Kaśka z wielkim zadowoleniem wzięłaby udział w takim wydarzeniu. W innych okolicznościach... Ale nie w sytuacji, w której na widok Jacka czuła na zmianę dreszcze i motyle w brzuchu, a w jego oczach też widziała coraz wyraźniejsze objawy narastającego apetytu – i to wcale nie na wigilijne dania. „Jak mam jeść te twoje ciasteczka, kiedy najchętniej pożarłabym ci męża?” – mówiła sobie w duchu. „Boże, przecież to obłęd!” – wzdychała. Nie uważała się za jakąś fałszywą żmiję, a jednak miała poczucie, że wobec Elpidy – kobiety, którą tak bardzo polubiła i która najszczerzej odwzajemniała jej przyjaźń – zachowuje się jak bohaterka którejś z tak często przytaczanych przez podbitego ojca mizogińskich opowieści o wrednych sukach. A tu jeszcze Wigilia... Opłatek, życzenia, uściski... „i pomyślności w Nowym Roku”... Nie. Nie ma mowy. Powtórzyła zdecydowanym tonem to samo kłamstwo o rodzinnych obchodach, zastosowane wcześniej w przypadku Wojtka oraz Lali, i zdecydowała, że zostanie sama w domu.

Żeby się odpowiednio nastawić, wyszukała nawet w internecie forum „Spędzę Wigilię samotnie”. W jednym z wątków pewna świeżo rozwiedziona kobieta opisywała swoją sytuację i zamartwiała się oczekującą ją samotną Gwiazdką (rodzice nie żyją, dzieci brak, znajomi u swoich rodzin). Jedna z pierwszych odpowiedzi pod tym lamentem brzmiała: „A ja spędzę Wigilię ze znienawidzoną teściową i z porąbanym szwagrem. Kobieto, uwierz, milion razy wolałabym spędzić ją samotnie”. Kaśka bardzo usilnie przekonywała się, że ją ten wpis pocieszył.

Dzień wigilijny mieli w teatrze wolny. Kaśka spędziła przedpołudnie na telefonicznym składaniu życzeń krewnym, przyjaciołom i współpracownikom, do których nie wysłała służbowych e-kartek, oraz na pisaniu okolicznościowych mejli. Potem zrobiła przegląd zgromadzonego już wcześniej wyposażenia, które miało jej umożliwić samotne przetrwanie Wigilii: w lodówce trzy rodzaje śledzi, małpka czystej wódki i butelka białego wina, na stoliku w salonie zaś makowiec, trzeci sezon *House of Cards* oraz doczytany na razie do połowy kryminał Miłoszewskiego. „Typowy damski zestaw, brakuje tylko wibratora” – pomyślała i zaczęła chichotać. Dystans do siebie ratował ją nie pierwszy już raz. I w towarzystwie tego to właśnie przymiotu swojego charakteru wyczekiwała – po przystrojeniu niewielkiej

choinki – pierwszej gwiazdki.

Rozdział 12.

Traf chciał, że jedną pierwszych osób, na które Kaśka się natknęła, kiedy około czwartej po południu w drugi dzień świąt wyruszyła w drogę na umówiony podwieczorek u rodziców, był Marcin, jej były mąż. Zobaczyła go, jak zmierza Nowowiejską do wejścia do stacji Politechnika – tego samego, do którego szła i ona. Po chwili zbiegał po tych samych schodach prowadzących do metra, po których i ona zaraz schodziła. Był sam, szedł jakieś dziesięć metrów przed nią, więc jej nie widział. Przeszedł przez tę samą bramkę, którą chwilę później i ona minęła. Niósł jakąś papierową torbę z nadrukiem, którego Kaśka nie była w stanie przeczytać ani rozpoznać. Świąteczny prezent? Dla kogo? Ze zdziwieniem poczuła odrobinę ciekawości, a do tego ciut zazdrości. To był odruch niezależny od woli Kaśki, refleks przeszłości... Nie wiedziała, co się u niego dzieje, czy kogoś ma. Wiedziała natomiast, że za chwilę znajdą się na tym samym peronie. A potem było pięćdziesiąt procent szans na to, że wsiądą do tego samego pociągu. Jeśli zaś do tego samego, niewykluczone, że wylądują w jednym wagonie. Może w tej samej części... Rozważania te nie służyły zaspokojeniu pasji poznawczej Kaśki, tylko stanowiły tło dla nerwowo obracającego się w jej głowie pytania: „Co robić?”. Udawać, że go nie widzi? Odczekać pięć minut, aż odjedzie, i dopiero potem wejść na peron? Czekać, aż ją zauważy, i zobaczyć, jak sam się zachowa? Podejść z uśmiechem i życzyć mu wesołych świąt? Skinąć chłodno głową i odwrócić się?

Mężczyzna, który kiedyś budził w niej tyle emocji, z którym przeżyła tyle dobrych i złych chwil, sprowadzony do roli niezbyt ważkiego problemu logistycznego na stacji Politechnika...

Można powiedzieć, że poznali się dosłownie na progu dorosłego życia. Kaśka właśnie wracała do domu – mieszkała wtedy jeszcze z rodzicami – po obronie pracy magisterskiej na „tetrologii”. Był czerwiec, piękna pogoda, jedno słońce świeciło na niebie, drugie, mocniejsze, w duszy Kaśki. Zdjęła granatowy żakiet i niosła go na ramieniu, miała jeszcze jakieś papiery i ze dwie książki. I dyndającą w okolicach biodra torebkę. W pewnej chwili usłyszała, jak ktoś woła:

– Hej, hej, dziewczyna w białej bluzce! Dziewczyna w białej bluzce!

W pierwszej chwili nie pomyślała, że to do niej, a potem uświadomiła sobie, że może o nią właśnie chodzić, ale nie spodobała jej się ta zaczepka...

– Dziewczyno w białej bluzce! Zgubiłaś tajne dokumenty!

Odwróciła się i zobaczyła sympatycznie wyglądającego chłopaka, podbiegającego do niej z kartonową teczką – jej teczką – która chwilę wcześniej musiała wysunąć się spomiędzy papierów i upaść na chodnik. Podziękowała grzecznie za odzyskane kserokopie, zaczęli rozmawiać i Kaśka, którą rozpieęła radość z powodu zakończenia studenckich mąk, szybko opowiedziała nowemu znajomemu o sukcesie odniesionym godzinę wcześniej. Marcin – zdążyła już poznać jego imię – miło jej pogratulował i odprowadził ją do przystanku autobusowego, pomagając nieść papiery. Okazało się, że on sam podobną radość przeżył rok wcześniej na SGH. Od tego czasu pracował w rodzinnej firmie założonej kilkanaście lat wcześniej przez ojca, zajmującej się sprowadzaniem i sprzedażą rozmaitych gadżetów pomocnych przy opiece nad niemowlakami i małymi dziećmi.

Kaśka była umówiona na wieczór z grupą przyjaciół do pubu, gdzie mieli świętować obciążenie gospodarki narodowej trójką nowych, patentowanych teatrologów. Zaprosiła Marcina, żeby też wpadł. Wpadł, no i tak się zaczęło. Wpadli wspólnie – w młodzińcze zauroczenie, wzajemną czułość i rojenia o dorosłym życiu, mylnie nazywane niekiedy miłością. Zaczęli się spotykać i spędzać ze sobą coraz więcej czasu. Marcin sporo życiowej energii poświęcał firmie, czasem wymawiał się od spotkań z Kaśką obowiązkami w pracy. Oprócz zajęć służbowych miał jeszcze grono przyjaciół, życie towarzyskie i wyjazdy windsurfingowe, a zimą narciarskie. Kaśka, której naturalnym ekosystemem były raczej książki, sale teatralne i kinowe oraz seminaria i spotkania dyskusyjne, nie bardzo nadażała za aktywnością Marcina. Ale nie przeszkadzało im to czuć coraz większej bliskości i wzajemnego przywiązania. A przynajmniej jej nie przeszkadzało. Co do intencji Marcina dość szybko zaczęła nabierać pewnych podejrzeń. Tak można było w wersji ocenzurowanej określić ten stan emocji. Wersja oczyszczona z poprawności politycznej brzmiała groźniej: Kaśka stawała się chorobliwie zazdrosna. Najpierw był pewien epizod, który można było różnie interpretować. Marcin wykręcił się któregoś popołudnia od pójścia do kina, tłumacząc jej, że ma ważne spotkanie z kontrahentem z Anglii. Kilka dni później z rozmowy z Lalą – która akurat tamtego wieczoru przypadkiem widziała Marcina, zaglądając z ulicy przez okno do wnętrza pewnej

restauracji – Kaśka dowiedziała się, że kontrahent miał długie czarne włosy, wydatny biust, był około trzydziestki i uroczo się uśmiechał. Marcin wzięty w obroty nie próbował wypierać się biustu ani uśmiechów, tłumaczył tylko cierpliwie, że w Anglii prawo nie zakazuje trzydziestoletnim brunetkom zasiadać w zarządach firm produkujących gadżety dla niemowląt.

Z pozoru problem przestał istnieć... Ale to, co się działo w głowie Kaśki, dawało się porównać do cichego, słabo na co dzień zauważalnego, ale nieustającego ani na chwilę działania korników, rdzy albo wręcz erozji eolicznej, która ze względu na piękną nazwę była jednym z niewielu zjawisk zapamiętanych przez Kaśkę z licealnych lekcji geografii.

A więc zazdrość dręczyła ją coraz bardziej. Pilnowała się, jak mogła, żeby nie wywlekać tej swojej rdzy na wierzch, bo zdawała sobie sprawę, że jej partner może tego nie znieść. Ale to w niej tkwiło. I nie dawało spokoju.

Był jeszcze drugi problem: seks. Tu znów można powiedzieć, że Kaśka nie nadążała za Marcinem. Wbrew radom babci Honorki, której Kaśka przedstawiła swojego chłopaka, zanim poznali go jej rodzice, zaczęli uprawiać miłość na dość wczesnym etapie narzeczeństwa. Odbywało się to zwykle w kawalerce Marcina, do której Kaśka przychodziła i czasem zostawała na noc. Nie przepadała za tym miejscem. Kawalerka była pozbawiona jakiegokolwiek przytulności i niezbyt czysta. Stan łazienki i małej kuchni też nie nastrajał na miłosne tonacje. Próbowwała trochę to miejsce opatulić, wymościć, posprzątać, wpuścić w nie trochę kobiecych fluidów. Robiła to zresztą w znacznej mierze dla siebie – dla swojego komfortu, a może w imię pobrzmiewających gdzieś w jej pamięci standardów wyniesionych z hollywoodzkich filmów – żeby lepiej się tam czuć i z większą przyjemnością spędzać czas. Ale zauważyła, że Marcin niechętnie przyjmuje te zabiegi, traktuje je jako nieuprawnioną ingerencję w swoje życie. Nie bardzo chyba rozumiał związek między chęcią i reakcją Kaśki na łóżkowe pieszczoty a stanem pokoju, w którym się one odbywały.

I właśnie ten brak zrozumienia był ważniejszy niż te czy inne mankamenty kawalerki. Nie była zresztą pewna, czy istotnie stanowiło to znaczącą przyczynę, dla której seks z Marcinem nie sprawiał jej szczególnej przyjemności, ale faktem było, że nie sprawiał. Wszystko działo się za szybko, trwało za krótko, kończyło zbyt gwałtownie... Czowała się samotnie. Byli w łóżku, zespoleni, połączeni najintymniej, jak to możliwe, a jednak miała wrażenie, że są osobno. Jej poprzednie – niezbyt zresztą liczne –

doświadczenia erotyczne nie były może jakimiś eksplozjami z trzęsącą się ziemią i walącymi się ścianami, ale jednak nawiązywała ze swoimi partnerami bliższą, cieplejszą więź uczuciową niż z Marcinem. I czuła po prostu większą przyjemność. Miała wrażenie, że jej obecny chłopak za mało skupia się na niej, a ona z kolei nie potrafi mu dać tego, czego on oczekuje. A kiedy kończył się niezbyt satysfakcjonujący seks, rozchodzili się także i fizycznie – ona do swoich spraw, on do swoich. Wtedy korniki chrupały w najlepsze. Bała się, że od niej ucieka, że szuka innych kobiet, bo mu nie jest dobrze. A im bardziej się bała, tym trudniej przychodziło jej zachowywać się tak, żeby jemu było dobrze...

Z takim dorobkiem pierwszego roku narzeczeństwa pewnie nie należało się spieszyć z przechodzeniem na dalsze etapy współżycia i współzależności. Kaśka i Marcin nie byli pierwsi, którzy zrobili coś, czego robić nie należało. Właściwie pomysł wspólnego mieszkania był w sporej mierze motywowany jej nadzieją, że w ten sposób będzie miała Marcina bardziej dla siebie i zdoła lepiej zapanować nad swoimi niepewnościami, stopniowo przeradzającymi się w obsesję. I że pomoże jej to naprawdę zbliżyć się do niego, poczuć go wreszcie lepiej, mocniej, dłużej... O przeniesieniu się do kawalerki nie chciała słyszeć, zamieszkali na początek w mieszkaniu starszego brata Marcina, który wyjechał na dwa lata do Paryża. Kaśka wymogła na narzeczonemu, żeby razem urządzili swoje nowe gniazdo. Było tam dużo przyjemniej i przestronniej niż w kawalerce, ale między lokatorami wiele się nie zmieniło. Poprzednie utrapienia, które dręczyły Kaśkę na dwudziestu pięciu metrach kwadratowych, nie stały się łatwiejsze do zniesienia na pięćdziesięciu. Kaśka wciąż podejrzewała Marcina o to, że prowadzi podwójne (a może potrójne, poczwórne...?) życie, że spotyka się z innymi kobietami, że ma romanse. Specyfika jego pracy wiążącej się z dość częstymi wyjazdami skutecznie karmiła te lęki, aż w końcu stały się tłusciutki i pulchniutki. Nie posunęła się do tego, żeby czytać jego esemesy czy mejle, ale zdarzało jej się podsłuchiwać z drugiego pokoju rozmowy telefoniczne, które prowadził, a więcej niż raz czy dwa sprawdziła w jego komórce listę najnowszych połączeń przychodzących i wychodzących. Wciąż starała się nie okazywać podejrzliwości, chociaż w rozmowie zastawiała czasem pułapki mające zdemaskować jego domniemane kłamstwa. Czy Marcin zdawał sobie z tego sprawę? Do samego końca nie była pewna. Jeśli przejrzał jej gierki, to nigdy się z tym nie zdradził.

W sprawach intymnych wiodło im się raz lepiej, raz gorzej, ale ogólnie nie najlepiej. Kaśka wciąż nie mogła się otworzyć na łóżkowe doznania, ciągle czuła w sobie jakieś zahamowania, bariery, rezerwę. Potrzebowała pomocy Marcina, ale jej nie dostawała. Miała do niego pretensje, że ucieka do pracy, do kolegów albo – jak podejrzewała – do innych kobiet, zamiast skupić się na niej i pomóc jej się ośmielić. Więc traktowała go dość chłodno, a kiedy ona była chłodna, on...

Erozja eoliczna doprowadziła już do takiej sytuacji, w której na horyzoncie pojawiła się perspektywa rozstania i rozwiązania średnio udanej relacji. Skoro rozsądek podpowiadał takie wyjście, Kaśka i Marcin postanowili wziąć ślub.

Zastanawiając się później nad tą decyzją, Kaśka nie potrafiła zrozumieć, jak mogła być taka głupia, naiwna, zaczadzona... No, ale wciąż zakochana. Co więcej, Marcin, który z pozoru wyglądał na rozsądniejszego, dysponował dokładnie takimi samymi kwalifikacjami na męża, jak ona na żonę. Czy to mogło wystarczyć, żeby stworzyć udany związek? Niektórym wystarcza. Kaśce i Marcinowi się nie udało.

Najwięcej rozsądku wykazał wówczas ojciec Marcina, który trzeźwości umysłu i cynizmowi zawdzięczał zapewne powodzenie w biznesie: kupił młodym mieszkanie, ale zrobił to tak, że formalnie właścicielką pozostawała jego żona, czyli matka Marcina. Chciał w ten sposób zabezpieczyć interesy rodziny, na wypadek, gdyby jednak... Kaśka oczywiście zdawała sobie sprawę z tego wielkiego znaku zapytania, który został zawieszony nad ich małżeństwem przez teścia, ale w końcu nie był to największy problem. Ładnie już podhodowane i podtuczone obsesje Kaśki dostały teraz ponad sześćdziesiąt metrów kwadratowych przestrzeni życiowej. I miały się dobrze, kwitły. Chrupanie korników, zgrzyt rdzy i poświst erozji eolicznej zestrajały się do końcowych akordów *Symfonii niedojedzonej*.

Zajęło im to trochę ponad dwa lata. Niezły czas, jeśli chodzi o życiowe kariery małżonków. Kaśka – po paru latach zajęć wolnego strzelca, głównie polegających na pisaniu i rozmaitych dorywczych pracach ściślej czy luźniej związanych z jej wykształceniem – kilka miesięcy wcześniej zamieniła umowy śmieciowe na prawdziwy etat w Strychu. Marcin sposobił się do pełnego przejścia firmy od ojca, który właściwie lubił już tylko jeździć na ryby do Norwegii. Dzieci dalej nie mieli. Pełen luz.

No i w końcu zawieszony przez ojca Marcina wielki znak zapytania urwał

się i z hukiem przygniótł małżonków. Była akurat niedziela, ubłocona połowa grudnia, dziewiąta rano, a oni jedli śniadanie. Niedzielne śniadanie w kuchni, jakżeby inaczej: symbol rodzinnej intymności. Ikona domowego spokoju. Prawie jak rosół pyrkoczący na ogniu w zimowe przedpołudnie. I zapach wanilii albo pomarańczowego ciasta. Parująca kawa. Dzień tylko dla nas.

Kaśka wyjęła z tosterka kolejne grzanki i przerzucając je z ręki do ręki, doniosła do stołu.

– Słuchaj... – przełamała panujące od dłuższej chwili milczenie.

Podniósł na nią oczy znad jajka na miękko, na którym się skupiał.

– A może my byśmy się rozwiedli?

Marcin odłożył łyżeczkę, spojrzał w lewo, potem w prawo, a w końcu Kaśce w oczy. Pomilczał jeszcze chwilę.

– Jeśli chcesz – powiedział cicho – to OK.

Tosty nie były już tak gorące, żeby spadające na nie łyżki Kaśki miały syczeć. Wstała od stołu i poszła do sypialni. Płakała z przerwami przez kilka godzin. Marcin został przy stole. Kaśka nigdy się nie dowiedziała, czy skończył wtedy tanto jajko.

Ale to jeszcze nie był koniec. Tamtej niedzieli już więcej ze sobą nie rozmawiali. Potem o rozwodzie właściwie już też nie. Wszystko zawisło w dziwnym stanie równowagi, która nie była żadną równowagą, tylko nienaturalnie rozciągniętą w czasie chwilą upadku. Uciekający w kreskówce pies już wpadł w przepaść, ale jeszcze nie leci w dół, bo wciąż szybko przebiera łapami. Kura z obciętą głową biegnie jeszcze po podwórzu. Silnik już zgasł, bo w baku nie ma ani kropli benzyny, ale samochód jeszcze się toczy.

Jakieś trzy tygodnie później, pewnego styczniowego dnia Kaśka zobaczyła na ulicy Marcina całującego się z wysoką brunetką. Model glamour. Wtedy już był koniec. Pies poleciał w przepaść. Kura padła martwa. Samochód stanął, nie przejmując się tym, że zablokował skrzyżowanie.

Zabawne: wszystkie obsesje Kaśki, jej lęki i nerwice, tak już wyrosnięte i utuczone, nie zdążyły nawet zrobić ostatniej „zyg, zyg, marcheweczki” i zagrać na nosie. W jednej chwili nabzdyczyły się całkiem już niemożebnie, nadęły jak wielkie balony i z hukiem pękły, a ich brzydsko pachnąca zawartość pofrunęła w dal, żeby w innych duszyczkach poszukać nowego domu i warunków do zdrowego rozwoju kolejnych pokoleń potworów.

I czy to był naprawdę właśnie on? Marcin? Ten facet z papierową torbą, który teraz stał o kilka kroków od niej na peronie metra Politechnika? To z nim

to wszystko przeżyła? Z nim rozstała się niecały rok wcześniej? Myśli Kaśki zagłuszył wjeżdżający na stację pociąg w kierunku Młocin. Drzwi się otworzyły i Marcin wsiadł do pierwszego wagonu. Kaśka przeszła na drugą stronę peronu i ustawiła się pod napisem Kabaty. Według tablicy informacyjnej jej pociąg miał przyjechać za dwie minuty i czterdzieści siedem sekund.

Rozdział 13.

Samotna Wigilia nie okazała się w końcu szczególnie traumatycznym doświadczeniem, ale perspektywa powtórki tej samej formuły na sylwestra była jednak trochę ponad jej siły. Dlatego ze zmałconymi uczuciami – wśród których dawało się zauważyć jednak sporą domieszkę radości – usłyszała w telefonie głos Elpidy informującej ją nazajutrz po świętach, że zachęceni miłą atmosferą kolacji wigilijnej w ostatniej chwili zdecydowali się z Jackiem urządzić sylwestra dla przyjaciół i oczywiście Kaśka jest pierwsza, do której dzwonią z zaproszeniem.

– Przyjdiesz na pewno. – Te słowa zabrzmiały trochę jak groźba, ale Kaśka domyśliła się, że w intencji Elpidy miały one podkreślać dobitność zaproszenia.

– No, dzięki, ale...

– Nie ale. Przyjdź sama albo z kimś. Kto chcesz.

Kto chcesz... Co miała jej odpowiedzieć? Kaśka serdecznie podziękowała za zaproszenie i zapewniła Elpidę, że stawi się niechybnie. Co do szczegółów miały się jeszcze zdzwonić i wszystko poustalać.

Telefon od Elpidy zastał Kaśkę przy biurku w Strychu. Po kilku dniach świątecznej przerwy – dłuższej w tym roku niż zwykle ze względu na układ dni w kalendarzu – z ochotą wzięła się do roboty. Była sama, ponieważ Iwona wzięła urlop aż do Nowego Roku. Wojtek zadzwonił z samego rana i uprzedził, że dotrze do pracy dopiero około pierwszej: po hipstersko-libertyńskiej Wigilii pojechał pierwszego dnia świąt do rodziców do Ostrołęki i jak typowy słoik dopiero wracał samochodem do Warszawy. Kaśka lubiła dni między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem – niby normalne, a jednak ulgowe i wciąż jeszcze jakieś takie półświąteczne. W pracy starała się zajmować w tym czasie tylko rzeczami, które lubiła i które sprawiały jej przyjemność, bo miały w sobie element twórczy, czyli przede wszystkim obmyślanie nowych pomysłów na kampanie. Lubiała o nich dyskutować z Wojtkiem Knapikiem, z którym dobrze się rozumieli i uzupełniali. Nie opisywała w tym czasie faktur, nie podpisywała zamówień, nie układała ponagleń i wyjaśnień, nie prostowała dziennikarskich bzdur, nie chodziła na

rozmowy, których celem było wyciąganie pieniędzy z rozmaitych mocno zasznurowanych sakiewek. Siadała – sama albo z Wojtkiem – w swoim pokoju przy kawie i pograżała się w rozmyślaniach bądź rozmowie o planach na bliższą lub dalszą przyszłość. Czasami chodzili do Staszka Rachwalskiego – o ile był na miejscu i miał dla nich czas – i konsultowali z nim swoje pomysły. Z punktu widzenia Kaśki najcenniejsze były rodzące się w tych rozmowach skojarzenia z poszczególnymi tytułami wstawionymi do planów repertuarowych teatru. Wokół nich można było potem organizować akcje poszukiwania sponsorów i kampanie promocyjne. Miała poczucie, że te chwile niby niezbyt konkretnych, rozmytych działań wydawały cenne owoce. Z rezerwuaru refleksji i pomysłów gromadzonych w trakcie takich intelektualnych ożywień brały się potem różne dobre projekty.

Teraz też chciała pogadać ze Staszkiem o planach dotyczących pewnego tekstu, który miał ewentualnie trafić do repertuaru Strychu pod koniec przyszłego roku. Sekretarka, pani Halina, powiedziała jej, że Rachwalskiego nie ma i zjawi się w teatrze dopiero nazajutrz. Zaczęły rozmawiać o świętach, o pogodzie, o programie w telewizji, o polityce, zeszło i na teatralne plotki, przy których ściszyły głos... Kaśka przysunęła sobie krzesło do biurka Haliny, która zrobiła jej tym razem herbatę z cytryną.

– A do herbaty należy się odrobina dyrektorskiego prądu – powiedziała z figlarną miną, wyjmując z szafki w biurku butelkę brandy i dolewając do szklanki Kaśki solidną porcję.

– O rany, nie tyle, pani Halinko, bo się spiję.

– No to najwyżej. Dziś i tak niedużo roboty i prawie nikogo w teatrze nie ma – uspokajała ją sekretarka, stawiając na biurku cukiernicę.

Kaśka normalnie nie słodziła herbaty, ale skoro z cytryną i z prądem...

Rozmawiały dalej. Nie trzeba było się nigdzie spieszyć, pani Halinka miała zawsze w zanadrzu trochę świeżych ploteczek, herbata przyjemnie grzała od środka... Teatr nie był jednak tak całkiem pusty, bo nagle usłyszały pukanie do drzwi, które po chwili się otworzyły. Halina kolaniem domknęła drzwiczki szafki z dyrektorskimi skarbami, mówiąc jednocześnie „Proszę”. W progu pojawił się Uner Kernes, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Wszedł do środka, przywitał się po polsku i również po polsku zapytał o Staszka.

Pani Halinka udzieliła mu odpowiednich informacji.

– To pan już przyjechał? – spytała, operując wciąż swym ojczystym językiem, który Uner podczas pobytu w Warszawie opanował w stopniu

umożliwiający prowadzenie prostych rozmów. – Miał pan się zjawić po Nowym Roku.

Turek wyjaśnił łamaną polszczyzną, że zmieniły mu się plany osobiste, a poza tym coś wyszło takiego z biletami lotniczymi, że było sporo taniej przyjechać właśnie dzisiaj, no i jest i chciałby klucz do mieszkania na Szkolnej.

– Mieszkanie jest puste i klucz mogę panu dać, ale nie jestem pewna, czy dozorczyńni posprzątała i zmieniła pościel.

Teatr płacił dozorczyńni kamienicy, w której znajdowało się gościnne mieszkanie, za opiekę nad nim.

– Zaraz do niej zadzwonię i się dowiem. Spodziewała się pana dopiero w przyszłym tygodniu.

Sekretarka zaczęła szukać w notesie numeru do dozorczyńni, Uner zaś pokiwał głową ze zrozumieniem i uśmiechnął się, szczerząc białe zęby głównie w stronę Kaśki. Ona też się do niego uśmiechnęła. Zaczęli rozmawiać, czekając na wynik telefonicznych konsultacji.

Kernes spędził w Warszawie sześć tygodni na jesieni, potem wrócił do siebie, wpadał dwa czy trzy razy na krótko do Warszawy i był umówiony jeszcze na dwa tygodnie pracy z zespołem Strychu na początku nowego roku. Na marzec zapowiadana była premiera i wtedy reżyser miał znów przyjechać na parę dni.

Kaśka spytała go o stan przygotowań do spektaklu. Uner bardzo chwalił aktorów. Rozmawiał z Kaśką po angielsku.

– W styczniu będzie jeszcze kilka prób i właściwie moja praca się kończy. To świetny zespół.

Kiedy rozmawiali, Halina przekazała na Szkolną informację o wcześniejszym przyjeździe gościa. Dozorczyńni poprosiła o godzinę na dokończenie sprzątnięcia i zmianę pościeli oraz ręczników, zatem Kaśka zaproponowała, żeby gość spędził wolny czas u niej w gabinecie. Po chwili – lekko zaróżowiona od „prądu” – prowadziła Unera do siebie.

Czy to za sprawą szczególnej herbaty, czy ewangelicznego nastroju, którym przesycone było powietrze w okołoświętecznych dniach, czy może ze względu na sympatyczny uśmiech przystojnego Turka – dość, że Kaśce przyszło nagle do głowy...

– A co robisz w sylwestra? – spytała Unera.

Ten wzruszył ramionami i zrobił bezradną minę.

– Chyba nic. Ostatnio byłem ciągle zajęty i mam zaległości w czytaniu. Chętnie je nadrobię.

– A może... Idę do przyjaciół. Nie mam nikogo do towarzystwa. Może chciałbyś pójść ze mną?

– Och, byłoby świetnie. – Zachwyt Unera wydawał się autentyczny.

– Tylko, wiesz... ona jest Greczynką i tam będzie trochę Greków. Nie będziesz miał z tym problemu?

Uner się roześmiał.

– No co ty, myślisz, że wszyscy Turcy i Grecy do siebie strzelają? Nawet na Cyprze już jest dużo lepiej.

– Nie, no, idiotycznie, ale tak sobie pomyślałam... Wolałam się upewnić. To co, wybrałbyś się ze mną?

– Byłbym zachwycony, gdybyś zechciała mnie zabrać.

– To się dzwoniśmy i umówimy dokładnie. Tu masz mój telefon.

Kaśka sięgnęła po leżące na biurku stalowe puzderko z wizytówkami i dała jedną Unerowi. W rewanżu dostała jeszcze bielszy i bardziej promienny niż poprzednio uśmiech gwiazdy młodego europejskiego teatru.

Rok wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że sylwestra będzie świętować z niemieckim Turkiem wśród warszawskich Greków...

Rozdział 14.

Umówili się z Unerem, że przyjedzie po nią taksówką i razem pojedą na Barską do Elpidy i Jacka. Trzeba było zabrać jakieś butelki, a na dodatek Kaśka obarczona była miską z guacamole. Nie ośmieliła się wystąpić w grecko-tureckim gronie ze swoimi przebojami śródziemnomorskimi – humusem i pastą z bakłażana – ale sałatka z awokado wydawała się bezpiecznym wkładem w sylwestrową biesiadę. Kaśka uznała bowiem za mało prawdopodobne, żeby któraś z greckich koleżanek Elpidy znalazła sobie w Warszawie narzeczonego Meksykanina. Podała Unerowi adres i poprosiła, żeby wszedł do niej na górę i pomógł znieść wszystkie dobra.

Kiedy stanął z tym swoim śnieżnobiałym uśmiechem w drzwiach mieszkania na Noakowskiego, Kaśka dała mu w duchu dużego lajka.

Na widok owiniętej folią miski, którą jego sylwestrowa partnerka wstawiała do dużej torby, Uner, wspomagając swoją niezbyt wyrafinowaną polszczyznę językiem angielskim, wyraził zdziwienie, że guacamole Kaśki przystrojone jest wielkimi pestkami awokado.

– To u was te pestki też się je? – Niedowierzenie starło z jego twarzy ślady uśmiechu.

– Tak, to taki stary słowiański zwyczaj noworoczny. Która panna pierwsza złamie ząb, wyjdzie w nowym roku za mąż... No coś ty! To sposób, żeby nie czerniało. Nie bój się, przed podaniem pestki się wyrzuca. Ale jak lubisz, to ci jedną zostawię.

– Ślicznie wyglądasz. Jeszcze ładniej niż zawsze – powiedział Uner, zmieniając temat na, jak sądził, bezpieczniejszy.

„No, nareszcie” – pomyślała Kaśka, która swojemu wyglądowi poświęciła po południu nie mniej czasu i uwagi niż formie oraz barwie awokado. Tym razem to na jej obliczu wykwitł szeroki uśmiech.

Kiedy dojechali na Barską, u Jacka i Elpidy było już kilkanaście osób wywodzących się głównie z mieszkającej w Warszawie greckiej społeczności, częściowo w towarzystwie polskich partnerów i partnerek. Przyszło też paru przyjaciół Jacka. Kaśka przywitała się z gospodarzami i dokonała prezentacji. Wcześniej dyskretnie uprzedziła Elpidę, że przyjdzie w towarzystwie Turka –

niemieckiego, bo niemieckiego, ale zawsze. Oczywiście przyjaciółka – podobnie jak wcześniej Uner – wyśmiała jej podejrzenia, że ktoś z gości może mieć z tym problemy, niemniej jednak Kaśka zauważyła, że jej sylwestrowy partner budzi zainteresowanie towarzystwa.

Wielkopolskie ziemniaki wprawnie przerobione przez poznańskich gorzelników na wódkę Luksusową szybko jednak wygładzały wszelkie kany i likwidowały objawy sztywności, dzięki czemu po niedługim czasie towarzystwo zaczęło rozprawiać zgodnie i żwawo o zwyczajach noworocznych w różnych stronach świata, głównie w Grecji i Turcji. Jedna z koleżanek Elpidy opowiadała o ulicznej zabawie na ateńskim placu Arystotelesa, w której brała udział przed rokiem. Uner z kolei, który rok wcześniej spędzał okres noworoczny u rodziny w Stambule, opowiadał o zabawie na placu Taksim. Jacek z Elpidą dorzucili zaś do tej samej miski zeszłoroczne wspomnienia z Bukowiny Tatrzańskiej, więc dość szybko udało się ustalić, że w gruncie rzeczy w Nowy Rok wszędzie chodzi z grubsza o to samo. O to samo chodziło też gościom Elpidy i Jacka, więc zabawa dość szybko się rozkręcała. Ciekawe było porównywanie zwyczajów z różnych krajów. Wyszło na jaw, że i w Grecji, i w Turcji Nowy Rok to okazja do obdarowywania się prezentami. Szczególne wrażenie wywarła informacja Unera, że prezentem często wręczanym przy tej okazji kobietom w Turcji jest czerwona bielizna, niechybnie przynosząca szczęście. Słyszac to, jedna z młodych kobiet zaczęła chichotać i ścisnąć za ramię swojego partnera – bynajmniej nie Turka – pozwalając obecnym domyślić się koloru swoich majtek i ich pochodzenia.

– Oczywiście to są wszystko nowe zwyczaje. – Uner tłumaczył dalej Kaśce po angielsku. – Tradycyjna Turcja jest muzułmańska i nie obchodzi Nowego Roku. Mówię o zwyczajach w zachodniej części kraju. Wielu tradycyjnych Turków, szczególnie na wschodzie, nienawidzi tych obchodów i chciałoby ich zakazać... Dla nich to przejaw wynarodowienia, upadku religii i obyczajów. Zabawy noworoczne i fajerwerki na placu Taksim złością ich jako niebezpieczny import zagranicznej zgnilizny.

– Ja takie rzeczy czytam, kiedy u nas piszą o Halloween – skomentowała Kaśka.

Pili, trochę tańczyli, śmiali się, rozmawiali. Uner był bardzo sympatycznym i wesołym partnerem. Najwyraźniej dobrze się czuł w towarzystwie Kaśki, a i jej było z nim miło. Nie brakowało im tematów do rozmów. Na

ustawionym pod ścianą stole prezentowały się potrawy z czterech stron świata, równie kosmopolityczny charakter miały trunki zgromadzone na osobnym stoliku. Oczywiście pośród całej tej radości – częściowo naturalnej, częściowo doklejonej do twarzy (bo przecież sylwester...) – Kaśka rzucała od czasu do czasu melancholijne spojrzenia na Jacka. Raz ją z takim smuteczkiem na twarzy przyszpilił Uner. Nie znając podtekstów, nie wiedział, jak prawidłowo zinterpretować zmieniony wyraz twarzy swojej partnerki.

– Ty też nie lubisz, jak musisz się dobrze bawić? – spytał.

– To dla mnie zawsze było najgorsze w sylwestrze. Ten przymus dobrej zabawy. Ale dziś jest fajnie. Cieszę się, że ze mną przyszedłeś.

O północy był oczywiście szampan i składanie życzeń. Kaśka ucałowała się i uściskała z ponad dwudziestką ludzi, z których na dobrą sprawę znała tylko Elpidę, Jacka i Unera. Grecy masowo zaczęli kierować do wszystkich słowa *Kali chronia*, co zresztą szybko podjęli słysząc tę tradycyjną formułę Polacy, a nawet jedyny obecny na przyjęciu Turek. Albo Niemiec.

Uner podczas składania życzeń objął Kaśkę może odrobinę mocniej, niż nakazywałby rytuał, trzymał ją w uścisku może odrobinę dłużej i ucałował może odrobinę serdeczniej. Ale było to bardzo przyjemne – reżyser był najwyraźniej w dobrym humorze, z Kaśką czuł się świetnie, ona z nim też... Życzyli sobie szczęścia – dużo i w rozmaitych dziedzinach, a kiedy je wymieniali, padło też słowo Strych.

A potem były życzenia od Jacka. Tym razem uścisk był może odrobinę słabszy, niż nakazywałby rytuał, odrobinę krótszy, a buzi bardziej zdawkowe... Jakby oboje byli trochę skrępowani. Za to spojrzenie wymienili przy tej okazji dość głębokie i lekko roziskrzzone. Ona mu życzyła sukcesów zawodowych, miłości, może powiększenia rodziny... On jej udanego życia osobistego, co ujął trochę enigmatycznie:

– Żebyś była uważna i umiała się rozglądać wokół siebie, i żebyś widziała ludzi, którym na tobie zależy... to na pewno kogoś interesującego znajdziesz.

Czy to było dwuznaczne, czy może całkiem jednoznaczne – pytała samą siebie, bo przecież nie mogła o to zapytać jego.

Ani Elpidy, w której uścisku chwilę później zatonęła.

– To był dobry rok, bo cię poznałam. *Kali chronia*, Kaszka – powiedziała z wyraźnym wzruszeniem w głosie Greczynka.

– *Kali chronia*, Elpida. Byle nie Kali-fornia. Nie wyjedźcie mi z Warszawy. Za krótko się znamy, żebym was miała stracić.

A zaraz po życzeniach i szampanie zaczęły się przygotowania do ceremonii z *wasilopitą* w roli głównej. Grecy świetnie wiedzieli, o co chodzi, reszcie towarzystwa Elpida cierpliwie objaśniała po polsku ten grecki zwyczaj. Na Nowy Rok Grecy pieką słodkie, drożdżowe ciasto i poświęcają je świętemu Wasilisowi, czyli Bazylemu, który jest patronem pierwszego dnia stycznia.

– Tak jak u nas Mieczysław! – wykrzyknęła rozbawiona Kaśka, która po uzupełnieniu poprzednio wypitych drinków noworocznym szampanem znalazła się chyba o kieliszek za daleko.

Uner przyglądał się jej z ciepłym uśmiechem na twarzy.

Elpida też na nią spojrzała, ale zignorowała jej komentarz, niepewna, co oznacza polskie słowo Mieczysław.

– Ciasto Wasilisa to *wasilopita* – tłumaczyła spokojnie dalej. – Do *wasilopity* wkłada się monetę. Ten, komu w jego kawałku ciasta trafi się pieniążek, będzie miał szczęśliwy rok pełen pomyslności, bogactwa i miłości.

Słyszając te słowa, Kaśka spojrzała na Unera i zaczęła żywiołowo chichotać. Elpida znów popatrzyła na nią z pewnym zdziwieniem.

– Dlaczego śmiejesz, Kaszka? – spytała.

Kaśka nadludzkim wysiłkiem próbowała powstrzymać chichot. Krótkich chwil, w których jej się to udawało, wystarczyło na wypowiedzenie – w kilku odcinkach – pytania:

– A może... być... pestka... awokado?

Chichot zawładnął nią już niepodzielnie. Co dziwniejsze, zaczął mu towarzyszyć także początkowo tłumiony, a potem coraz głośniejszy śmiech Unera. Parę osób spośród tubylców, sądząc, że może należy to do rytuału *wasilopity*, też zaczęło się śmiać, potem Grecy nie mieli już wyboru i po chwili całe towarzystwo pokładało się ze śmiechu. Najdłużej opierała się Elpida, nie rozumiejąc żartu Kaśki i żywiołowej reakcji zebranych, ale w końcu ona też się poddała i dołączyła do rechoczącej reszty. Przez kilkadziesiąt sekund wszyscy krztusili się od śmiechu, na dodatek zdumieni własną żywiołową reakcją na nie najbardziej przecież wyrafinowany dowcip Kaśki, zrozumiwały właściwie tylko dla niej i Unera...

Kiedy wszyscy już się wyśmiali, do Kaśki znowu podszedł Jacek z butelką szampana, proponując dolewkę.

– Kasiu, gratulacje, samodzielnie rozbawiłaś dwadzieścia parę osób. Może to wróżba na cały rok? Napijesz się jeszcze?

– Nie, na razie zrobię sobie przerwę.

Jacek odstawił butelkę, po czym wyjął Kaśce z dłoni jej kieliszek.

– Zatańczysz? Twój Uner chyba się nie pogniewa.

– Jaki on mój? Zresztą ma co robić! – Kaśka ruchem brody wskazała środek pokoju i Unera z Elpidą praktykujących w tańcu odprężenie grecko-tureckie.

– Sympatyczny gość – powiedział Jacek.

– Bardzo, naprawdę fajny – potwierdziła Kaśka. – Ma na wszystko takie świeże spojrzenie. Zauważa rzeczy, których normalnie się nie widzi.

– No i zauważył Elpidę. – W głosie Jacka słychać było lekki ślad złośliwości. – Pasują do siebie.

Rzeczywiście czarne loki Elpidy dobrze komponowały się z czarnymi włosami Unera, podobnie jak lekko śniada cera obojga i bielutkie zęby, które pokazywali w pełnych życzliwości uśmiechach. Naturalnym dopełnieniem tej obserwacji była jej bliźniacza siostra, która jednak pozostała niewypowiedziana: że i drugie połówki obu par dobrze się ze sobą komponują. Kaśka i Jacek, oboje blondyni, o kompleksji raczej mazowieckiej niż południowej, o silnych sylwetkach – bardziej ziemniaki na Luksusową niż winogrona na słodkie, najstarsze na świecie cypryjskie wino commandaria. Kaśce dobrze było w ramionach Jacka, szumiał jej w głowie wypity wcześniej alkohol, szumiała bliskość mężczyzny, którego potajemnie i całkowicie nielegalnie kochała, szumiały te wszystkie jego aluzje, uśmiechy, uściski. To, co podczas toastu noworocznego wydobywało się dyskretnie, zdawkowe i sflamszone, teraz gotowe było wypełznąć, wyleźć na wierzch, eksplodować wręcz, gdyby tylko... Gdyby tylko.

W pewnej chwili z kuchni wyszły dwie młode Greczynki. Jedna niosła wielką blachę z ciastem – *wasilopitą* – i postawiła ją na stole. Druga miała duży nóż i stos talerzy – znak, że pora na dzielenie ciasta i polowanie na zapieczoną w nim złotówkę. Po pewnym czasie wszyscy mieli już w dłoniach talerzyki z ciastem i widelczyki. Zaczęło się wielkie dziubanie. Jacek zaproponował, że może chętnym wypożyczyć amatorski wykrywacz do metali, z którym czasem jeździł na wycieczki przy okazji wierceń w różnych regionach Polski. Unerowi z kolei to gorączkowe poszukiwanie pieniędzy skojarzyło się z tureckim zwyczajem noworocznym – rozstrzygnięciem wielkiej loterii, w której główną nagrodą było dwadzieścia milionów euro. W końcu rozległo się głośnie „Aaaaa!”, przechodzące w przeciągłe „Maaaam!”. Brzmiało to może nie tak ekspresyjnie jak „Gooool!” obwieszczony przez brazylijskiego komentatora radiowego, ale nie było wątpliwości, kto został pobłogosławiony

przez świętego Wasilisa: polski partner jednej z greckich przyjaciółek Elpidy obtarł serwetką najzwyklejszą krajową złotówkę – tyle że uszlachetnioną zapieczeniem w wielkim drożdżowym placku – i wręczył ją swojej damie z szarmanckim ukłonem. Sądząc po wzroku obdarowanej, carska złota pięćorublówka zwana „świnką” nie sprawiłaby jej większej radości niż ten prząsny złocisz.

Jeszcze jeden grecki zwyczaj został tej nocy uhonorowany, przynajmniej w symboliczny sposób. Elpida opowiedziała, że Grecy często zaraz po północy rzucają na podłogę granaty – na szczęście. Chwilę potrwało, zanim zebrani uświadomili sobie z ulgą, że chodzi o soczyste owoce, a nie wyrzucane ręcznie pociski. Ponieważ jednak granaty obu typów ciskane o podłogę mogą wyrządzić istotne szkody, uczyniono zadość tradycji, wnosząc do pokoju kilka miseczek z wyłuskanymi już nasionami granatów i zachęcając zebranych do konsumpcji. Kwaskowe, soczyste granaty stanowiły zresztą bardzo udany kontrpunkt przy jedzeniu *wasilopity*.

A potem ruszyły do boju głośniki, zakręciły się suknie i spódnice, zatupały buty, zawirowały korkociągi, zaszumiały wyobraźnie, wyszczerzyły się zęby, zaperliły żarty, usta nachyliły się do uszu, żeby przekrzyczeć muzykę, dłonie szukały dłoni, żeby nie wiadomo co robić, pot spływał, wino się lało, pod toaletą stała kolejka, woda w rezerwuarze nie zdążyła się nabierać, a sąsiedzi z góry chcieliby już pospać...

Było około czwartej, kiedy Kaśka z Unerem znaleźli się na tylnym siedzeniu taksówki. Sporo wypili przez tę noc, Kaśce chwilami wirował przed oczami postarzały o rok świat, była zmęczona i śpiąca. Trzymała głowę na ramieniu obejmującego ją Unera i zastanawiała się, co ma być dalej. Droga z Barskiej na Noakowskiego była na tyle krótka, że nie miała na te rozważania zbyt dużo czasu.

Właściwie rozwiązanie samo się narzucało. Byłoby całkiem naturalne, żeby to, co zaczął Sylwester, kontynuował twórczo Mieczysław... Uner był przeuroczy, zabawny, błyskotliwy, inteligentny. Przystojny, no i z tym śnieżnym uśmiechem. Zacząć Nowy Rok od bliskości i intymności z kimś takim... od niezobowiązujących łóżkowych zabaw... Trzeba przecież odczarowywać te niezbyt fortunate erotyczne doświadczenia z Marcinem. Kaśka miała wrażenie, że w prawym uchu wręcz słyszy szepty Lali, namawiającej ją do działania, że czuje gorący oddech przemawiającej do niej przyjaciółki. Ale to chyba był jednak oddech Unera, który co prawda niczego konkretnego jej nie szeptał, ale

najwyraźniej przejął obowiązki Lali i całym sobą wyraźnie namawiał Kaśkę, żeby nie kończyli jeszcze spotkania... Może gdyby nie tańczyła wcześniej z Jackiem... Tak, gdyby nie tańczyła wcześniej z Jackiem... Ale... wspomnienie silnych ramion... Miała wrażenie, że na plecach, na rękach, w miejscach, w których dotykały ją jego dłonie, ma czerwone ślady, wypalone już na stałe przez Jackową męską energię. Może gdyby nie te słowa wygłoszone o północy... „Żebyś widziała ludzi, którym na tobie zależy”. Może gdyby...

– Widzi pan ten żółty szyld po lewej stronie? To tam proszę stanąć. – Kaśka wydała dyspozycję taksówkarzowi, po czym zwróciła się do Unera. – Ja tu wyskoczę i pójdę do siebie. A ty jedź do siebie.

Po chwili oboje wysiadali z taksówki. Uner sięgnął do kieszeni płaszcza, jakby chciał zapłacić, ale Kaśka złapała go za rękę i powiedziała do taksówkarza:

– Niech pan chwilę zaczeka.

Oboje stali przed wejściem do jej kamienicy.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała, przytulając się do Unera i lekko całując go w usta. – Świetnie się z tobą bawiłam. Było super i dzięki, że ze mną poszedłeś. Ale... Ale muszę teraz iść spać. Muszę. Dobranoc, Uner.

Ich usta jeszcze raz się zetknęły, tym razem na dłużej, ale w chwili, gdy już zaczynał rodzić się z tego namiętny pocałunek, Kaśka lekko odepchnęła się od Unera, odwróciła się i niezbyt pewnie dotarła do klawiatury domofonu.

W spojrzeniu, którym taksówkarz obrzucił siedzącego znów w jego aucie pasażera o południowej urodzie, walczyły ze sobą *schadenfreude* i męska solidarność. Scena pod domofonem była wystarczająco czytelna.

– Szkolna siedem – powiedział Uner.

Umiał to już wymówić właściwie bez żadnego obcego akcentu.

Rozdział 15.

Bardzo się denerwowali nadchodzącą premierą. Już od dawna żadne z przedsięwzięć Strychu nie budziło w zespole takich emocji jak *La Cenerentola* w reżyserii Kernesa. Bo też to wydarzenie miało kilka wymiarów.

Po pierwsze sam tekst Olivera Dabescha. Jego *Kopciuszek* – któremu nadał włoski tytuł *La Cenerentola*, nawiązując do niemal o dwieście lat wcześniejszej opery Rossiniego – był próbą przeniesienia we współczesne, europejskie realia opowieści o elementarnych ludzkich sprawach, na których zbudowana jest baśń o dobrej i sprawiedliwej dziewczynie, długo poniżanej przez złych ludzi, a na koniec wywyższonej za sprawą miłości. Baśń opowiadana dzieciom od stuleci, a już szczególnie chętnie – przynajmniej w naszym kręgu kulturowym – od czasów Charlesa Perraulta czy braci Grimm. Dabesch był znany ze swojego społecznego i politycznego zacięcia. Jego dramaty, wystawiane w teatrach całego świata, pełne były pasji demaskatorskiej, poruszały trudne tematy współczesności. Nie odwracały się od problemów wykluczenia, prześladowania mniejszości, poniżania słabszych, szydziły z tradycyjnej mieszczańskiej moralności – tam, gdzie była przykrywką dla hipokryzji i egoizmu – wyśmiewały płytkie i konwencjonalne podejście do religii, piętnowały konsumpcyjny czad kapitalizmu, brały się za problem uchodźców, nieprzystosowania, zderzenia kultur, niesprawiedliwości społecznej. Baśń o Kopciuszku – czyli historia o poniżeniu, wykorzystaniu i niezbywalnym prawie do szczęścia – była mu oczywiście potrzebna tylko jako pretekst, jako detonator pasji, z którą chciał opowiadać o współczesnym świecie. Wszędzie, gdzie go wystawiano, Dabesch oznaczał ferment, awanturę, silne emocje i pełne spektrum reakcji – od uwielbienia po klątwę.

Do tej beczki z prochem podłączono teraz lont w postaci Unera Kernesa, innego skandalisty i awanturnika współczesnego teatru. Poprzednie przedsięwzięcie artystyczne Kernesa – *Skąpiec* Moliera wystawiony w teatrze Kanagawa w Jokohamie – omal nie skończyło się dymisją tamtejszego dyrektora. Niemiecki reżyser, spokojny, kulturalny i zabawny w życiu prywatnym, miał niesamowitą wyobraźnię sceniczną i w swoich realizacjach

teatralnych potrafił nieźle zaszaleć. Wymagał wiele od aktorów, stawiał przed nimi niezwykle trudne zadania, kazał im się obnażać (nie w sensie dosłownym, choć golizna też się pojawiała w jego spektaklach), grzebać w bebechach, nicować dusze na scenie – ale też ich pobudzał, rozwijał, uczył, stawiał przed nimi wyzwania, które stawały się punktami zwrotnymi w ich karierach. Z zespołem Strychu porozumiał się całkiem dobrze. Po kilku pierwszych spotkaniach, kiedy się obwąchiwali i obmacywali, dotarli do następnego etapu: zaczęli zbiorowo tworzyć spektakl, którego zarys wspólnie dostrzegli. Uner bardzo lubił ten moment, gdy jego pomysły, do których najpierw musiał cierpliwie namawiać, przełamując stereotypy oraz utarte schematy myślowe i profesjonalne aktorów, zaczynały żyć w innych, zaczynały się „samodzielnie paść na łące”, jak to czasem określał.

A teraz powoli zbliżała się godzina eksplozji. Strychowcy zdawali sobie sprawę, że w warszawskich realiach spektakl może wywołać duże zamieszanie. Nie takie wyczyny teatralne kończyły się już przecież pikietami, blokowaniem teatralnych drzwi, zbiorowymi modłami o oprzytomnienie, wezwaniami do rozliczeń, doniesieniami do prokuratury... Mogli zostać obsypani pochwałami i nagrodami, mogli też zostać wdeptani w chodnik. Najprawdopodobniejsze było wystąpienie obu typów reakcji, ważne wszakże były proporcje między nimi. Ważne także z punktu widzenia finansowego bytu teatru, a więc czegoś, co bezpośrednio należało do podwórka Kaśki.

Był jeszcze jeden powód, dla którego w te dni na przełomie stycznia i lutego Kaśka czuła na sobie brzemień szczególnej odpowiedzialności: szykował jej się kilkudniowy, samodzielny wyjazd służbowy do Barcelony, w trakcie którego miała tchnąć życie w dość istotny dla Strychu projekt.

Przed kilkoma miesiącami Staszek Rachwański, zasiadający w jury pewnego festiwalu teatralnego w Finlandii, poznał dyrektorę barcelońskiego teatru miejskiego Mercat de les Flors. Poszli gdzieś razem na kolację, na której gawędzili o sprawach teatralnych. Kaśka i Wojtek podejrzewali zresztą, że mogła to być kolacja przechodząca w śniadanie, bo ilekroć rozmowa schodziła na relacje Staszka z kobietami, jego współpracownicy, koledzy i przyjaciele rzucali tylko z tajemniczym uśmiechem hasło „Super Glue”. Sam zainteresowany zawsze jednak zachowywał w tych sprawach pełną dyskrecję. Najważniejsze, że z warszawsko-barcelońskich negocjacji wyszły interesujące pomysły na współpracę obu teatrów. Trzeba było rodzące się partnerstwo ująć w jakąś umowę i Staszek scedował to zadanie właśnie na Kaśkę. Po drugiej

zaś stronie stołu pojawiła się sympatyczna katalońska menedżerka z Mercat de les Flors o imieniu Montse. Kobiety wymieniły kilka mejli, pogadały parę razy przez telefon i całkiem niedawno Montse zaprosiła Kaśkę na parę dni do Barcelony, żeby dokończyć rozmowy.

Perspektywa sama w sobie dość przyjemna, choć w Strychu akurat tyle się działo, że nie bardzo jej się chciało wyjeżdżać. Nie mówiąc już o tym, co działo się w jej życiu... Staszek jednak naciskał:

– Jedź, Kasiu, jedź, załatwiał. Dobrze załatw, to jak nam tutaj budę zamkną, może się w tej Barcelonie przechowamy.

Rachwalski najwyraźniej skrzętnie zapamiętał opowieści o awanturze, która wybuchła w jokohamskim teatrze po niedawnych wyczynach Unera Kernesa, i niepewnym losie tamtejszego dyrektora...

Rozdział 16.

Kiedy już przyszło jej to do głowy, zdziwiła się, że nie wpadła na ten pomysł wcześniej. No tak. Ma przecież dwie przyjaciółki: od dawien dawna Lale i całkiem od niedawna Elpidę. Dlaczego ich jeszcze ze sobą nie poznała? Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zaprosić na kolację Lali ze Sławkiem oraz Elpidy z Jackiem, ale doszła do wniosku, że formuła dwie pary plus singielka nie jest najszczęśliwsza – szczególnie jeśli to ona właśnie miałaby w tym spektaklu zostać obsadzona w roli singielki. I jeszcze Lala jako jedyna w całym gronie – oprócz Kaśki – świadoma kluczowego podtekstu pewnie nie czułaby się najlepiej. Nie, lepsza i bardziej naturalna będzie formuła babskiego wieczoru.

– Zwariowałaś?! – wrzasnęła Lala w telefon. – Jeszcze mnie chcesz w to wrobić? Mało ci ofiar? Spotkamy się z kobietą, którą planujesz unieszczęśliwić, a ja mam udawać, że o niczym nie wiem? I się z nią zaprzyjaźniać? Ty nabierasz trucizny do strzykawki, a ja ją będę zagadywać?

– O rany, nie przesadzaj, znowu po mnie jeździsz. Teraz dla odmiany Lukrecja Borgia, kurwa-trucicielka. Czy ty mnie czasem troszkę lubisz?

– Kasiuniu, ja cię nie tylko lubię, ale uważam się za twoją jedyną prawdziwą przyjaciółkę. A to nakłada na mnie obowiązek szczerości. O tej Algidzie nic nie wiem, nie chcę jej oceniać...

– Elpidzie.

– Dobra, Elfrydzie. Ale dziwi mnie, że obwozi po samotnych babach tego swojego Jacusia, co tak skutecznie wierci. I w ogóle do głowy jej nie przyjdzie, że pan inżynier może zacząć całkiem nowe wiercenia.

– Lala, do cholery, to nieuczciwe. Ja ci coś opowiadam, a ty to wykorzystujesz przeciwko mnie i moim przyjaciołom. A ona jest Elpida, słyszysz: E-L-P-I-D-A. Przeliterować?

– A pieprz się ze swoim liternictwem. Chcesz mnie przerobić na współniczkę w tym wariactwie. A ja się nie dam, rozumiesz? N-I-E D-A-M. Przeliterować?

Jak to często ostatnio bywało w trakcie rozmów z Lalą, Kaśkę znów zatkało i straciła wszelką ochotę, żeby otwierać usta. Wiedziała, że przyjaciółka

częściowo ma rację, częściowo zaś jest niesprawiedliwa i nawet okrutna, chociaż chce dobrze, ale nie ma empatii, a może ma aż za dużo i to wszystko przez to, a zresztą jakie to ma znaczenie, co się powie... albo nie powie, skoro...

Lala natomiast szarżowała w najlepsze.

– Ktoś ci musi mówić prawdę. Zachowujesz się jak idiotka. Co zrobiłaś w tym tygodniu, żeby się z tego wypłatać? Co zrobiłaś od Nowego Roku, żeby poznać kogoś, wejść w jakąś normalną relację? Nic nie zrobiłaś. I sylwestra też schrzaniłaś, chociaż miałaś okazję otrząsnąć się z tego czadu. Nie mogłaś się z tym Uberem puścić?

– Unerem, do cholery! Przestań przekręcać imiona! A poza tym, co ty wygadujesz? Miałam się wdać w romans w pracy? Żeby wszyscy mieli o czym mówić? Żeby cichły rozmowy, kiedy będę przechodzić korytarzem? Zwariowałaś? I to są te twoje dobre rady?

– No jasne, w pracy nie, jakżeby... – Lala włożyła w to zdanie całe zasoby sarkazmu, jakie zdołała zmobilizować. – Tylko sobie poszłaś w środę z Jacusiem i Agatką do teatru. A w piątek na kolację do nich. Kurwa, weszłaś w tę rolę już tak głęboko... Już zapomniałaś, że mogą być inne. A teraz do szczęścia w tym zidioceniu zabrakło ci, żeby stara, poczciwa Lala też cię wsparła i pokiwała głową nad wdziękiem tej greckiej bogini. No i przede wszystkim nad urodą Jacunia. Wtedy będziesz miała już komplet, tak? No więc nie, pani dyrektor! Mnie w tym komplecie nie będzie. Ja ci będę mówiła prawdę, bo mnie na tobie zależy. I tamtej też powiem, jeśli ją kiedykolwiek spotkam. Powiem jej, żeby trzymała swój skarb z daleka od rozbuchanej hormonalnie przyjaciółki, która już niedługo jej go bzyknie. Powiem, jak Boga kocham. Jak chcesz, to zrób ten babski wieczór.

*

A mimo to się spotkały. We trzy. Całkiem przypadkowo, w Złoty Tarasach. Kaśka umówiła się tam którejs lutowej soboty z Elpidą, która zamierzała obejrzeć parę ciuchów w związku z czekającym ją służbowym przyjęciem. Znużone dwiema godzinami spędzonymi w sklepach i przymierzalniach postanowiły wejść do Wedla na czekoladę. Kiedy tylko usiadły przy jednym ze stolików wystawionych poza obręb kawiarni na pierwszym piętrze atrium,

Kaśka z mieszaniną radości i przerażenia dostrzegła Lalę idącą prosto na nie. Lala trzymała papierową torbę Zary, szła zmęczonym krokiem i chyba miała ten sam pomysł w sprawie czekolady co one. Po chwili je zobaczyła. Domyśliła się natychmiast, kim jest właścicielka kruczoczarnych loków siedząca obok Kaśki. Rzuciła przyjaciółce surowe spojrzenie, ale po chwili się rozpogodziła i z wesołym popiskiwanym padła w ramiona Kaśki. Ta ostatnia, pamiętając telefoniczne pogroźki Lali i znając jej nieobliczalność, patrzyła na nią błagalnie. Lala odpowiedziała wzrokiem mówiącym: „No dobra, na razie ci odpuszczę”.

Po dokonaniu prezentacji Lala dosiadła się do stolika Kaśki i Elpidy.

– Nie nadaję się na galeriankę – powiedziała, opadając ciężko na wolne krzesło. – Męcę się w takich miejscach. Wiele bym nie uciągnęła.

Elpida nie wyłapała dwuznaczności związanej z tym ostatnim słowem, ale Kaśka zaczęła chichotać.

Kiedy podszedł kelner, Lala zamówiła dla siebie czekoladę, a potem kobiety rzuciły się w rozmowę głowami naprzód. Szło im to gładko, Lala i Elpida widziały się po raz pierwszy, ale jedna o drugiej słyszała sporo od Kaśki, więc z zainteresowaniem konfrontowały swoje wyobrażenia z rzeczywistością. Ponieważ wszystkie miały dość żywiołowy temperament – najbardziej zrównoważona i dostojna była chyba w tym gronie Kaśka – rozmowa była głośna i przetykana wybuchami śmiechu o różnych odcieniach i w różnym natężeniu: Lala chichotała w sposób najbardziej żywiołowy, Elpida miała przy tym najgrubszy głos, a Kaśka śmiała się najpoważniej, jakby po dyrektorsku. Malownicza trupa trzech ładnych i rozbawionych kobiet przyciągała spojrzenia – od pożądlivych do rzuconych spode łba przez niechętne światu ponuractwo obojga płci.

W pewnej chwili Elpida poszła do łazienki. Zabrała torebkę, resztę rzeczy zostawiając przy stoliku.

– No wiesz, przecież to taka fajna dziewczyna – powiedziała Lala jakby z wyrzutem.

– Masz do mnie o to pretensje? – spytała zdziwiona Kaśka.

– Nie o to, że ona fajna, tylko że ty jej tak...

– Lala, przestań chociaż dziś. Nic jej nie robię. To moja przyjaciółka. Nie tak stara jak ty, ale dobra. Bądź i ty dzisiaj dobra, Laluniu, proszę cię. – Wypowiadając z emfazą te słowa, Kaśka złapała Lalę za rękę i błagalnie spojrzała jej w oczy.

Jakiś krótko ostrzyżony i wystrojony w wyjściowy dres oraz paradne sneakersy młodzieniec musiał chyba poczuć się zbulwersowany tą sceną, bo rzucił wredny komentarz partnerce, która z nim szła. Oboje z bezbrzeżną pogardą spojrzeli na czulące się akurat kobiety. Lala z Kaśką niby miały przez chwilę ochotę skwitować te mordercze spojrzenia kolejnym wybuchem chichotu, ale potężna dawka złej energii wyemitowana przez przechodzącą parę sparaliżowała je.

– Dobrze, że nam nie napluli w czekoladę – powiedziała w końcu Lala.

Po chwili Elpida wróciła z łazienki z komunikatem, że rozmawiała z Jackiem, który zaraz do nich dołączy, bo jest w pobliżu i też się chce pośmiać.

Lala nagle sztywno wstała ze swojego krzesła i spojrzała na wyświetlacz telefonu, żeby sprawdzić godzinę.

– Dziewczyny, nie gniewajcie się, ale muszę już iść. Jestem spóźniona. Umówiłam się ze Sławkiem, że wrócę do domu około drugiej, bo mamy jechać na obiad do jego mamy. Muszę pędzić.

Kaśka utkwiała w niej wzrok z niemą prośbą, ale Lala beznamiętnie wyjęła z torby portmonetkę, z niej dwudziestozłotowy banknot i położyła go na stoliku, mówiąc:

– To za moją czekoladę.

– Oj, naprawdę nie możesz? – spytała zasmucona Elpida.

– Naprawdę, muszę pilnować męża – odpowiedziała Lala ze sztywnym uśmiechem, kierując te słowa bardziej do Kaśki niż do Greczynki. – Miło było cię poznać – powiedziała trochę cieplej, obejmując Elpidę i przyklejając na chwilę policzek do jej policzka.

– I ja cię też – odpowiedziała Elpida, potrząsając czarnymi lokami.

Potem Lala objęła Kaśkę.

– Baw się beze mnie.

Te słowa wypowiedziała zasmuconym głosem, niemal szeptem, prosto do jej ucha, kiedy całowały się na pożegnanie. Zrobiła przed tym uściskiem całkiem poważną minę i ściągnęła brwi. W realiach stosunków panujących między nimi te słowa i ta twarz robiły niemalże wrażenie deklaracji wojny.

Wojna z Lalą... Boże drogi. To była ostatnia rzecz, której Kaśka potrzebowała.

Rozdział 17.

Miała takie miejsce na widowni Strychu, które przy okazji premier zawsze dla siebie rezerwowała. Jeden z ostatnich rzędów parteru, lewa strona sali. Nie było to miejsce najlepsze do obserwowania sceny – jeśli o to chodzi Kaśka wolała siedzieć o wiele bliżej – ale lubiła też dyskretnie rozglądać się po widowni, przyglądać się zachowaniom ludzi, odczytywać temperaturę przedstawienia z ilości wiercących się widzów, natężenia kaszlu, liczby prowadzonych rozmów czy odczytywanych dyskretnie esemesów. Do takich obserwacji jej tradycyjne premierowe miejsce nadawało się świetnie. A dodatkowo uważała je za coś w rodzaju talizmanu: jeśli zajmowała swoje miejsce, premiera musiała się udać.

Na pierwsze przedstawienie *Cenerentoli* poza gośćmi służbowymi – takimi jak wiceprezes Ratajczak z Alpha Amsterdam Bank, który przyszedł na spektakl z żoną – zaprosiła też przyjaciół, Jacka z Elpidą.

– No oczywiście, Jacka z Elpidą! – krzyknęła cierpkim głosem Lala, kiedy Kaśka zadzwoniła do niej, żeby zaprosić także i ją razem ze Sławkiem.

– Tak, Jacka z Elpidą – odpowiedziała spokojnie Kaśka. – To moi przyjaciele, interesują się teatrem, więc nie widzę powodów, żeby ich nie zapraszać. Was też lubię, więc i was zapraszam, Laleczko.

Rozmawiała z przyjaciółką jak z dzieckiem. Wyjątkowo tego dnia niesfornym.

– No super. My i oni. Ja, twoja najstarsza przyjaciółka, i piękna Elpida, którą znasz od pół roku i której zamierzasz świsnąć męża.

– Nie mów tak, to niesprawiedliwe, nic nie zamierzam. Prosiłam cię już.

– W każdym razie dziękuję za to zestawienie. Czuję się zaszczycona.

– Lala, chcesz przyjść na tę premierę czy nie? Jeśli chcesz, zostawię ci w kasie zaproszenia na twoje nazwisko. A jak nie, to nie. – Kaśka miała już trochę dość fanaberii przyjaciółki.

Lala chyba się zorientowała, że przesadziła.

– Kasieńko, nie gniewaj się – powiedziała skruszonym głosem. – Ja właśnie dlatego się tak wściekam, że chyba nie dam rady przyjść. Dzięki za zaproszenie, ale... Dziesiątego Sławek będzie na jakiejś konferencji

w Szwajcarii, moi rodzice wyjechali, a Kazio jest przeziębiony i nie chcę go zostawiać z kimś obcym. Więc nie dam rady... To naprawdę nie chodzi o nic innego, tylko tak mi się zbiegło. Okropna jestem... Nie gniewasz się?

– No co ty? Żałuję, oczywiście, bo miło by was było zobaczyć na premierze, ale jak będziecie chcieli, to wam załatwię bilety na jakiś późniejszy spektakl. O ile będą późniejsze spektakle – dodała po chwili, odpukując w blat biurka.

– Zwariowałaś? Na pewno będzie sukces.

Elpida z Jackiem po raz pierwszy byli na premierze w Strychu. Przywitani się z Kaśką, która miała sporo obowiązków reprezentacyjnych, więc nie mogła poświęcić znajomym dużo czasu. Zdążyła jednak zauważyć, jak przystojnie wygląda Jacek w garniturze i pod krawatem. Zdołała poznać ich oboje z Wojtkiem – mówiła mu przecież sporo o swoich nowych przyjaciółach; w sumie była zadowolona, że imiona, które wielokrotnie wymieniała w trakcie ich lunchowych rozmów, uzyskają teraz konkretne twarze. Wojtek najwyraźniej był pod wrażeniem przynajmniej jednej z tych twarzy – tej okolonej czarnymi lokami. Trudno natomiast powiedzieć, żeby jakoś szczególnie serdecznie zareagował na Jacka. „Coś wyczuwa?” – przemknęło Kaśce przez głowę.

Ale nie miała czasu analizować tej kwestii, musiała zająć się oficjalnymi gośćmi. Witła się ze sponsorami, urzędnikami, dziennikarzami, ludźmi kultury... Starła się dla każdego dobrać jakieś spersonalizowane przywitanie, odwołujące się do wiedzy o danej osobie, jej zainteresowaniach, wspólnych doświadczeniach. Ze względu na niemieckiego autora i reżysera na premierę przyszedł między innymi ambasador Niemiec, była też dyrektorka polskiego przedstawicielstwa Instytutu Goethego, oboje zresztą dobrze mówiący po polsku. Wzięli w obroty Unera, który błyskał białym uśmiechem i kiedy tylko mógł, machał albo puszczał oko do Kaśki. W pewnej chwili delikatnie dała mu dłoń znak, żeby do niej podszedł. Chciała poznać go z wiceprezesem Ratajczakiem, który ją o to zresztą otwarcie poprosił, przedstawivszy jej przedtem swoją żonę.

Uner zdawał sobie sprawę, że jest w tym zoo czymś w rodzaju najbardziej egzotycznego zwierza, i chętnie wypełniał obowiązki głównej małpy, wiedząc, że może tym pomóc przyjaciołom ze Strychu. Na przykład Kaśce. Od sylwestra dawało się między nimi zauważyć wyraźną nić ciepła i sympatii. Nie próbowali już docierać na taki poziom intymności, do jakiego zbliżyli się wówczas, ale po prostu bardzo się polubili i chętnie to sobie okazywali. Także

i teraz. Uner świetnie wyczuł, że może Kaśce oddać przysługę krótką rozmową z Ratajczakiem, w której zachwyci się jego znajomością europejskich trendów teatralnych i pokiwa w zamyśleniu głową nad paroma opiniami wygłoszonymi przez bankowca. Efekt tej rozmowy mógł być mierzalny w złotówkach, więc Uner się przyłożył. Nie miał na to zresztą zbyt dużo czasu, bo za chwilę miało się już rozpocząć przedstawienie. Panowie obiecali sobie dalszy ciąg rozmowy po spektaklu. Kaśce zaś Ratajczak przypomniał, że koniecznie muszą się spotkać w najbliższych dniach, żeby omówić dalszą współpracę. Odchodząc, Uner znów dyskretnie puścił do Kaśki oko, robiąc przy tym tak śmieszoną minę, że pani dyrektor musiała zastosować stary trik: upuściła program i natychmiast się po niego schyliła, żeby uzasadnić w ten sposób lekkie zakrztuszenie i dziwny wyraz twarzy.

W drodze na widownię Kaśka przywitała się jeszcze z kilkoma osobami. Jedną z ostatnich była redaktor Kostrzewska z portalu Proscenium.pl. Jej obecność jak zawsze zmroziła Kaśkę, która w obecności tej kobiety traciła zwykłą swobodę i zapominała języka w gębie.

– Dobry wieczór, pani redaktor – wydukała. – Miło panią widzieć. Życzę ciekawych wrażeń.

Kostrzewska w odpowiedzi zachowała się tak jak zawsze: spojrzała na Kaśkę jak na tancerkę z klubu go-go (kolejno: dekol, nogi, fryzura), odęła lekko wargi i powiedziała:

– Dobry wieczór.

A potem poszła odszukać swoje miejsce na widowni.

„To zły omen” – pomyślała Kaśka. Na szczęście przypomniała sobie od razu, że nie wierzy w omeny i znaki, więc uśmiechnęła się do Wojtka, który zamachał do niej z odległości kilku rzędów, i zasiadła na swoim szczęśliwym (w co wcale przecież nie wierzyła...) miejscu.

*

Spektakl przebiegł gładko i bez większych zaburzeń. Oczywiście wtajemniczeni mogli się dopatrzeć pewnych potknięć, ale publiczność była zadowolona. Kaśka, która widziała kilka prób, zorientowała się, że w paru miejscach ktoś na chwilę wypadł z roli, komuś umknęła jakaś w miarę istotna kwestia, a gdzie indziej improwizacja zastąpiła przygotowany zawczasu bieg

przedstawienia. Ale w sumie były to drobiazgi. W ogóle aktorzy grali jak natchnieni. Całość spektaklu robiła duże wrażenie i nie ulegało wątpliwości, że zespół w pełni identyfikuje się z zamysłami reżysera. Chłód scenografii kontrastował z wysyconym emocjami tekstem.

Wśród widzów czuło się pozytywne nastawienie, przekonanie, że biorą udział w czymś wyjątkowym, nietypowym, a jednocześnie mają do czynienia z dziełem integralnym, które trudno jest ocenić, na które trzeba spojrzeć w całości – a nie komentować poszczególne fragmenty czy pomysły.

Po skończonym przedstawieniu oklaski trwały długo, aktorzy wychodzili wielokrotnie, Uner i Staszek Rachwalski też pokazali się na scenie, wszyscy wszystkim rzucali się na szyję, bili brawo i mimo ewidentnego zmęczenia i wyczerpania wyglądali na szczęśliwych.

Kaśka była zadowolona z przebiegu przedstawienia, choć wiedziała, że jej radość niekoniecznie musi się przełożyć na życzliwe przyjęcie *Cenerentoli* przez media. A to było z jej punktu widzenia najważniejsze. Przedsmak możliwych komplikacji można było poczuć już w trakcie krótkiej konferencji prasowej przy kieliszku wina, zaimprovizowanej bezpośrednio po spektaklu we foyer Strychu. Kaśka prowadziła to spotkanie.

Jako jeden z pierwszych o głos poprosił dziennikarz związany z portalem Kulturalni Polacy, głoszącym w podtytule „przywiązanie do wartości narodowych, do polskiej tradycji i do prawdziwej wiary naszych ojców”. Pytanie było skierowane do Staszka Rachwalskiego.

– Czy pan jako dyrektor Strychu ma poczucie, że pańska działalność dostarcza polskiemu widzowi takiej pożywki i przeżyć artystycznych, jakie są mu najbardziej potrzebne w obliczu stojących dziś przed nami wyzwań i zagrożeń?

Staszek zastanowił się chwilę nad odpowiedzią, po czym jak najpoważniejszym głosem powiedział:

– Staramy się robić dobry teatr.

I zamilkł. Niektórzy czekali jeszcze na dalszy ciąg jego wypowiedzi, ale po chwili stało się jasne, że dalszego ciągu nie będzie. Stojący we foyer widzowie zaczęli bić brawo. Ale nie wszyscy. Niewielka grupka osób – Kaśka rozpoznała wśród nich kilkoro dziennikarzy związanych z mediami o podobnej afiliacji ideowej co Kulturalni Polacy – opuściła salę w dość demonstracyjny sposób. Nie od razu, ale po krótkiej chwili do grupy tej dołączyła też redaktor Kostrzewska z Proscenium.pl.

Kaśka poszukała wzrokiem Staszka, ale ten zwrócony był akurat do ambasadora niemieckiego. Uner z kolei rozmawiał z jedną z aktorek grających w przedstawieniu. Po chwili Kaśka złapała spojrzenie Wojtka. Porozumieli się bez słów. „Jednak będzie dalszy ciąg” – pomyślała, po czym powiedziała do mikrofonu:

– Czy ktoś z państwa chciałby zadać jakieś pytanie któremuś z twórców spektaklu?

Rozdział 18.

Właściwie dopiero w chwili, gdy zobaczyła jego imię i nazwisko na wyświetlaczu telefonu komórkowego, uświadomiła sobie, że Jacek prawie nigdy do niej nie dzwoni. Spotykali się tak często, spędzali ze sobą tyle czasu, ale umawianie się i uzgadnianie planów zawsze było sprawą między Kaśką a Elpidą.

„Coś się musiało stać” – to była jej pierwsza myśl, kiedy siedząc w obrotowym fotelu przy swoim Strychowym biurku, przesunęła w górę wyświetlony na ekranie napis „Jacek Blichner” i dotknęła pola z poleceniem „Odbierz”.

– Cześć, Kasiu. Nie przeszkadzam ci?

Nagle wtargnięcie tego głosu – jego głosu! – w codzienną rutynę zawodowej krzątaczki podziało na nią tak, jakby pośród zimowej warszawskiej szarugi dostała wiadomość o wygraniu urlopu na Hawajach za skorzystanie z karty kredytowej przy zakupie Big Maca, frytek i coli. Tak przynajmniej mogła sobie wyobrazić, bo nigdy w życiu nie wygrała urlopu na Hawajach.

– Nie. Coś się stało? – spytała lekko zachrypniętym głosem.

– O masz! To ja ci się tak kojarzę? Nic się nie stało, chciałem cię prosić o radę.

„Co ja gadam? Wyjdę na jakąś spanikowaną idiotkę” – przemknęło jej przez myśl.

– Jeśli to coś w sprawie gazów łupkowych, to uprzedzam, że przez ostatnie kilka dni nie czytałam raportów CIA.

Zaczęli się oboje śmiać i początkowe zdenerwowanie Kaśki minęło.

– Nie, tym razem bardziej chodzi o sztukę niż o inżynierskie nudziarstwo. Ale na pewno ci nie przeszkadzam?

Kaśka odzyskała już normalny rytm serca i oddechu, a wraz z nimi zwykłą zdolność analizowania otoczenia. I wynik tej analizy... Coś było nietypowego, niecodziennego w tym upewnianiu się wielce zazwyczaj asertywnego Jacka.

– Nie, chętnie się oderwę od swoich tabelk. Możemy gadać – zachęcała rozmówcę.

– Kasiu, mam w rodzinie taką panienkę... córka mojego starszego brata, Irenka. Ma siedemnaście lat. Wymyśliła sobie, że będzie pisarką.

– Wyrazy współczucia – rzuciła Kaśka w słuchawkę. – Brat by pewnie wolał dentystkę albo adwokatkę, co?

– Nawet jeśli by wolał, to stara się ją wspierać w tym, co ona postanawia. No i wymyślili... Irenka napisała kilka opowiadań. Bardzo by jej zależało, żeby ktoś kompetentny... Już wiesz, o co cię chciałem prosić?

– No dobra, przeczytam. Jeśli nie będę wiedziała, co powiedzieć, to dam to jeszcze komuś u nas do przeczytania. Ile tego jest? Dziewięćset stron?

– Nie, no co ty. Kilkadziesiąt. Gdybyś mogła jej potem coś powiedzieć, czy to ma sens, w którą stronę ma iść, jeśli w ogóle. No wiesz, rada fachowca...

– Nie ma sprawy. Chętnie. Młode pokolenia przyszłością polskiej kultury.

– Kasiu, wielkie dzięki. Nie wiem, jak ci się odwdzięczyc.

Kaśka miała w tej sprawie ze dwa, trzy pomysły, ale zachowała je dla siebie.

– Jak ktoś w mojej rodzinie będzie sobie chciał powierzyć w ziemi, to się do ciebie zwrócę o radę, gdzie ma zacząć. Przyślij mi te opowiadania panny Irenki.

– Dobra. Tylko wiesz, ona mi dała wydruk, nie mam pliku do wysłania...

Zdolność analizowania otoczenia sprawiła, że oddech i serce Kaśki znów najwyraźniej przyspieszyły.

„Nie ma pliku? Co on kombinuje?”

– Mógłbym ci to jakoś podrzucić? Może spotkalibyśmy się gdzieś na mieście albo bym wpadł do ciebie na chwilę.

Autopilot Kaśki nadał już pierwsze głośne ostrzeżenie, czerwona lampka kilka razy rozbłysła i zgasła. Tym chętniej właścicielka urządzenia pchała się dalej.

– No... chętnie. Nie ma sprawy. Może byście wpadli do mnie z Elpidą jutro wieczorem? Zrobię coś do jedzenia.

– Wiesz, ona ma jakiś wyjazd, na Śląsk, do Mikołowa konkretnie, z szefem jadą coś tam obgadać w sprawie drukarni, na którą znalazł się grecki inwestor, są umówieni z burmistrzem... – Jacek brnął w nadmiar ani jemu, ani jej niepotrzebnych wyjaśnień. – Wpadłbym sam z tym wydrukiem.

Syrena autopilota zawyła. Czerwone światło pulsowało już nieprzerwanie. Zaalarmowana, ostrzeżona i poinformowana o niebezpieczeństwie Kaśka twórczo przetworzyła sygnały ostrzegawcze.

– No to może wpadnij koło ósmej.

Kiedy piętnaście minut później Iwonka zapukała do pokoju szefowej i wsadziła głowę w drzwi, zastała Kaśkę siedzącą przy biurku i wpatrującą się otępiąłym wzrokiem w leżący przed nią telefon komórkowy.

– Kasiu, masz spotkanie – powiedziała cichym głosem sekretarka.

Kaśka wzdrygnęła się, przeniosła wolno wzrok na Iwonę i zapytała ze zdumioną miną:

– A skąd ty to wiesz?

– Co proszę...? No jak to, przecież sama cię umawiałam. Na trzynastą trzydzieści idziecie z Wojtkiem do banku... Wiceprezes Ratajczak, AAB. Dochodzi pierwsza. Wojtek już dzwonił, że późno.

– Ach, no tak, z Ratajczakiem. Przepraszam cię, byłam zamyślona, pomyliło mi się wszystko... O rany, trzeba wychodzić. Gdzie jest Wojtek?

Przez drzwi uchylone na szerokość rudej głowy Iwonki Kaśka zobaczyła, że jej zastępca właśnie wszedł do sekretariatu.

– Co się u was dzieje? Iwona, coś ty się tak wypięła w drzwiach? Spodziewałaś się mnie? A szefowa co? Późno jest, musimy lecieć. Odsypiasz coś, Kasiu?

Iwona całkiem otworzyła drzwi do biura Kaśki i obie kobiety spojrzały na Knapika z niesmakiem.

– Dziś bez żartów.

Kaśka, wstając z fotela, powiedziała to takim tonem, że Wojtek zrozumiał: dziś bez żartów.

*

Spotkanie w Alpha Amsterdam Bank miało zwieńczyć serię rozmów na temat rozszerzenia sponsoringu oraz kredytu na sfinansowanie kilku przedsięwzięć, o który wystąpił Strych. AAB działał na polskim rynku od niedawna i dla zbudowania swojego wizerunku bardzo aktywnie poszukiwał prestiżowych klientów. Prywatny warszawski teatr, o którym było głośno i który miał zagorzałych wielbicieli w opiniotwórczych kręgach inteligencji i klasy średniej, był kąskiem dość atrakcyjnym mimo ograniczonej skali możliwych operacji finansowych. Od listopada zeszłego roku AAB występował publicznie jako główny sponsor przygotowywanej w Strychu *Cenerentoli*

Dabescha, o której wiadomo było, że stanie się jednym z ważnych wydarzeń sezonu teatralnego. Ponieważ premiera spektaklu odbyła się tydzień wcześniej, warto było porozmawiać o dalszych etapach współpracy. Rozmowy o wsparciu przez AAB kolejnych projektów przebiegały przyjaźnie, a przygotowana dla Strychu oferta kredytu również wyglądała korzystnie na tle rynkowych standardów. Ponieważ Kaśce zależało na pewnych nietypowych rozwiązaniach, uruchamianie kredytu wymagało serii rozmów. Chętnie włączał się w nie wiceprezes zarządu Krzysztof Ratajczak, który lubił popisywać się swoją wiedzą teatralną, zresztą niebagatelną. Szczególnie, kiedy w rozmowach po drugiej stronie brała udział sympatyczna pani dyrektor od marketingu. Ostatnio Ratajczak przedstawił Strychowi propozycję rozszerzenia współpracy: skonsolidowania zadłużenia i obsługi przez AAB kredytów zaciągniętych wcześniej w innych bankach.

To właśnie na tę tak ważną rozmowę pędziła teraz Kaśka. A raczej chciała pędzić, a nie pełznąć w żółwym tempie przez centrum Warszawy.

– Kurewskie korki... – zaklęła po raz kolejny, spoglądając na zegarek i zastanawiając się, czy dzwonić do Iwonki, żeby uprzedziła sekretarkę Ratajczaka o ich możliwym spóźnieniu.

– Na Jana Pawła będzie lepiej, może się wyrobimy – uspokajał ją prowadzący samochód Knapik.

Kaśka była wściekła, że jedna głupia rozmowa z Jackiem odebrała jej poczucie rzeczywistości i wprowadziła w stan stuporu, w którym całkiem zapomniała o przygotowywanym od kilku dni tak ważnym spotkaniu. Nigdy nie pozwalała sobie na to, żeby jakiegokolwiek sprawy prywatne przeszkadzały jej w pracy. Nawet kiedy rozstawała się z mężem i gdy chorowała i umierała babcia Honorka, Kaśka brała dzień czy dwa wolnego, a później starała się pracować w normalnym tempie. „Co się ze mną dzieje? Do czego to dojdzie?”. Mnóstwo podobnych pytań przelatywało jej przez głowę. No i to najważniejsze, które usiłowała wepchnąć w jakiś kąt, ale ono i tak zewsząd wyłaziło, no bo właśnie było najważniejsze: „Co będzie jutro o ósmej?”.

Na razie było dziś i trzynasta trzydzieści. A właściwie trzynasta trzydzieści trzy.

– No, prawie na czas – usłyszała mruknięcie Wojtka.

– Przepraszamy za spóźnienie, panie prezesie. Ale to chyba nie więcej niż pięć minut...

– Pani dyrektor, bardzo nam miło państwa widzieć. Pani Stenia już pytała,

co podać do picia?

– Tak.

Czy ja mam jutro podać coś do picia?

– Jeszcze raz gratuluję świetnego spektaklu. Po państwa sukcesie chcielibyśmy rozszerzyć... Po pierwsze chętnie pomyślimy nie tylko o kredytowaniu, ale o dalszym sponsorowaniu pewnych państwa... Nasz bank zawsze chętnie wiąże się z wartościowymi działaniami w sferze... I to nie tylko w Polsce. W Holandii istnieje długa tradycja związku banków ze sztuką i AAB Polska stara się nie odbiegać pod tym względem od korporacyjnych...

Czuła się dziwnie. Zdania wypowiedane przez Ratajczaka dobiegały do niej jakby zza ściany i były urywane, brakowało w nich niektórych słów. Zastanawiała się nad tym, już kiedy Ratajczak skończył.

Dlaczego jest tak cicho?

– Oczywiście bylibyśmy zachwyceni... – *Co ten Wojtek pieprzy? I dlaczego się wtrąca?* – Ale też wspominał pan, panie prezesie, o kredycie konsolidacyjnym. W tej teźce są dane dotyczące naszych zobowiązań...

Co ty, Wojtuś, pierdolisz? Czy ja nie wiem, jakie są moje zobowiązania? Przecież właśnie próbuję je wszystkie podeptać.

– Panie dyrektorze... i pani dyrektor... Oczywiście zapoznamy się ze szczegółami, ale wydaje mi się, że nie będzie problemu z obsługą...

Będzie problem z obsługą. Gwarantuję to panu, panie Ratajczak. Już jutro wystąpią problemy z obsługą.

– ...oczywiście jeśli możemy mówić o interesujących projektach artystycznych...

Zaplanowałam na jutro niezły projekt artystyczny... Majtki w dół, nogi szeroko...

– Pani Katarzyno...

– Pani dyrektor... chyba nie wątpi pani w nasze przywiązanie do...

– Kasiu...

Dlaczego Wojtek tak na mnie patrzy? Czego oni chcą? Czego chce Jacek?

– Kasiu!

– Bardzo panów przepraszam. Jakoś źle się poczułam przez chwilę. Ale już wszystko dobrze. Kontynuujmy rozmowę. Mój zastępca doskonale zna sytuację.

– Może mała przerwa, pani dyrektor?

– Nie, nie, bardzo przepraszam, już naprawdę wszystko jest dobrze. Nie

wiem, co to było, ale już minęło.

– A więc mogę państwa jeszcze raz zapewnić...

*

– Kasiu, co ci było? – spytał Wojtek, kiedy po zakończonym spotkaniu wsiedli znów do jego samochodu.

– Nie wiem, zakręciło mi się w głowie. Może to od tego stresu, kiedy tu jechaliśmy? Przepraszam cię. Dobrze sobie poradziłeś.

Przez mgnienie oka Kaśka czuła ochotę, żeby skoczyć do tego basenu, a jeśli przypadkiem okaże się, że jest w nim woda, opowiedzieć swojemu najbliższemu współpracownikowi, od czego tak naprawdę kręci jej się w głowie. Ale powstrzymała się. *To przecież bez sensu. Lali też nie powiem. Natychmiast przyjedzie i poderżnie mi gardło. A może to odwołać?*

– Kasiu, odwiozę cię do domu. Chyba już nie musisz wracać „na strych”? Błada jesteś. Na pewno nie potrzebujesz do lekarza?

– Nie, nic mi nie jest. Muszę się na pół godziny położyć. Dzięki, Wojtek. Super z ciebie koleżka.

– Gdybyś potrzebowała...

– Błagam, nie – przerwała mu.

– Ale przecież... – zaczął, jakby chciał coś tłumaczyć, ale spojrzawszy na pasażerkę, zamilkł.

Kiedy zatrzymał auto obok punktu kserograficznego na Noakowskiego, uśmiechnęli się do siebie serdecznie. Kaśka jeszcze raz podziękowała mu za pomoc i wsparcie.

– Kasiu, dzwoń, gdyby coś.

– Dzięki. Wy tłumacz mnie przed Iwonką. Zobaczymy się jutro.

– Trzymaj się.

Rozdział 19.

Od rana próbowała nadrobić wczorajszą słabość i zagłuszyć dzisiejsze myśli. W Strychu podsumowali z Wojtkiem rozmowę z Ratajczakiem w AAB. Mimo incydentu z prawieomdleniem Kaśki to było ważne i dość owocne spotkanie. Byli na dobrej drodze, żeby uzyskać deklarację znaczącego zaangażowania sponsorskiego i – na bardzo przyzwoitych warunkach – kredyt potrzebny do sfinansowania najbliższych dwóch premier. Mało tego: mający najwyraźniej słabość do Strychu Ratajczak wyraźnie zasugerował, że jeśli dogadają się co do „zawiązania trwałego sojuszu, pani dyrektor”, czyli wypisania na sztandarach teatru, że AAB jest jego strategicznym partnerem, jedna z tych premier może zostać w całości sfinansowana przez bank na zasadzie dotacji. Trzeba było jeszcze policzyć, co w praktyce oznaczają warunki proponowanego przez Ratajczaka kredytu konsolidacyjnego, i porównać miesięczne obciążenia Strychu w dotychczasowej sytuacji rozproszenia długu w kilku różnych bankach z tym, co dawał AAB. Po kwadransie sprawdzania dokumentów i obliczeń przez Kaśkę, Wojtka oraz główną księgową z rachunków wychodziło, że i pod tym względem oferta Ratajczaka jest dla nich korzystna. Postanowili pójść z tym wszystkim do Staszka Rachwalskiego. Decyzja w tak ważnej, strategicznej sprawie wymagała jego zgody. Choć ich główny szef nie przepadał za tabelkami, ułamkami i odsetkami, miał dość dobre wyczucie także w sprawach finansowych. Bezgranicznie zresztą ufał zdrowemu rozsądkowi Kaśki i gospodarskiemu zmysłowi Wojtka, który jako posiadacz dyplomu MBA jedyny w strychowym zespole miał w pełni menedżerskie wykształcenie, przynajmniej od czasu, gdy zostali – wciąż się mówiło, że przejściowo – bez dyrektora do spraw ekonomicznych. Rachwalski nie miał też jakichkolwiek wątpliwości co do uczciwości tych dwojga. Tym większą więc czuli odpowiedzialność za swoje rady i rekomendacje.

Kaśka podsumowała krótko propozycje AAB, starając się unikać nadmiaru liczb i bankowej grypsery, po czym nastąpiła chwila ciszy, którą Staszek spędził na drapaniu się po pokrytej przedwczorajszym zarostem brodzie oraz – sądząc po zmarszczonym czole – na intensywnym procesie myślowym.

– Kochani, wiecie, że ja o procentach najbardziej lubię czytać na butelkach – powiedział w końcu. – Skoro wy uważacie, że tak będzie dla nas lepiej... Zresztą to wszystko jest bardzo przekonujące. Mam tylko taką starą wiejską nieufność do... no wiecie: wszystkie jajka w jednym koszyku. Strasznie się uzależniamy od jednego partnera.

– Mój ojciec mawia o obu jajkach w jednym koszyku – wtrącił ni z tego, ni z owego Wojtek, wywołując lekki uśmiech na twarzy Staszka.

– No tak, zarabiamy na tym trochę pieniędzy, ale nie boicie się, że tym strategicznym partnerstwem możemy ukreślić bicz na siebie?

– Dlaczego? – spytał Wojtek Knapik.

– No wiesz, wystarczy, że któreś z przedstawień się nie spodoba panu prezesowi albo wiceprezesowi. A może będą się próbowali wtrącać w to, co robimy?

– Ratajczak się zachwycał naszym teatrem – wtrąciła Kaśka. – Może trochę podbarwiał, ale brzmiał tak, jakby rzeczywiście często tu przychodził, niezależnie od spraw służbowych.

– Kasiu, dzisiaj Ratajczak, jutro Śmajczak – rzucił sentencjonalnie Staszek. – Temu się podoba, a tamtemu, kto wie? Jeden woli rybkę, drugi pipkę.

– Jezu – jęknęła Kaśka. – Oba jajka i pipka. Co za język. Faceci są beznadziejni. Czy nie da się rozmawiać o interesach bez tego atlasu anatomicznego?

Od razu zdała sobie sprawę, że wpadła w zastawioną przez siebie pułapkę. Przez chwilę wszyscy milczeli, obracając w głowie Kasine „interesy”, po czym jak na komendę wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

– No, widać się nie da... – podsumowała Kaśka.

Dokończyli rozmowę, uzgadniając, że muszą jeszcze wyjaśnić kilka szczegółów z AAB, ale ogólnie dadzą Ratajczakowi znać, że skłaniają się ku przyjęciu wszystkich jego propozycji. Żeby uczynić zadość niepokojom Staszka, Kaśka z Wojtkiem mieli poszukać jeszcze alternatywnych propozycji kredytowych w innym banku i porównać warunki ofert. Staszek zaś powtórzył, że ma do swoich współpracowników pełne zaufanie i zaakceptuje rozwiązanie, które będą mu rekomendować.

...A potem już nie mogła się dłużej oszukiwać: została sam na sam z myślą o tym, że za trzy godziny przyjdzie do niej Jacek. Najukochańszy, najprzystojniejszy i najbardziej na świecie niedostępny – bo chroniony immunitetem jej przyjaźni z Elpidą – Jacek. Czekał na metro, potem idąc niespiesznym krokiem do domu, robiąc po drodze drobne zakupy w spożywczaku, czuła wciąż pokusę, żeby na razie udawać głupią i podchodzić do oczekującego ją spotkania tak, jak przedstawił je sam Jacek: krótka wizyta w celu przekazania wydruku z opowiadaniem bratanicy Irenki. Koleżeńska prośba o konsultację fachowca. Konkretna sprawa. Niedawno w recenzji jakiejś restauracji przeczytała o „casualowym” charakterze tamtejszych posiłków. No więc casualowe spotkanie znajomych przy casualowej herbatce, poświęcone niecasualowym talentom literackim egzaltowanej pannicy. Przecież o to tylko chodziło. „Sam mi mówiłeś przeszłego roku”.

Ale za długo już dreptała po świecie, zbyt bystrą i inteligentną była kobietą, żeby nie dostrzegać całej reszty. Niepewnego głosu Jacka, kiedy do niej dzwonił. Nienaturalnie szczegółowego wyjaśnienia, dlaczego będzie sam. Wyboru daty spotkania właśnie w dniu, w którym Elpida czaruje kruczo czarnymi lokami burmistrza Mikołowa – tak jakby kariera artystyczna Irenki mogła odpalić albo dziś, albo nigdy. I tego wszystkiego, co trwało od pewnego czasu: ulotnych spojrzeń ledwo muśniętych tkliwością, zamyśleń, niemal niezauważalnych uśmiechów. Od tamtego pierogowego wieczoru, kiedy przez parę chwil oglądali się we dwoje w lustrze w łazience, a potem Jacek dziwnym wzrokiem obrzucił je obie z Elpidą, kiedy stały jedna za drugą z wałkiem i fartuchem, jak uczestniczki zawodów o tytuł „Miss Noakowskiego”, etap stroje kuchenne – od tamtych chwil coś im się zaczęło wymykać z rąk, jakiś dzin jął opukiwać od dołu korek butelki, badając możliwości wydostania się na zewnątrz, niewypowiedziane słowa sprawdzały, czy dałoby się przedostać przez barierę zębów i warg i ulecieć w świat, niewyśmiane uśmiechy pragnęły usadowić się na ich twarzach na dłużej niż mikrosekundę.

Czy to o tym pisała w swoich opowiadaniach panna Irenka?

Jak ma się ubrać? Czy szykować kolację? Czy zaproponować wino? O czym będą rozmawiać? Odstawić się wieczorowo, skoro on może tylko wpadnie na chwilę i w korytarzu przekaże jej wydruk, tłumacząc, że musi lecieć, bo źle zaparkował i zaraz dostanie mandat? Czy casualowo? No a jeśli

on przyjdzie z bukietem kwiatów (choćby w imieniu brata i bratanicy) i na elegancko?

Kiedy rozedrgana od tego rodzaju pytań i wątpliwości otwierała kluczem drzwi mieszkania na Noakowskiego, jak tyle razy wcześniej stanęła jej w tym miejscu przed oczami dobra twarz babci Honorki.

– Babciu, co mam robić? Dlaczego się tak wpierdzieliłam... niemożebnie?

„Trzeba mówić, jak jest” – brzmiało jedno z ostatnich zdań, jakie wypowiedziała do niej Honorka. Kaśka pomyślała, że nie przypadkiem pamięć podsuwa jej właśnie teraz tę babciną maksymę. Trzeba mówić, jak jest. A jest tak, że ma do niej przyjść facet jej dobrej przyjaciółki, w którym jest po uszy zakochana i który chyba też czuje do niej słabość. Przyjaciółka, niczego nie podejrzewając, załatwia sprawy służbowe na drugim końcu Polski. Przyjaciółka kocha swojego faceta i planuje budować z nim, dopóki śmierć nas nie rozłączy, i kocha też Kaśkę jako najbliższą powiernicę. Zwierza jej się ze swoich marzeń, planów, snów i orgazmów, dzieli się z nią przepisami na sałatki i technikami przedłużania stosunku. Oczywiście stosunku z nim, z Jackiem. I nawet nie przyjdzie jej do głowy, że Kaśka... No właśnie, nawiasem mówiąc trochę aż dziwne – myślała czasem Kaśka – że to powiernictwo w pewnych rejestrach działa głównie w jedną stronę. Elpida też wiedziała o Kaśce wszystko: o jej relacjach z rodziną, przebiegu jej małżeństwa, pracy, miłostkach, przygodach erotycznych, upodobaniach artystycznych, poglądach politycznych... Ale w zakresie relacji męsko-damskich ta wiedza kończyła się na okresie, w którym w życiu Kaśki wkroczyli państwo Gołąbkowie z Grzybowa. Tym, co potem działo się w duszy przyjaciółki, Elpida – na szczęście! – właściwie się nie interesowała. Kaśka kilka razy zbyła jej pytania jakimiś ogólnikami typu „Ech, teraz to ja jestem w okresie przejściowym” czy „Muszę się dopiero na nowo porozglądać po świecie” i Elpida dość chętnie zaakceptowała taki stan rzeczy, a Kaśka – z przyczyn oczywistych – nie robiła nic, żeby go zmienić.

„No więc to właśnie tak jest, babciu. I czy z tego coś wynika? No jasne, że wynika: cokolwiek zrobię, będzie źle. Cokolwiek zrobię, będę cierpieć. I coś stracę”. Paradoksalnie, ta konstatacja, że jej położenie i tak jest beznadziejne, uspokoiła ją. Zdjęła z niej brzemień jakiejś ogromnej odpowiedzialności za to, co robi. No bo skoro i tak będzie źle, to czy ma jakiegokolwiek znaczenie, co postanowi w sprawie kolacji albo kiecki?

Kaśka odstawiła zakupy i wzięła prysznic. „Na wszelki wypadek” –

chichotał jej do ucha dżin, emitując swoje złośliwości na razie wciąż jeszcze z wnętrza butelki. Zgodnie z dopiero co przyswojoną sobie doktryną „to i tak bez znaczenia”, zdecydowała się na strój możliwie uniwersalny – niebieskie dżinsy i czarny top z niewielkim dekoltem i długimi rękawami, ale za to dość obcisły – oraz delikatny makijaż. Potem włączyła laptop i zaczęła przeglądać Facebook. Ktoś z jej znajomych udostępnił link, który opatrzył pytaniem: „Będziecie mnie dalej przekonywać, że ludzkość nie wytlucze się z nudów?”. Zaciekawiona kliknęła w link i po chwili czytała, robiąc coraz szersze oczy: *Dwudziestopięciolatek z angielskiego Manchesteru zginął w niedzielę rano, skacząc z drugiego piętra hotelu do basenu na hiszpańskiej Ibizie. To już szósta ofiara śmiertelna tzw. balkoningu (ang. balconying), czyli „zabawy” polegającej na skakaniu bezpośrednio z balkonu pokoju do hotelowego basenu. Chodzi o to, żeby wybić się z krawędzi balkonu czy tarasu restauracji na tyle mocno, aby dało się dolecieć do położonego w dole basenu. W tym sezonie – pisze dziennik El Mundo – na Majorce, Ibizie oraz w innych kurortach najczęściej wybieranych przez młodych turystów odnotowano już kilkadziesiąt takich przypadków, z czego sześć zakończyło się śmiercią.*

...A potem przyszedł Jacek. O ósmej, tak jak się umówił. Nie miał bukietu kwiatów, nie był pod krawatem. Trzymał twórczość Irenki spakowaną w kopertę formatu A4, ale nie podał jej Kaśce przez szparę w drzwiach, tylko wszedł do salonu i położył kopertę na stoliku.

– Tu są właśnie te opowiadania mojej bratanicy – powiedział.

...A potem usiedli obok siebie na kanapie i zaczęli się całować.

Zaczęli chyba po to, żeby ze sobą nie rozmawiać. W prosty sposób ominęli wszystkie rafy niewygód, skrępowań i zawstydzeń. Od chwili, gdy Jacek pojawił się w drzwiach, Kaśka miała całkowitą pewność, że ani w polszczyźnie, ani w żadnym innym znanym jej języku nie ma choćby jednego słowa, które dałoby się w tej sytuacji wypowiedzieć bez zażenowania. I była pewna, że Jacek też tak czuje. Więc najprościej było... Ale już po chwili przestało być ważne, dlaczego zaczęli. Liczyło się tylko to, że się całują.

Musieli w tym całowaniu utopić wszelką refleksję na temat tego, co robią. I utopili. Kaśka opowiadała swojemu ukochanemu – ustami, wargami, językiem, ale bez słów – o długim czasie tłumionych tęsknot i marzeń, o rozterkach i gromadzącym się miesiącami pożądaniu. I przyjmowała w zamian jego opowieść, która niewiele się różniła od jej własnej.

Całowali się bardzo długo. W pewnej chwili poczuli, że pocałunek dogasa, że dla ich opowieści trzeba znaleźć inną formę, albo ją przerwać. Ale na tej ulicy obowiązywał ruch jednokierunkowy. Na początku dotykali się tylko ustami, potem Jacek wsunął dłonie pod opiętą bluzkę Kaśki i zaczął głaskać jej plecy. Jego dłonie były trochę chłodniejsze niż jej skóra i przez chwilę z zaciekawieniem smakowali to doznanie. Ona objęła go jednym ramieniem za szyję i przyciągnęła mocno do siebie, nie pozwalając, żeby ich usta się rozdzieliły. Poczwała, że rozpina jej stanik.

...A potem musiała unieść ręce i oderwać usta od ust Jacka, żeby dało się pozbyć czarnej bluzki i równie czarnego biustonosza.

– Poczekaj – powiedziała Kaśka szeptem, czując, że ma lekko napuchnięte i odrętwiałe wargi, i odchyliła się, żeby sięgnąć do wyłącznika lampy stojącej obok kanapy.

Po jej zgaszeniu pokój oświetlała tylko lampka na stole w przeciwległym kącie. Było tego światła akurat tyle, żeby Jacek mógł patrzeć z zachwytem na jej nagi biust, a ona nie musiała czuć skrępowania. Opadła plecami na oparcie kanapy, a Jacek pochylił się nad jej piersiami. Dalej snuli tę samą opowieść, choć teraz usta Jacka rozmawiały z nabrzmiętymi sutkami Kaśki.

Siedziała z zamkniętymi oczami. W naturalny sposób jej pamięć przywołała może trochę kiczowaty obraz morza i kolejnych przyplływających w naturalnym rytmie fal... Jak wtedy nad Bałtykiem, kiedy siadywali na plaży i w przytłumionym świetle kończącego się dnia chłonęli pulsowanie morza, popijając z plastikowych kubków przyniesione wino. Siedzieli tam we troje... Nie teraz, nie, nie teraz! Kiedyś, w innym świecie, w innym czasie, w innym życiu przyjdzie czas na myślenie o tej trzeciej. Ale nie teraz. Teraz byli we dwoje i liczyły się tylko te fale. Znow objęła Jacka za szyję i mocno przyciągnęła do siebie jego głowę.

...A potem trzeba się było pozbyć dzinsów i majtek, więc musiała – opierając się z tyłu na ramionach – unieść się na chwilę nad kanapą. Kiedy na niej znow usiadła, czuła na skórze szorstki dotyk wytłaczanego materiału. Oparła pięty na brzegu kanapy i pozwoliła, żeby Jacek rozchylił jej kolana, bo chciał między nimi ukłęknać.

Pocałunek trwał nadal, tylko teraz przeniósł się między jej uda. Opowieść nabierała tempa, fale stały się silniejsze, morze zalewało już nierozważnych plażowiczów. Kaśka zastanawiała się przez chwilę, czy jest tak samo słona jak morska woda... Muszę go potem spytać... Później przestała się nad

czymkolwiek zastanawiać i tylko czuła, że w morzu jest ciepło, cudownie i bezpiecznie. I znów mocno przyciskała do siebie głowę Jacka.

...A potem wylądowali na dywanie. I znów trzeba się było pozbywać koszuli, spodni, majtek, skarpet... Tym razem to ona pomagała Jackowi. Pochyliła się nad nim i wiedziała już, jak smakuje, bo poczuła to na jego wargach. Poznawała go dłońmi i ustami. Dowiadywała się o nim tego, czego od dawna chciała się dowiedzieć, sprawdzała to, co podejrzewała, czego się domyślała. Coraz niżej, coraz śmieiej... Kiedy już wypełniła nim swoje usta, przyszła pora na kolejny rozdział tej samej opowieści.

...A potem Jacek delikatnie wycofał się z jej ust i po chwili to on znalazł się nad nią. I w niej. Pocałunek trwał nadal, tylko teraz stykali się już całymimi ciałami, rozmawiali wszystkim naraz, przestali dbać w tej rozmowie o porządek i dobre maniery, tylko wykrzykiwali swoje kwestie całymimi sobą.

– Mogę zostać do końca? – usłyszała w pewnej chwili zadane szeptem pytanie.

– Tak. Dzisiaj możesz. Zostań – odpowiedziała cichym, zachrypniętym głosem.

Po chwili poczuła, że został do końca.

...A potem przez długie minuty leżeli przytuleni do siebie na dywanie, dopowiadając sobie jeszcze to, co w każdej dobrej opowieści poprzedza końcowe słowa „I żyli długo i szczęśliwie”. Aż Kaśce zrobiło się twardo i niewygodnie.

– To może pójdziemy do łóżka? – zaproponowała, po czym oboje zaczęli chichotać.

Przeszli do sypialni i wślizgnęli się pod kołdrę. Leżeli objęci, nadzy, bliscy...

Dalej nie potrafili powiedzieć sobie nic istotnego.

Zdania, które do siebie wypowiadali, nie wykraczały poza kwestie w rodzaju „Muszę siku”, „Przynieść ci wody?”, „To ja też pójde do łazienki”, „Chcesz poduszkę?”, „Który mogę wziąć ręcznik?”.

Ułożyli się jak łyżeczki. Jacek obejmował Kaśkę od tyłu, wtulał twarz w jej głowę i szyję, chłonąc kobiecy zapach. Trzymał dłoń na jej piersi, bawił się nią, głaskał, uciskał stwardniały ponownie sutek. Potem drugi... Po chwili poczuła, że Jacek znów chce się z nią kochać. Ona też była gotowa. Odrzuciła kołdrę, uklękła na łóżku i opadła na nie łokciami. Krótka chwila samotnego trwania na oczach Jacka w pozycji oddającej się kobiety dodatkowo ją

podnieciła. Jacek ukląkł za nią i już nie trwała samotnie, bo on w niej był. Jej ukochany. Jacek. Rozkosz przyszła szybko.

„Jest jeszcze woda?”. „Strasznie się spociłam”. „Ja też jestem cały mokry”. „Chyba pójdę do łazienki”. „Muszę umyć zęby”. Ale ani razu „Kocham cię”, „Ja ciebie też”, „Od samego początku”. Ani choćby „Jakaś ty piękna!”, „Och, jak cudownie!”, „Tak mi się podobasz!”. Wciąż łatwiej przychodziła im nagość, pieśczoć, wspólne dochodzenie do orgazmu niż słowa mówiące o ich emocjach.

Co najbardziej znamienne, nie padły też słowa najważniejsze: pytanie, które przez cały czas wisiało nad nimi, ale wciąż nie miało odwagi wydostać się na wolność. To, które odpychali od siebie najmocniej. To, którego wspomnienie wywoływało w Kaśce co chwila ataki paniki, straceńczo tłumione kolejnymi pocałunkami, pieśczoćami, desperackim wtulaniem się w Jacka. Najbardziej oczywiste w tej sytuacji pytanie: „No i co teraz będzie?”.

...A potem jak przez mgłę usłyszała kliknięcie zamka w drzwiach wejściowych, delikatnie zamykanych przez Jacka. Pamiętała niezbyt dokładnie, że coś jej tłumaczył, że musiał iść, że głaskał ją po głowie i całował na do widzenia, mówiąc, że zadzwoni...

W mroku nocy przełamującym poświatą ulicznych latarni wydało jej się, że dżin leży rozwalony na stojącym obok łóżka regale z książkami, przeciągając się z błogą miną, po czym przysiadła na ramie uchylonego lufcika i rozgląda się po okolicy. „Może spróbuję balkoningu?” – mówi z szelmowskim uśmiechem i puszcza do Kaśki oko.

...A potem znów zasnęła.

Rozdział 20.

„No i co teraz będzie?”.

Cieszyła się na ten wyjazd, ale kiedy już nadszedł, okazało się – jak to często bywa – że moment nie jest najbardziej odpowiedni na wyjeżdżanie. A zresztą... Na co w ogóle mógł być odpowiedni moment po tamtej nocy z Jackiem...? Tylko na kolejne takie spotkanie. A na to się jednak nie zanosilo.

Nie rozmawiali ze sobą – ani nazajutrz, ani następnego dnia. Jakby wciąż jeszcze wybrzmiewała cisza między nimi, cisza po ostatnich akordach tamtego szaleństwa. Ale pewnie przyczyna była jednak bardziej prozaiczna: żadne z nich nie wiedziało, co ma powiedzieć. I zrobić. Żadne nie odważyło się zadzwonić, zapytać... Jak się masz? Co robisz? Wróciła? Co będzie...? Przyjść? Przyjdiesz?

Pytania, które jednocześnie i nie mogły paść, i w końcu paść musiały. Nie potrafili się z nimi uporać. Kaśka czekała. Przecież to nie była przygoda po wieczorku zapoznawczym na wczasach. To była miłość jej życia. Musiał to wiedzieć. Widzieć, kiedy patrzyli wtedy na siebie w lustrze. Inaczej nie przyszedłby z tym opowiadaniem bratanicy, inaczej nie byłoby...

Minął cały dzień, minął drugi...

No a teraz był już czwarty dzień po tamtej nocy, ciepły, niemal gorący marcowy dzień w Barcelonie. Dwadzieścia cztery stopnie. Taki dzień w Warszawie spokojnie mógłby udawać lato. Kaśka siedziała w ogródku kawiarni na końcu Rambli, głównego barcelońskiego deptaka, blisko wysokiej kolumny ze statua patrzącego na morze Krzysztofa Kolumba. W wersji hiszpańskiej Cristóbal Colón – jak ze zdziwieniem przeczytała w jakimś prospekcie turystycznym.

Przyjechała do katalońskiego miasta dwa dni wcześniej, a tego przedpołudnia miała kilka godzin dla siebie. Rano odbyły razem z Montse wizytę w wydziale kultury autonomii katalońskiej, czyli lokalnego rządu – bo współpraca między Strychem a Mercat de les Flors nabrała charakteru oficjalnej wymiany kulturalnej. Wieczorem miały iść z Montse na pożegnalną kolację. Po długim spacerze i zwiedzaniu muzeum Picassa Kaśka usiadła, żeby odpocząć. Ten wyjazd pozwolił jej przytłumić myśli o Jacku, był jak tabletki

przeciwbólowa, która nie leczy, a tylko pozwala zapomnieć. Te myśli wciąż w niej siedziały, machały do niej i mówiły „Dobra, dobra, teraz się zabaw, to potem jeszcze bardziej zaboli”.

Miała ochotę na zimne piwo, zamówiła je i rozglądała się wokół. Zaraz po niej w ogródku zjawilo się duże męskie towarzystwo, mniej więcej jej rówieśników. Mówili w jakimś nieznanym jej języku, może po holendersku albo po duńsku? Większość miała blond włosy, paru miało brody, byli weseli i głośni. Złączyli kilka stolików i zasiedli w piętnastu, szesnastu. Po paru chwilach dwoje kelnerów zaczęło im donosić duże kufle z piwem. Kaśka z życzliwym uśmiechem patrzyła na grupę przystojnych, ociekających testosteronem facetów. „Jacyś kibice przyjechali na mecz?” – zastanawiała się. Obok tego towarzystwa przemknęła w górę Rambli grupa turystów z Azji. Rozglądali się zaciekawionym wzrokiem, większość miała na głowach jasne płócienne kapelusze i prawie każdy unosił nad głową patyk do selfie zwieńczony aparatem fotograficznym lub telefonem. Chińczycy? Japończycy? Na okładce karty, którą zostawił na stoliku kelner, Kaśka zauważyła informację o lokalnej sieci Wi-Fi. Pomyślała, że sprawdzi pocztę, skoro ma szansę zrobić to bez narażania teatru Strych na koszty roamingu w jej telefonie. Kiedy kelner podszedł po chwili z piwem, spytała go o klucz do lokalnej sieci. Otworzył kartę i pokazał jej wydrukowane na jednej ze stron hasło: since1858. Zalogowała się i zaczęła niespiesznie sprawdzać mejle.

Popatrywała na ludzi wokół. Grupa mężczyzn przy złączonych stolikach zachowywała się hałaśliwie, ale nieagresywnie. Opodal trzech czy czterech rykszarzy czekało na amatorów przejażdżki. Gawędzili z nimi policjanci z przechodzącego akurat patrolu. Wyglądało to na dobrotliwą połajankę czy przypomnienie jakichś reguł. Może w tym miejscu nie wolno było rykszarzom stać, może jeszcze nie nadszedł sezon na ich usługi? Z sąsiedniego budynku wyszła na ulicę zabawna grupka pięciu czy sześciu młodych, czarnoskórych dziewczyn. Ładne i zgrabne, poubierane w dość seksowne, opięte sukienki, miały na głowach jakieś dziwne wielkie uszy, ni to z Disneya, ni to z Playboya. Hostessy po odprawie w firmie? Aktorki po próbie dziecięcego przedstawienia? Wyszły, chichocząc na zalaną słońcem Ramblę i kręcąc lekko biodrami – wyraźnie świadome efektu, jaki wywierają na przechodniach – poszły w kierunku Kolumba. Kaśka zastanawiała się przez chwilę, jak na tę miłą dla oka grupę zareagują rozbrykani kibice, ale ci byli na tyle zajęci swoim pohukiwaniem i męskimi żartami, że nawet niespecjalnie zwrócili

uwagę na przechodzące obok ślicznotki.

W mejlach nie było nic ciekawego. Żadnej wiadomości od Jacka. Zresztą prawie nigdy przecież nie porozumiewali się tą drogą. Przeczytała pobieżnie parę mało istotnych wiadomości zawierających jakieś niepotrzebne oferty. Iwonka zawiadamiała, że umówiła ją na przyszły tydzień na spotkanie z redaktorem naczelnym pewnego miesięcznika, o którego patronat nad jednym z przedstawień zabiegała Kaśka.

Poczuła w głowie przyjemne działanie pierwszych łyków zimnego piwa. Przy stoliku obok sadowiła się starsza para: amerykański turysta robił wśród krzeseł miejsce dla żony na wózku inwalidzkim. Z czułością pytał ją, czy woli siedzieć twarzą, czy plecami do słońca. Marcowego słońca, które było jeszcze na tyle nieszkodliwe, że wszyscy chętnie wystawiali do niego twarze. Amerykanka też. Kelnerzy roznosili międzynarodowemu towarzystwu przemysłowe ilości piwa, sangrii i lunchowych dań.

Mały skrawek miejsca oddzielającego rykszarzy od hałaśliwej męskiej grupy wykroił sobie w pewnej chwili żongler w pomarańczowej, odblaskowej kamizelce, który rozłożył pomarańczowy kocyk i zaczął pokaz żonglowania pomarańczowymi plastikowymi kręglami. Kocyk był mu potrzebny przy niektórych numerach wykonywanych w parterze. Potem żongler poszedł, zebrawszy od widowni oklaski i trochę drobnych, a jego miejsce po krótkiej przerwie zajął trzyosobowy zespół czarnych bębniarzy. Rozstawili bębny i zaczęli wprowadzać ogródkowych klientów w rytmiczny trans. Kolejne łyki piwa sprawiły, że Kaśka przymknęła oczy i pozwoliła bębniarzom lekko się kołysać. Rambla, Barcelona, Krzysztof Kolumb, turyści, słońce... Jak wróci, musi porozmawiać z Jackiem... Tego nie można tak zostawić w zawieszeniu. Są przecież dorosłymi ludźmi. Muszą to jakoś... Teraz się wszystko zmieniło.

W obu kierunkach po Rambli przelewał się gęstawy tłum ludzi różnych ras, narodowości, kolorów. Nie było tak tłoczno jak latem (kiedyś, jeszcze w małżeńskich czasach byli tu z Marcinem w sierpniu), ale Rambla nigdy nie pustoszała. Kaśka zrobiła kilka zdjęć telefonem. Obok ogródka przejechał rowerzysta na wynajętym miejskim rowerze. Jechał wolno, rozglądając się na wszystkie strony, najmniej przed siebie. W pewnej chwili o mało nie wjechał na korpulentną kobietę w stroju pracownicy banku. Zdążył zahamować w ostatniej chwili, stanął i z zabawną kurtuazją uklonił się przepraszająco niedoszłej ofierze. Ale ta już zdążyła się odąć w oburzeniu i teraz nie wypadało jej się po prostu roześmiać. Trwali tak przez mgnienie oka

zamrożeni w swoich pozycjach i emocjach, aż wreszcie jak na komendę ruszyli: rowerzysta w swoją stronę, kobieta w swoją.

I wtedy zadzwiała komórka Kaśki. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwoniła Elpida.

– Wiesz, jestem akurat w Barcelonie. Pamiętasz, mówiłam ci. Może porozmawiamy, jak wrócę... Już jutro lecę do Warszawy. Będzie taniej.

– Kochana, nie mogę czekać jutro. Muszę ci powiedzieć szybko. To najważniejsza wiadomość w życiu. – Dla większego efektu Elpida zrobiła w tym momencie pauzę, której dramatyzmu nie powstydziliby się najlepsi rutyniarze występujący na deskach Strychu. – Jestem w ciąży!

„To chyba o tym mówią, że ktoś dostał silne uderzenie w brzuch i nie może złapać tchu” – przemknęło Kaśce przez myśl.

– W ciąży... Z Jackiem?

– No a z kim, z duszą świętą? – Elpida wciąż robiła zabawne błędy.

– Ja... jak to?

– No nie wiesz, jak to się robi, Kaszka?

Kaśka zebrała siły.

– Elpida, gratulacje. Bardzo się cieszę. To pewnie wielkie szczęście dla ciebie... dla was.

– Tak, wielkie. Ja się bardzo cieszę i Jacek też. Próbowaliśmy długo.

– A... a kiedy?

– Sam początek. Coś tak czułam i rano kupiłam test. Dowiedziałam się godzinę temu. I zrobiłam jeszcze jeden test. Teraz dzwonię. Wie tylko Jacek i ty.

– Jacek i ja... Elpida, naprawdę cieszę się. Wyobrażam sobie, jaka jesteś szczęśliwa. Jak przyjadę, to cię uściskam... Pogratuluj Jackowi. – Wiedziała, że musi to powiedzieć, więc powiedziała.

– Jak tylko wrócisz, musimy się spotkać. Ja nie piję już, ale wy się musicie napić za mnie i za dzidzi.

„Co ci bokserzy robią po takim ciosie w brzuch?” – zastanawiała się Kaśka, kiedy już się rozłączyły wśród radosnych wykrzykników i zapewnień o ogólnym szczęściu. „Pewnie się podnoszą i próbują dalej...”.

Ale nie była pewna, czy zdoła zapłacić rachunek za piwo, a potem odnaleźć stację metra.

Czuła, że myśli znów do niej machają. „Uprzedzałyśmy, siostró, że będzie bolało...”.

Rozdział 21.

Cieszyła się, że nikt po nią nie wyjdzie na lotnisko. Proponował jej to w esemesie Wojtek, ale odmówiła dość gwałtownie. Ciemne okulary (niespodziewany wydatek w Barcelonie: nie zabrała z Warszawy swoich, a na miejscu okazały się artykułem bardziej potrzebnym niż majtki na zmianę) mogły z grubsza zamaskować opuchliznę na twarzy przed przechodniami na ulicy, ale już nie przed wszystkimi pasażerami autobusu linii sto siedemdziesiąt pięć, którym jechała do siebie z lotniska. Zauważyła kilka zaciekawionych i współczujących spojrzeń. Pochowała kogoś? Mąż ją pobił? Pokłóciła się z narzeczoną? A jej przecież nie przytrafiło się nic z tych rzeczy. Nie, absolutnie. Nie pochowała, nie pobił, nie pokłóciła się... Jej tylko zawalił się świat. I dlatego płakała.

Okulary kupiła jeszcze na straganie na Rambli, po tym jak zapłaciła za nie do końca dopite piwo. Od razu wiedziała, że będą jej potrzebne. Wybrała takie, które zakrywały jak największą część twarzy, wsiadła w metro i dojechała – nie bardzo pamiętała jak – do swojego hotelu. Zamknęła się w pokoju i przez kilka godzin płakała. Potem się umyła, przebrała, wyszła z hotelu i przeszła niecałe sto metrów dzielące ją od baru o nazwie Sagàs, gdzie kupiła dużą kanapkę z szynką, a w małym sklepiku obok butelkę wina. Wróciła z zakupami do hotelu, zamknęła się w pokoju i – mało oryginalnie – płakała dalej. Wieczorem była umówiona na kolację z Montse – menedżerką Mercat de les Flors – i jej życiowym partnerem, Oscarem. Mieli ją zabrać do restauracji z typową kuchnią katalońską. Choć Kaśka bardzo polubiła Montse i świetnie się z nią dogadywała, nie była w stanie sobie wyobrazić, że mogłaby spędzić wieczór na towarzysko-zawodowej rozmowie i patrzeniu na parę zakochanych w sobie ludzi. Zadzwoiła więc do Katalonki i przeprosiła, że fatalnie się czuje i okropnie boli ją brzuch. Musiała być bardzo przekonująca, bo Montse o nic nie pytała i szybko zaproponowała, że wszelkie kwestie współpracy omówią korespondencyjnie, a w maju pewnie się spotkają w szerszym gronie w Warszawie, bo ekipa z Mercat de les Flors wybiera się sfinalizować rozmowy i podpisać umowę o współpracy. Kaśka mogła więc spokojnie dokończyć wino. Gorzej było z płaczem, który

najwyraźniej nie dawał się dokończyć.

Nie mogła uwierzyć, że to się wszystko tak potoczyło. Kiedy Jacek wtedy do niej przyszedł, nie rozmawiali o Elpidzie, o ich związku, planach, przyszłości. Była w nim zakochana po uszy i oto miała go przed sobą, na swojej kanapie, w półmroku starej lampy babci Honorki. To jej wystarczyło. Ale przecież nie spadł tam z nieba. Przecież wcześniej porozumiewali się tymi wszystkimi spojrzeniami, uśmiechami, westchnieniami. Nie chodziło tylko o tamten podwójny portret w lustrze czy o jego wzrok, którym objął je obie stojące w kuchni. Takich sytuacji było więcej. Przypominała je sobie teraz po kolei, kiedy on widział... musiał widzieć. I dawał jej znać, że... Że co? Co ona właściwie w tym zobaczyła, co wyczytała? Wiedziała, że nie powinna w to brnąć, Lala kładła jej to do głowy dzień po dniu, ale jednak z tych wszystkich iluzji – a właściwie skrawków, ścinków, okruchów iluzji – wybudowała sobie w głowie jakiś wielki zamek z piasku z księciem Jackiem i księżniczką Katarzyną jako głównymi lokatorami.

Nie chciała uwierzyć, że okazała się tak naiwna. „Próbowaliśmy długo”. Znudził się przy tych próbach, więc postanowił się rozerwać. A ona, jak ostatnia idiotka... Najgorsze było nie to, że dla jednej nocy – to prawda, że niezwyklej, czarodziejskiej, takiej, jakiej nigdy wcześniej nie przeżyła – zniszczyła swoją przyjaźń z Elpidą, ale że wyobraziła sobie Bóg wie co, jakieś ułudy, jakieś rojenia, jak pensjonarka... Że Jacek jednak zrozumiał, gdzie go naprawdę serce prowadzi? Że się pomylił, bo naprawdę to ją kocha, nie Elpidę? Boże, przecież Lala się udusi ze śmiechu! Albo zatchnie z wściekłości. I biedna Elpida. Kaśka już wcześniej zastanawiała się, jak jej powiedzieć, jak to rozwiązać. Ubrdała sobie, że są w tym razem z Jackiem, że podzielą się na pół, razem wezmą na siebie odpowiedzialność. Że coś razem postanowią. O Boże, co za idiotka! Pan inżynier przez cztery dni nie zająknął się w tej sprawie ani do jednej, ani do drugiej. Wierci dalej...

Kiedy wino się już skończyło, Kaśka częściowo tylko rozebrana zwała się do łóżka i przespała nerwowo całą noc, z paroma przerwami na sikanie i płacz. Rano wstała i przez trzy kwadranse doprowadzała się w łazience do stanu, w którym odważyła się wyjść z pokoju. Z walizką, w której upchnęła pozbierane rzeczy. Szczałków swojego życia nie pozbierała; miała poczucie, że zostawia je na zawsze w pokoju nr 316 hotelu Retiro, gdzie będą straszyć kolejne pokolenia azjatyckich turystów w płóciennych kapelutkach.

A potem były ciemne okulary, zaniepokojone spojrzenie recepcjonistki

(„*Todo bien, señora?*”), metro, przesiadka, znowu metro, lotnisko, samolot, Modlin, autobus, tramwaj, krótka przechadzka, domofon, winda, klucze od mieszkania i plecy oparte o drzwi po ich zatrzaśnięciu.

Wtedy zdjęła ciemne okulary. Wróciła. Wszystko było na miejscu. Tylko świata nie było.

Rozdział 22.

Kopciuszek czy kopeć? I podtytuł: *Czy to naprawdę najlepsze, co można robić z pieniędzmi podatników?* Już to obiecywało emocje przy lekturze całości. Szczególnie pracownicy Strychu mieli zagwarantowaną przednią zabawę.

Pierwsza pokazała jej ten tekst Iwonka, która zagłębiona była w lekturze, kiedy nazajutrz po powrocie z Barcelony Kaśka weszła rano do swojego pokoju. Miała zwyczaj, że z podróży służbowych zawsze przywoziła sekretarce jakiś drobiazg. Tym razem ze względu na wiadome okoliczności przypomniawszy sobie o tym dopiero na barcelońskim lotnisku. W jednym ze sklepów była akurat przecena na perfumy Dahlia Divin od Givenchy, które Iwonka lubiła, więc Kaśka kupiła mały flakonik i teraz postawiła go w ozdobnej papierowej torebeczce na biurku współpracownicy. Uściskały się na przywitanie. Kaśka sporo się rano napracowała, żeby ukryć pozostałe jeszcze na twarzy ślady niedawnej aktywności gruczołów łzowych, ale i tak bała się uważnych spojrzeń bystrej Iwonki. Ta jednak ledwie rzuciła na nią okiem, podziękowała miło za perfumy i wróciła do tego, co miała otwarte na ekranie komputera.

– Widziałas to? – zapytała, przewijając tekst tak, żeby widoczny był jego początek. – Pewnie nie.

Kaśka stała przez chwilę przy biurku sekretarki pochylona nad ekranem jej komputera i przebiegła oczami pierwsze linijki tekstu podpisanego przez Pawła Szumalę.

– Idę to odpalić u siebie – powiedziała. – Błagam o kawę.

– Już ci robię.

Kilka minut później Kaśka siedziała przy swoim biurku z kubkiem kawy i czytała na portalu Kulturalni Polacy recenzję z ich najnowszego przedstawienia. Strych nigdy nie należał do ulubieńców Kulturalnych.

Strych to miejsce kojarzące się z rupieciami. Na strych wynosi się niepotrzebne meble, stare ubrania, dziurawe buty, rower bez jednego koła, kalosze, z których wszyscy już powyrastali, i stare listy – pamiątki po dawno wygasłych namiętnościach. Różności, co to „jeszcze się mogą do czegoś

przydać”, chociaż, jak uczy doświadczenie pokoleń, na ogół już się nigdy do niczego nie przydają. Przy kolejnych gruntownych porządkach po prostu wyrzuca się je na śmietnik. Cztery lata temu na warszawskiej Woli powstał teatr, który swoją nazwą nawiązuje do tej metafory rupieciarni. Czy tylko nazwą?

„Ostro będzie” – przemknęło Kaśce przez myśl.

Od samego początku z recenzenckiego obowiązku obserwuję uważnie poczynania teatru Strych i jego dyrektora artystycznego, Stanisława Rachwalskiego, wraz z zespołem. Przez cztery lata zdołali zagrabić lokal – wynajęty im zresztą przez poprzednie władze Ratusza na dość dziwnych, jak to się mówi, „preferencyjnych” zasadach – sporym zbiorem rupieci. O tych zasadach też zresztą warto by pomówić, ale na razie porozmawiamy o sztuce.

Kiedy była w połowie tekstu, zrozumiała, że sprawa jest poważna. Odruchowo sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Wojtka. Chciała się razem z nim zastanowić, co ta recenzja może dla nich oznaczać i co powinni w tej sytuacji zrobić. Jej zastępca – zawsze obowiązkowy i niezawodny – nie odbierał telefonu. Ani komórki, ani stacjonarnego, który miał na biurku w swoim pokoju w Strychu.

„Cholera, akurat dzisiaj się musiał zawieruszyć!” – pomyślała ze złością. Otworzyła drzwi do pokoju sekretarki.

– Iwonko, co się dzieje z Wojtkiem? Nie odbiera telefonów – powiedziała nieco podniesionym tonem.

– Pewnie zapomniałaś... Wziął dwa dni wolnego, wczoraj i dziś. Jego mama miała wczoraj operację. Pojechał do Ostrołęki wesprzeć ojca. Jutro będzie.

– Ach, no tak...

Wróciła do swojego biurka, zrezygnowana opadła na fotel i zamierzała wrócić do przerwanej lektury. Przeszkodził jej w tym sygnał przychodzącego esemesa.

„Jacek? Elpida?” – przemknęło jej przez myśl. Od wczorajszego powrotu nie miała kontaktu z żadnym z nich i ze strachem myślała o czekających ją rozmowach. Ale esemes był od Wojtka. „Jestem w szpitalu u mamy, nie mogę gadać. Zadzwonię. Pod wieczór wracam, W.”.

Z poczuciem winy pomyślała o swoich nieprzyjaznych emocjach sprzed paru minut.

„Dzięki, nic pilnego. Odezwiąj się, jak będziesz mógł. Trzymaj się, serdeczności dla rodziców”.

Westchnęła ciężko i zaczęła znowu czytać. Choć tekst Szumali był paskudny i potencjalnie groźny, w sumie Kaśka była chyba zadowolona, że zmusza ją do odłożenia na później innych problemów niemożliwych do rozwiązania i decyzji niemożliwych do podjęcia. Nie miała wyboru: musiała się teraz tym zająć, musiała się na tym skupić, choć nie przychodziło jej to łatwo. Chciała też jak najszybciej porozmawiać ze Staszkiem Rachwalskim. I za to poczucie konieczności była Szumali wdzięczna. Za inne rzeczy już mniej.

...Długo można by tak wyliczać kolejne artystyczne i ideowe klęski Strychu pod wodzą Rachwalskiego. Na końcu (czy na pewno na końcu?) tej wyliczanki dojdziemy do wyczynu najnowszego – spektaklu „La Cenerentola” Olivera Dabescha wyreżyserowanego przez niemieckiego reżysera Unera Kernes. Niech nikogo nie zwiedzie dziwnie brzmiący tytuł: La Cenerentola to po prostu Kopciuszek, tyle że po włosku, żeby było bardziej oryginalnie. A z kolei Niemiec Kernes to naprawdę Turek, tyle że z niemieckim paszportem.

Pomyłek, nieporozumień i iluzji jest w tym spektaklu zresztą więcej. Mamy wszakże do czynienia z teatrem awangardowym, którego anteny nastawione są na aktualne potrzeby i tęsknoty warszawki, a nie na tradycję i jakże niemodne wartości narodowe i chrześcijańskie. Naprawdę zadziwiające, na jakie manowce można zabrnąć, „reinterpretując” w duchu hipsterskiego salonu niewinną bajkę, którą pokolenia dzieci czytały i rozumiały – jak się okazuje – w duchu zakłamania i hipokryzji. Walką z tym duchem należy chyba wyjaśniać wprowadzenie do opowieści wątków lesbijskich mających wyjaśnić relacje między Kopciuszkiem a przybranymi siostrami; to ta walka zapewne skłoniła twórców spektaklu do rozważań na temat polityki międzynarodowej prowadzonej przez króla – ojca księcia, który zresztą zgodnie z duchem politycznej poprawności jest w „Cenerentoli” adoptowanym dzieckiem monarszej pary; wreszcie walka o „reinterpretację” legła chyba u podstaw czegoś tak absurdalnego, jak uczynienie z dobrej wróżki imigrantki z Wietnamu...

Musiała przerwać. Nagromadzenie idiotyzmów i złej woli w tekście Szumali byłoby może śmieszne, gdyby Kaśka nie zdawała sobie sprawy, jakie następstwa dla teatru może mieć recenzja, która tak cynicznie manipuluje, wyrzywa z kontekstu i wykoślawia elementy spektaklu. Wiedziała też, że to coś

więcej niż zła recenzja, że za Szumalą pójdą inni, niezależnie od tego, czy spektakl obejrzeliby i czy cokolwiek z niego zrozumieli.

– Iwonko, sprawdź, czy mogę się teraz spotkać ze Staszkiem. Potrzebuję jeszcze z dziesięć minut, żeby to dokończyć.

Iwona ze smętną miną pokiwała głową i sięgnęła do telefonu.

Streściwszy w skrajnie nieuczciwy sposób spektakl w reżyserii Kernesa, Szumala pisał dalej:

Strych jest teatrem prywatnym. Mamy w końcu w Polsce wolność twórczości artystycznej i można by oczywiście machnąć ręką na głupoty wyczyniane przez lokalne gwiazdy szukające sposobów na podgrzanie stygnącej popularności i wspomagające się w tym dziele zagranicznymi dziwadłami. Można by, ale... Ale Strych korzysta po pierwsze z dotacji rządowych i samorządowych, warszawskich, a po drugie sponsorami wielu przedstawień są tam spółki miejskie (np. bardzo dziwną inscenizację „Tramwaju zwanego pożądaniem” Tennessee Williamsa sponsorował między innymi... Zarząd Transportu Miejskiego). A więc przynajmniej częściowo ta błazenada, której celem jest szydzenie z tradycyjnych wartości zakorzenionych w kulturze naszego społeczeństwa, odbywa się za społeczne – publiczne – nasze – pieniądze. A więc my wszyscy nie tylko mamy prawo, ale wręcz musimy mówić to, co mamy do powiedzenia w sprawie działalności Strychu.

W drzwiach pokoju Kaśki ukazała się ruda głowa Iwonki.

– Staszek też już to czytał. Umówiłam cię na dziesiątą.

– Dzięki.

Kilka chwil później Kaśka była już przy ostatnim akapicie tekstu Szumali.

Może pora już to wszystko podsumować w jednym, prostym i krótkim haśle: Strych na strych! Tam jego miejsce – między nikomu już niepotrzebnymi rupieciami.

Skończywszy lekturę, Kaśka wyszła do pokoju swojej sekretarki i przysiadła na brzegu jej biurka. Iwona, lekko zaczerwieniona ze wzburzenia, wpatrywała się wciąż w Kulturalnych Polaków.

– Komentarzy nie miałam odwagi czytać – powiedziała Kaśka.

– Lepiej dla ciebie. Straszne szambo. Może wysłać link Wojtkowi, żeby przeczytał?

– Daj mu spokój, musi się teraz skupić na rodzicach. Jeszcze zdąży się tym nacieszyć.

– Kasiu, myślisz, że to początek jakiejś nagonki? Że będziemy mieli pikiety pod teatrem? Modły, palenie kukieł, wyzywanie widzów?

– Cholera wie...

W gabinecie Rachwańskiego siedziało kilka osób – jego zastępca do spraw dramaturgicznych, dwoje czy troje aktorów, kierownik muzyczny, szef od techniki. Kiedy Kaśka weszła, wszyscy smętnie skinęli jej głowami na powitanie. Siedzący za swoim biurkiem Staszek wskazał jej wolne krzesło przy stole konferencyjnym.

– Dobrze, że jesteś, Kasiu, czekamy na kogoś, kto nam powie, że nic się nie stało i nie mamy się czym przejmować.

– No to poczekam z wami.

Kaśka wiedziała, że taki tekst, jaki opublikował Szumala w Kulturalnych Polakach – gdyby tylko na nim się skończyło – potrafi zniweczyć miesiące pracy całego zespołu przy poszukiwaniu dotacji, subwencji, reklam, sponsorów. Znow będą potrzebne wyjaśnienia, tłumaczenia, oświadczenia... Łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

– Więc co o tym myślisz? – spytał ją Staszek.

– Wszystko zależy, czy na tym tekście się skończy, czy to sygnał do większej rozróby. Z jedną recenzją damy sobie radę, nawet taką. Ale jakby to się miało rozszerzać...

Przerwała, bo nie bardzo miała ochotę mówić o zagrożeniach w tak licznym gronie. Wiedziała, że w rozplotkowanym teatralnym światku każde słowo, które by teraz wypowiedziała, zacznie żyć własnym życiem, urośnie, wzmocni się i pofrunie daleko, gdzieś w takie rejony, gdzie mogłoby im wszystkim szkodzić.

Staszek wyczuł jej skrępowanie i po kilku chwilach wspólnej rozmowy przeprosił pozostałych pracowników teatru, tłumacząc, że umawiali się z Kaśką na robocze spotkanie. Kiedy zostali w jego gabinecie sami, Kaśka zaczęła opowiadać o swoich prawdziwych obawach.

– Boję się o sponsorów. Jeśli złączą się wycofywać, to może być niedobrze. Oni też są od kogoś zależni, więc nie chcą sobie zszargać opinii.

– Taki jeden tekst może już wszystko wywrócić?

– Wiesz, to się zwykle nie kończy na jednym tekście. Takie mendy zwykle działają na czyjeś polecenie... No a poza sponsorami są jeszcze dotacje. Z ministerstwa, z miasta... Wszystko zależy, ilu naszych przyjaciół się uaktywni i zacznie nam szkodzić.

Rozmawiali prawie godzinę. Kaśka głośno zastanawiała się nad krokami, które razem z Wojtkiem będą musieli podjąć, z kim się spotkać, jakich sojuszników uaktywnić. Spore, wręcz kluczowe znaczenie miał też coroczny konkurs o Dobrą Scenę – najbardziej prestiżową nagrodę teatralną w kraju. Strych był w tym konkursie już kilka razy nagradzany i wyróżniany. W tym roku w kategorii „Przedstawienie roku” zgłosili do głównej nagrody właśnie *Cenerentolę*... Rozstrzygnięcie tegorocznej edycji konkursu miało nastąpić za niecałe dwa miesiące.

– Gdybyśmy tam nieźle wypadli – mówiła Kaśka – to bardzo by nam to pomogło.

– Hm, a słyszałaś najnowszą wiadomość? Nie zdążyłem ci jeszcze powiedzieć. Wiesz, że Goliński przestał szefować jury? – zaskoczył ją Staszek.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Chory jest, musi iść na jakąś operację, potem się długo rehabilitować. Rozmawiałem z jego żoną, była bardzo przejęta. Ale on rzeczywiście nie mógł się już tym zajmować.

Rafał Goliński, reżyser i krytyk, kiedyś także aktor, teraz już na emeryturze, był w sprawach teatru powszechnie szanowanym autorytetem. Cenił Staszka Rachwalskiego i przedstawienia Strychu.

– To kto jest zamiast niego? – spytała Kaśka z napięciem w głosie.

– Ucieszysz się... Musiał go zastąpić ktoś z członków jury. No i wybrali twoją ulubienicę... Redaktor Kostrzewską.

– O Boże... Każdy, tylko nie ona.

– Wolałabyś Szumalę? – spytał Staszek.

– Nie żartuj. Tego gnoja nikt by nie przyjął do poważnego grona. Ale... – Kaśka zamyśliła się i na chwilę zamilkła. – A myślisz, że może być jakiś związek między ustąpieniem Golińskiego a tym artykułem?

Tym razem zamyślił się jej rozmówca.

– Cholera wie. Nie przyszło mi to do głowy, ale... Może ktoś uznał, że jak przewrót, to przewrót. Wymiana elit...

Kiedy skończyli rozmawiać, Rachwalski podszedł do Kaśki, żeby ją uściskać na pożegnanie.

– Kasiu, a w ogóle to nie najlepiej wyglądasz. Tak się tym przejęłaś? – spytał, obejmując ją serdecznie.

– No, tak... Ale mam też trochę innych kłopotów. Osobistych.

- Chcesz pogadać?
- Może kiedyś... Ale na dziś chyba mamy dość rozmów o kłopotach.
- Jak będziesz chciała, przychodź w każdej chwili.

Uśmiechnęła się i pomachała mu, po czym wyszła z dyrektorskiego gabinetu.

Kiedy wróciła do siebie, poprosiła Iwonę, żeby jej opowiedziała, co działo się w ciągu ostatnich paru dni, kiedy Kaśki nie było w pracy. Sekretarka jak zwykle profesjonalnie streściła jej najważniejsze sprawy. Trzeba było odpisać na kilka mejli, pilnie zadzwonić w parę miejsc... Z każdą sprawą wykreślaną ze spisanej w towarzystwie Iwonki listy warstwa ochronna, oddzielająca Kaśkę od odsuwanych przez cały dzień dylematów stawała się coraz cieńsza. Wiedziała, że kiedy już wykreśli ostatni punkt na liście... będzie musiała skupić się na Jacku i Elpidzie. To, że jeszcze nie zadzwoniła do Elpidy, i tak już było rażącym wykroczeniem przeciwko regułom przyjaźni. Boże, jakim regułom...? Przecież kilka dni temu spała z jej ukochanym, ojcem jej dziecka! Co ma jej powiedzieć? Trzeba by zacząć od Jacka, coś wspólnie ustalić, co mają robić... Jacek... Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Schował się przed nią, zostawił ją samą z tym problemem, przestraszył się, uciekł... Czuła się skrzywdzona, oszukana, porzucona. Nie chciała – po raz pierwszy od kilku miesięcy – nie chciała z nim rozmawiać.

Zawsze była zwolenniczką szczerości w relacjach z innymi, ale tym razem instynktownie uważała, że Elpidzie nie należy nic mówić. Niech się cieszy ciążą, niech się cieszy miłością, ukochanym Jackiem, niech sobie wiją gniazdko. To ona, Kaśka, jest w tej całej sprawie najgorszą idiotką, więc powinna zapłacić za swoją głupotę. Powinni postanowić z Jackiem, że zapominają o całej sprawie, że nic się nie wydarzyło, a w każdym razie tak będą udawać. Przed sobą wzajemnie i Elpidą. Jasny gwint, jak mają teraz wyglądać ich spotkania? Czy Kaśka da radę spotkać się nimi dwojgiem i grać rolę przyjaciółki? Przecież muszą to z Jackiem uzgodnić. Koniecznie trzeba z nim porozmawiać! Dlaczego on się nie odzywa? Strach go obleciał?

Spojrzała na swoją listę spraw do załatwienia. Jeszcze jeden telefon i dwa mejle. Na końcu listy dopisała literę J. Już niedługo dojdzie do tego punktu.

Tylko jeszcze trzeba coś zjeść, bo już minęła pora lunchu. Poprosiła Iwonę o herbatę i wyciągnęła z torby kanapkę, którą rano zrobiła, oraz jabłko. Zawsze to jeszcze z piętnaście minut dłużej...

Z tych rozważań wyrwał ją dźwięk telefonu.

– Cześć, Kasiu. Domyślam się, w jakiej sprawie rano dzwoniłaś. Rozmawiałem z Iwonką, podała mi link do tego...

– No masz, mówiłam jej, żeby ci głowy nie zawracała w tej sytuacji.

– Dobrze zrobiła. Chyba mamy kłopot. Albo za chwilę będziemy mieli. Musimy pogadać. Może jeszcze dzisiaj? – Wojtek miał wyraźnie strapiiony głos.

– Ale gdzie ty jesteś?

– Jeszcze u rodziców, ale pod wieczór będę wracał.

– Jak mama?

– W porządku, dochodzi do siebie. Bardziej się boję o ojca. Strasznie się posypał przez tę mamy chorobę. Przyjeżdża dzisiaj moja siostra z Poznania, zostanie z nimi parę dni. Muszę ją odebrać z dworca i zawieźć do domu, potem będę wracał do Warszawy.

– Nawet nie wiedziałam, że masz siostrę. I co, mógłbyś rzeczywiście dzisiaj? Nie ukrywam, że...

– No pewnie, Kasiu. Będę w Warszawie około ósmej. Spokojnie możemy się spotkać i pogadać.

– Chyba bym chciała... – powiedziała i po raz kolejny uświadomiła sobie, że nie ma nikogo, przed kim mogłaby się wyzalić. Elpida? Jacek? Lala by ją rozszarpała na strzępy. Przed Wojtkiem też się nie wyzali, ale przynajmniej będzie wiedziała, że ma do czynienia z życzliwą duszą. – Tak, jeśli możesz...

– Byłaś już na tych nowych Koszykach? To tuż obok ciebie. Może się tam spotkajmy, zjemy coś, pogadamy.

– Dobrze, może być na Koszykach. Chociaż wiesz... Skoro już tu masz być w pobliżu, to może po prostu wpadnij do mnie. Nie mam dziś ochoty na lansik. Zrobię jakąś kolację, pewnie będziesz głodny. Wyjdzie taniej. I nie musimy się umawiać dokładnie na godzinę. Od ósmej będę czekała.

– Świetnie. Wiesz, że ja do ciebie zawsze... – Przez chwilę Kaśka podejrzewała, że Wojtek obmyśla jakiś żarcik typu „ten, tego”, ale szczęśliwie zrezygnował. – Postaram się przyjść zaraz po ósmej. U ciebie jest mieszkania jedenaście, tak?

– Tak, trzecie piętro. Dobrą masz pamięć.

Wojtek był u niej raz – kiedy Kaśka tuż przed wakacjami urządziła przyjęcie dla znajomych w związku z przeniesieniem się na Noakowskiego do mieszkania po babci Honoracie. Czekala z tym kilka miesięcy, bo miała wrażenie, że to trochę tak, jakby chciała świętować śmierć ukochanej babci.

I za żadne skarby nie chciała tego nazywać parapetówką: to nie było przecież żadne nowe mieszkanie, nie chciała się odcinać od jego przeszłości, od długiej historii tego miejsca, od wszystkich związanych z nim emocji. Urządzając dom po swojemu, starała się jednocześnie zachować ciągłość babcinej tradycji i nadać mu własny szlif. Chciała, żeby było to mieszkanie jej i babci. Wymieniła część mebli i pochowała lub porzuciła większość drobiazgów i bibelotów. Niektóre rzeczy Honorki jednak zostawiła. To połączenie w jednym miejscu śladów po babci i wnuczce robiło zadziwiająco ciepłe i przytulne wrażenie. Kiedy Kaśka uznała, że już wymościła w mieszkaniu nisze i dla siebie, i dla babcinego ducha, zdecydowała się zareagować na nagabywania znajomych i upublicznić efekty swojej działalności. Przyszli wtedy do niej znajomi z teatru – Wojtek właśnie, Iwonka, Staszek Rachwański i parę innych osób – a także kilkoro przyjaciół z innych życiowych ścieżek. Kaśka po raz pierwszy od rozvodu wystąpiła w odmienionej roli: nowe życie, odzyskana wolność, mieszkanie w centrum Warszawy, kobieta energiczna, asertywna i samodzielna...

„Dobre sobie!”. Pomyślała znów o tym, co przed kilkoma dniami działo się w tym mieszkaniu, a gruczoły łzowe od razu same wzięły się do roboty. „Muszę przestać. Muszę zaraz przestać”.

No a teraz w tej samej scenerii miał się pojawić Wojtek... Co prawda powód tego spotkania był chyba najgorszy z możliwych, ale i tak Kaśce myśl o innym mężczyźnie odczyniającym – choćby nieświadomie – urok rzucony w tej śródmiejskiej kamienicy przez... Jacka... wydała się interesująca.

– To będę wieczorem. Pa! – rzucił na zakończenie Wojtek i rozłączył się.

Rozdział 23.

Pod koniec pobytu w Barcelonie i pierwszego dnia po powrocie Kaśka sądziła, że nie można już czuć się gorzej. Drugiego dnia wiedziała, że jednak można. Ustanowiła nowy rekord życiowy.

Pozwoliła Jackowi haniebnie zrobić ją w konia, zniszczyła prawdopodobnie nieodwracalnie przyjaźń z Elpidą, przespała się ze swoim zastępcą Wojtkiem Knapikiem, a teraz miała iść do pracy – w której się waliło i paliło – i zachowywać się jak jego szefowa.

„Babciu, czy mogłam to wszystko jeszcze bardziej spieprzyć?”

Znów stała nago przed lustrem w łazience i z przestachem patrzyła na kobietę, którą miała przed oczami. Wczoraj wszystko się odbyło bez kropli alkoholu, więc przynajmniej nie było podkrążonych oczu i innych śladów kaca. „Nawet ładna... – pomyślała – tylko dlaczego taka...”. Spojrzała odruchowo obok swojego odbicia na widoczny w lustrze kąt łazienki, jakby z nadzieją, że jednak pojawi się tam babcia Honorka i rzuci którąś ze swoich życiowych mądrości. „Już tak, córcia, nie rozpaczaj. Nie ty pierwsza na świecie szybsza w dupce niż w głowie” – na przykład.

Ale nie było babci Honoraty. W lustrze dawało się obejrzeć tylko wnuczkę rozpaczającą, że z jej życia zostały ruiny. Nie chciała już na siebie patrzeć. Ujęła twarz w dłoń.

Gdzie to się wszystko popsuło, w którym momencie? Czy to była kara za sceny zazdrości, jakie urządzała Marcinowi? Przecież w końcu się okazało, że z tą zazdrością to jednak miała rację. Czy za to, że nie słuchała dobrych rad Lali? Ale jak jej mogła posłuchać, skoro miłość była dużo silniejsza od niej samej? Czy to jej wina, że Szumala zaatakował teatr, któremu przez ostatnie kilka lat starała się zapewniać bezpieczny i spokojny byt? Czy to jej wina, że Wojtek się w niej... Wojtek. No tak.

Weszła pod prysznic, odkręciła wodę.

...Wojtek przyszedł wczoraj kilka minut po ósmej, jak zapowiadał. Przyjechał do niej prosto z Ostrołęki, bez zatrzymywania się w domu. Był przejęty sytuacją teatru po artykule Szumali. Opowiedział jej też krótko o zdrowiu mamy, swoich zmartwieniach dotyczących ojca, ale widać było, że

jest mocno nakręcony sprawami zawodowymi. Kaśka przygotowała kolację, miała w repertuarze makaron z porami, kurczakiem i śmietaną, który wszystkim zawsze bardzo smakował. Wojtkowi też. Nie pili wina, bo Wojtek miał potem jeszcze wracać do siebie autem.

Przez cały czas dużo mówił. Jadąc z Ostrołeki, zastanawiał się nad sytuacją, obmyślał możliwe posunięcia i teraz był pełen pomysłów, które chciał skonfrontować z analitycznym umysłem Kaśki i jej doświadczeniem. On, który nigdy nie przepuścił żadnej okazji do żartów typu „seks w domu i w zagrodzie”, ocierających się czasem o granicę dobrego smaku – nieraz zresztą nie było żadnego ocierania, tylko granica zostawała daleko z tyłu – teraz traktował Kaśkę rzeczowo i profesjonalnie, jak szefową, a raczej jak kompetentną koleżankę.

Kaśka chwilami z trudem nadążała za jego myślami. Patrzyła na niego z sympatią, bo stanowił kolejną zaporę przed problemem Jacka i Elpidy. Przecież wiadomo było, że dopóki u niej siedzi i dopóki gadają o ważnych sprawach teatru, Kaśka nie może chwycić za telefon i zadzwonić do któregoś z tamtych dwojga, żeby porozmawiać o rzeczach, o których powinna była porozmawiać już kilka dni wcześniej.

Zresztą Wojtek mówił interesująco... A poza tym podobało jej się, że tak się angażuje. Co pewien czas zdecydowanym ruchem prawej dłoni odgarniał z czoła opadającą czuprynę i przeczesywał ją palcami. Przyglądała mu się, słuchała go, wypowiadała swoje opinie i czuła się w tej rozmowie bezpiecznie. Chciała, żeby trwała jak najdłużej. Była na swoim terenie – nie tylko w sensie miejsca spotkania. Doceniała też to, że choć – wiedziała o tym dobrze – bardzo się Wojtkowi podoba, a nawet zapewne budzi w nim emocje głębsze niż czyste pożądanie, jej współpracownik przez cały czas zachowuje nienaganny profesjonalizm. Rozumiał chyba, że to, co przystoi podczas przerwy na lunch w chińczyku, byłoby nie na miejscu w trakcie wieczornej kolacji u Kaśki w domu, na którą został zaproszony ze względu na szczególny splot wydarzeń związanych z pracą. I bez żadnego innego powodu.

Był głodny. Kaśka dwa razy dokładała mu makaronu. Kiedy skończyli jeść, poszła do kuchni zaparzyć kawę.

Przez cały dzień nie zadzwoniła do Jacka ani do Elpidy. Już dwa razy nie odebrała telefonu od greckiej przyjaciółki. Elpida wysłała jej też esemesa, na którego Kaśka również nie odpowiedziała. Tak, miała poczucie, że

tchórzy, że ucieka od problemu. Ale jednocześnie nie mogła przeboleć, że Jacek zostawił ją z tym wszystkim całkiem samą. Jego milczenie można było różnie interpretować. Nalewając wodę i sypiąc kawę do sitka kawiarki, Kaśka wyobrażała sobie, jak między Jackiem a Elpidą w obliczu nowiny o Dyzdzy dochodzi do wielkiego wyznania grzechów: on klęczy przed nią z bukietem róż i mówi, że wcale nie chciał, ale wiesz, ta cała Kaśka wciągnęła mnie do łóżka. A potem ona mu wybacza, oboje mają łzy w oczach, on przypada rozpalonym policzkiem do jej gołego brzucha, w którym siedzi Dyzdzia, i wsłuchuje się w co tam na tym etapie ciąży można się wsłuchać – pewnie najzwyczajniejsze burczenie w brzuchu, biorąc za pierwszy okrzyk „Witaj, tatusiu” – ona go głaszcze po głowie i nad łonem Elpidy z Dyzdzą w środku polsko-grecki duet rodzicielski uroczyście ślubuje dozgonną miłość wzajemną oraz wieczną nienawiść do tej całej Kaśki... A może on po prostu wyjechał gdzieś daleko na te cholerne wiercenia – nie w damskich brzuchach, tylko w polskiej ziemi... I co, nie miałby jak zadzwonić? Cholerny oszust!

Mimo wszystko, nie można tego już dłużej odkładać. Nie można...

– Kasiu, masz jakąś kartkę? Chciałem coś zapisać, żeby nie zapomnieć.

– Wyciągnij sobie z drukarki, na stoliku pod ścianą, przy laptopie – odkrzyknęła Wojtkowi instrukcje, skręciła kawiarkę i postawiła ją na kuchence. Zapaliła gaz.

Chwilę później wróciła do pokoju. Stała w drzwiach i spojrzała na Wojtkę, który siedział przy stole, bokiem do niej, i zawzięcie coś pisał na kartce. Był tak całkiem inny od Jacka... Nie była pewna, czy chodzi o jakąś chłopięcość, miękkość, delikatność... czy może o to skupienie na kartce, długopisie i swoich myślach... Musiał zarejestrować fakt, że Kaśka wróciła z kuchni, ale nie przerwał notowania. Jakoś ją to ujęło. Choć spotkali się, żeby rozmawiać o wspólnych zmartwieniach, miała poczucie, że dopóki u niej siedzi, odgradza ją od zmartwień prawdziwych...

Kaśka wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem, drugi założyła na włosy i znów spojrzała w lustro. Było teraz zaparowane i ledwo widziała swoje odbicie – rozmazane, rozmyte, zamglone. Może to i lepiej, bo dalsze wspomnienia z wczoraj chyba też by chciała rozmazać, rozmyć, zamglić.

...Kiedy wróciła z kuchni, podeszła do stołu i stanęła za Wojtkiem. Blisko niego. Trwało jeszcze chwilę, zanim w pełni dotarło do niego, że dzieje się coś dziwnego. Może poczuł jej zapach, może ciepło, a może dotarła do niego

dziwna cisza panująca w pokoju mimo powrotu gospodyni. Podniósł głowę znad kartki.

– Kasiu?

Położyła mu rękę na ramieniu.

– To pewnie okropnie wygląda, cała ta sytuacja. Ale... ja bym się bardzo chciała do ciebie przytulić.

Dopiero wtedy odłożył długopis, odwrócił się w jej stronę bez wstawania z krzesła, zdjął jej dłoń ze swojego ramienia i delikatnie przyciągnął Kaśkę za rękę do siebie, tak że usiadła mu na kolanach. Objął ją, ona wtuliła się w niego. Jeszcze w tym momencie nie chciała wcale i nie planowała, żeby iść z nim do łóżka. Po prostu chciała się odgrodzić...

– Kasiu, przecież wiesz, że ja...

Przerwał, zrezygnował z tłumaczenia jej czegokolwiek. Zaczęli się całować.

– Chodź – szepnęła Kaśka po dłuższej chwili, wstała z kolan Wojtka, wzięła go za rękę i zaczęła prowadzić do sypialni.

Teraz już wiedziała, dokąd chce zawędrować.

Pamiętała, żeby po drodze wyłączyć gaz pod kawiarką. Zanim doszli do jej pokoju, Wojtek zatrzymał się na chwilę.

– Kasiu, ja cię strasznie przepraszam, ale...

– Co się stało? – spytała przestraszona, że za chwilę niespodziewanie zostanie odrzucona.

– Nie, nic, tylko ja muszę... muszę do toalety. – Wojtek był najwyraźniej zakłopotany.

Roześmiali się oboje. Pokazała mu drogę do łazienki, wyjęła dla niego ręcznik, a sama poszła do sypialni. Kiedy przyszedł do niej po dłuższej chwili, leżała nago na kołdrze w ciemnym pokoju. Patrzył na nią zachwycony, a po kolejnej chwili już oboje leżeli nago na kołdrze w ciemnym pokoju.

Było inaczej niż kilka dni wcześniej z Jackiem. Kaśka czuła, że zachowuje trochę większy dystans, jest bardziej osobna. Wojtek jej się podobał, widziała też, jak za nią szaleje, co robiło na niej wrażenie. Była mu wdzięczna, że ratował ją przed samotnością, przed myślami o Jacku, chciała, żeby mu było dobrze. Skupiała się bardziej na nim niż na swojej przyjemności. Pieściła go dłońmi, ustami, potem usiadła na nim i doprowadziła go do rozkoszy. Cieszyło ją to. Chciała to potem powtórzyć,

więc powtórzyli, chociaż trochę inaczej. „Nie możesz być zawsze szefową” – powiedział z uśmiechem i Kaśka chętnie zamieniła się z nim miejscami, oddając mu szefowanie... Miała oczywiście w tyle głowy myśli o tym, że robią coś niestosownego, że będą komplikacje... Więc zagłuszała te myśli kolejnymi pieszczotami. Jutro... jutro... A na razie jest dobrze, jest bezpiecznie...

No i teraz było już jutro. Kaśka stała przed lustrem i rozczesywała włosy, które wcześniej suszyła gorącym strumieniem powietrza z suszarki. Lubiła patrzeć, jak po otwarciu drzwi łazienki i pod wpływem ciepłego nawiewu mgła na lustrze znika, najpierw w jednym miejscu, potem coraz szerzej i szerzej. Trochę jak na przedniej szybie samochodu w zimowy dzień, kiedy włączy się ogrzewanie. Ta mapa przejaśnień i rozpogodzeń zmieniała się w zależności od tego, w którą stronę Kaśka kierowała dyszę suszarki, od siły przeciągu docierającego przez otwarte drzwi – ale zawsze na końcu całe lustro robiło się czyste, klarowne, a obraz w nim tracił wszelkie niejasności i dwuznaczności. Tak właśnie było teraz.

– Wiesz, marzyłem o tej chwili właściwie od czasu, gdy cię poznałem. Prawie trzy lata temu. A teraz to przyszło tak niespodziewanie...

– I jesteś rozczarowany? – spytała.

– Zwariowałaś? Po prostu nie bardzo mogę w to uwierzyć.

– Wojtek, ja...

– Nic nie mów. – Pocałował ją. – Wiem, co powiesz, ale nie chcę tego słyszeć. Nie teraz. Może jutro...

Więc teraz definitywnie było już jutro. Rozpaliła gaz, litując się nad kawą, która przez całą noc wypłakiwała oczy za kims, kto ją łaskawie dogotuje. Kaśka zignorowała brudne naczynia po wczorajszej kolacji i przygotowała sobie grzanekę z żółtym serem. Kiedy kawiarka zaczęła bulgotać, Kaśka usiadła przy stole. Kawa była niedobra, jak się zresztą spodziewała. Takie dwuetapowe przyrządzanie najwyraźniej jej nie służyło. Memłała w ustach grzanekę, popijając lurowatym napojem i patrząc tępo w okno. „Jak mam teraz z nim rozmawiać? Planować? Naradzać się?” – ta myśl była dużo bardziej lurowata niż kiepska kawa.

Trwała tak przy stole kompletnie rozbita, nie mając pojęcia, jak przeżyje najbliższe godziny, dzień, tydzień, co będzie z jej miłością, przyjaźnią, pracą.

– Weź no, córcia, coś zrób. Nie siedź tak. Posiedzisz sobie potem! – A więc jednak Honorka gdzieś tu była, w jakimś kącie, może w kuchni, może za

zasłoną.

– Pojadę do siebie – powiedział Wojtek. Kaśka spojrzała na zegar w radiu stojącym przy łóżku. Właśnie minęła trzecia. – Muszę zmienić ciuchy... i w ogóle. Trzeba iść. Zobaczymy się w Strychu.

Zebrał swoje ubrania i wszedł do łazienki. Wrócił po chwili gotowy do wyjścia i przysiadł na łóżku obok Kaśki. Przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na kolanach. Objął ją mocno jednym ramieniem, drugą ręką głaskał przez chwilę po włosach.

– Muszę iść, Kasiu.

Po chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Wstała, zamknęła drzwi na zasuwę, zrobiła siusiu i wróciła do łóżka...

– To ja też już pójdę, babciu. Trzeba coś zrobić. Posiedzimy sobie potem.

Rozdział 24.

Wolała to zrobić na ulicy. Nie od siebie z domu, nie z pracy. Wiedziała, że właśnie na ulicy, wśród ludzi, w obecności anonimowych świadków łatwiej jej będzie nie rozsypać się, nie popłakać, nie zacząć krzyczeć, przeklinać, nie wypaść z roli. Trzeba było tylko znaleźć miejsce nie bardzo głośne, wolne od zgrzytu tramwajów, posapywania autobusów i żeby było trochę ludzi, ale nie za dużo... Z przesiadkowej stacji metra Świętokrzyska wyjechała ruchomymi schodami na ulicę, przeszła przez bramę jednej z kamienic na Marszałkowskiej i znalazła się na dużym, otwartym podwórku. Odeszła od ściany budynku, obawiając się, że ktoś mógłby ją usłyszeć przez uchylone okno, i stanęła na środku dziedzińca, obok rachitycznego drzewka. W razie czego będzie się mogła złapać. To w ogóle było dobre miejsce. Osłonięte od zgiełku ulicy, zaledwie z paroma widocznymi przechodniami, ale potencjalnie na widoku setek osób, które mogły obserwować ją przez okna. Ona na scenie, wokół publiczność, której mogła się tylko domyślać. Wszyscy we własnych łóżach. Drzewko jako minimalistyczna scenografia. Kostium: przyniesiony przez aktorkę z domu. Muzyka i specjalne efekty dźwiękowe: miasto stołeczne Warszawa.

Wyciągnęła komórkę z torebki, weszła w „Ustawienia” i w okienku „Wyświetl mój numer” wybrała „Nikomiu”. Zaskoczenie miało być pełne. Nabrała powietrza.

– Powiedziałeś o wszystkim Elpidzie? – zadała mu to pytanie, zanim jeszcze powiedziała „Dzień dobry”. Pomyślała, że w ten sposób łatwiej uzyska prawdziwą odpowiedź.

– Kaśka? Ja...

– Powiedziałeś?

– Miałem do ciebie...

– Powiedziałeś?!

– Nie.

– Posłuchaj mnie. Zastanawiałam się nad tym. Czasem zdarza mi się kłamać, ale rzadko kiedy chodzi o kobietę w ciąży.

Do tej pory szło jej dobrze. Tak jak zaplanowała. Ale teraz poczuła chwilę

zwątpienia.

– Dlaczego się nie odezwałeś? – powiedziała łagodniejszym głosem.

– Kasiu, ja naprawdę... Nie wiedziałem, jak ci...

– Nie przerywaj mi. Nie interesują mnie twoje kolejne kłamstwa. – Wzięła się za głowę i na siłę zaciągnęła z powrotem do obmyślonego scenariusza. – Elpida jest bardzo szczęśliwa. Jeśli się dowie, co się między nami stało, załamie się. Może coś się stać z jej ciążą. Słyszysz mnie?

– Tak, też o tym myślałem.

– Więc moja propozycja jest taka: o niczym jej nie mówmy. Stało się. Byłam głupia i podła. Może kiedyś, kiedyś do wszystkiego jej się przyznam. Ale na razie nie.

Głos zaczął jej niebezpiecznie falować. Coś działo się w jej gardle. Jakaś kobieta w jednym z mieszkań na drugim piętrze trzymała na rękach utuczonego kota i wyglądała przez okno. Popatrywała też na Kaśkę, a kocur rozglądał się wkoło nieprzyjaźnie. Spojrzał na nią i obnażył kły.

– Będziemy udawać, że nic się nie stało. Bo nic się nie stało, słyszysz? To nie miało żadnego znaczenia! – wydarła się nagle, żeby przemóc ściskanie w gardle. Wściekły wzrok kocura był jej sojusznikiem. – Będziemy się nadal spotykać we troje, a ja będę na ciebie patrzeć i z tobą rozmawiać. To będzie moja pokuta za świństwo, które zrobiłam. Co ty na to?

– No wiesz, chyba powinniśmy się spotkać i pogadać.

– Żadnych spotkań we dwoje. Musimy szybko zdecydować. I to, niestety, musimy zdecydować razem. Zaraz, teraz. A potem razem się tego trzymać. Więc?

– Dobrze... skoro tak chcesz... Tak chyba będzie rzeczywiście dla wszystkich najlepiej – powiedział to niby z wahaniem, ale czuła w jego głosie ulgę.

Cholerny tchórz. I oszust. Popatrzyła w górę, ale niestety kocur i jego pani zniknęli już za zamkniętym oknem. Opuścił ją ostatni sojusznik.

Muszę wytrzymać, zaraz finał.

– Wszyscy mnie nie interesują. Interesuje mnie Elpida i jej dziecko. Wasze dziecko... Tylko dlatego to robię.

Muszę.

– Rozumiem... Ja...

– To na razie tyle. Zadzwoń później do Elpidy. Nic się nie wydarzyło, pamiętaj. – Nabrała powietrza. – Przyszedłeś do mnie z opowiadaniem

bratanicy. I tyle. A opowiadania przeczytam i przekażę ci opinię mejlem – zaszarżowała na pożegnanie.

Czerwona słuchawka jak końcowe fanfary. Opuszczone powieki jak opadająca kurtyna. Brak oklasków.

Zrobiło się dość późno, powinna już być w pracy. Schowała komórkę do torebki i energicznym krokiem poszła z powrotem w kierunku wejścia do stacji metra.

Dwadzieścia minut później znowu wchodziła na scenę.

Iwonka przywitała ją komunikatem:

– Wojtek już wrócił. Widziałam go rano. Chcesz z nim rozmawiać?

– Wiem, że wrócił. Widziałam się z nim wczoraj wieczorem.

– O!

– Co „O!”?

– Nie, nic...

– To o co ci chodzi?

– No o nic. Chcesz coś do picia? – spytała Iwonka potulnie, starając się zejść z linii strzału.

Kaśka przypomniała sobie smak niedobrej kawy.

– Gdybyś mogła mi zrobić herbaty... Dziękuję ci – powiedziała i weszła do siebie.

Usiadła przy biurku i włączyła komputer. Nie chciała, żeby Iwonka zastała ją siedzącą przed ciemnym ekranem.

Rozmowa z Jackiem kompletnie ją wyczerpała. Po tamtym telefonie Elpidy, który zastał ją na tarasie barcelońskiej kawiarni, przez dwa dni wypłakiwała z siebie miłość, która w niej rosła przez ostatnie miesiące, od lata zeszłego roku. Czy wypłakała ją do końca? Znała przecież prawdziwą odpowiedź.

Kilka lat wcześniej przeżywała razem z Lalą jej rozpacz po poronieniu. Doskonale pamiętała, jak czuła się wtedy jej przyjaciółka. Lala ze Sławkiem przez kilka miesięcy starali się o dziecko. Wreszcie się udało – oboje się ucieszyli, kiedy Lala zaszła w ciążę. No i któregoś dnia pod koniec dziewiątego tygodnia poroniła. Kaśka była wtedy bardzo blisko niej. Często się spotykały, rozmawiały przez telefon. Smutek, zagubienie i konfuzja Lali trwały kilka tygodni. Kaśka była zdumiona siłą tych uczuć. Półtora roku później Lala bez komplikacji urodziła Kazia – obecnie zdrowego trzylatka. Ale wciąż jeszcze zdarzały jej się chwile zadumy i przygnębienia na wspomnienie tamtej traumy.

„Czy z tym też tak będzie?” – zadawała sobie teraz pytanie Kaśka, patrząc w ekran komputera i nie uświadamiając sobie nawet, na jaką stronę spogląda. Wiedziała, że Jacek okazał się nielojalny wobec Elpidy, że zmanipulował Kaśkę, wykorzystując jej uczucia, z których musiał sobie zdawać sprawę, że ciężko skrzywdził dwie kobiety, że jest tchórzem, który nie potrafi stawiać czoła odpowiedzialności za swoje zachowanie, egoistą i sobkiem...

A ja z Wojtkiem to co? Nietrudno było dostrzec, że jej zachowanie było niemal lustrzanym odbiciem tego, co zrobił z nią Jacek. Egoista i sobek.

Odstawiła kubek z herbatą, który przyniosła jej Iwona. Czowała, że musi wziąć się w garść, bo inaczej za chwilę się rozryczy i kompletnie rozklei. Sięgnęła do torby po okulary, bo chciała przejrzeć papiery do podpisu, które położyła jej na biurku sekretarka. Kaśka używała starego, obciążonego ciemnobrązową, cienką skórą futerału, który kiedyś należał do babci Honorki. Wydobyła go z torby i otworzyła. Na żółtej satynie wyściełającej wewnętrzną stronę wieczka był wytłoczony rysunek okularów, nazwa producenta, La Maison Declerq, rok powstania firmy, 1856, i jej adres w belgijskim mieście Liège. Babcia dostała ten futerał od siostry, która pojechała kiedyś na wycieczkę do Liège właśnie. Skóra była już trochę poplamiona, sprężynka lekko poskrzypywała przy każdym otwarciu futerału, ale Kaśka lubiła ten przedmiot, który przez długie lata babcia miała w rękach po kilka razy dziennie.

Zdawała sobie sprawę, ile rzeczy jest do zrobienia. Po wczorajszym artykule Szumali powinni natychmiast przystąpić do działania. Przepowiedzieli sobie wczoraj wieczorem – to znaczy głównie Wojtek przepowiedział – najważniejsze ruchy do wykonania. Trzeba było sporządzić listę najpilniejszych spotkań, trzeba było ustalić termin konferencji prasowej w klubie Bez kurtyny, trzeba było... Ale jak miała teraz rozmawiać z Wojtkiem? Jak miała mu wydawać polecenia, jak się opędać od jego kapraleskich żartów?

Patrzyła przez chwilę w granatowy logotyp firmy założonej ponad półtora wieku wcześniej w Liège przez optyka Declerq. Zamknęła futerał, położyła go na biurku. „Posiedzę sobie potem”.

– Będę u Wojtka – rzuciła w kierunku Iwonki, przechodząc obok jej biurka.

Zapukała, powiedział „Proszę”, weszła, on wstał.

– Kasiu...

Podeszła w jego stronę, przez chwilę stali naprzeciwko siebie, jakby nie

bardzo wiedzieli, czy mają się przywitać jak kochankowie po spędzonej razem nocy, jak szefowa z podwładnym, jak koledzy...

– Musimy porozmawiać – powiedziała w końcu i usiadła na krześle stojącym po drugiej stronie biurka.

– Jasne, właśnie miałem do ciebie pójść.

– U ciebie lepiej. Nie chcę, żeby Iwonka... Wojtek, ja...

– Kasiu, chyba wiem, co chcesz powiedzieć. Nie musisz. I nie martw się. Rozumiem, że to była szczególna sytuacja, napięcie, zmęczenie, stres, to nie było dla ciebie nic poważnego. Rozumiem to, naprawdę.

– Poczekaj, jednak ja ci chcę to wytłumaczyć... Wczoraj właściwie rozmawialiśmy tylko o teatrze. – *A dlaczego on się tak głupkowato uśmiecha?*

– Miałam ostatnio sporo kłopotów. – *No, świetny początek. Gratulacje, pani dyrektor.* – Strasznie mi było ciężko... – *Żeby tylko wystartować...* – Od rozwodu właściwie nie opowiadałam ci o swoich sprawach osobistych.

– Kasiu, naprawdę nie musisz...

Znowu mnie wybił z uderzenia.

– Wiem, że nie muszę, ale chyba jednak coś się między nami wydarzyło, nie? – *Boże, przekaz ma być pozytywny. Po co te drwiny? A ten ciągle z tym dobrotliwym uśmieszkiem.* – Więc... no, więc byłam strasznie zagubiona. Świat mi się zawalił. – *Mówić mu wszystko? To go strasznie zaboli.* – Kiedyś ci opowiem. – *Tak się rozmawia z dziećmi. Przynajmniej szczerowość mu chyba jestem winna.* – A zresztą... Latem w zeszłym roku się zakochałam. Idiotycznie i beznadziejnie. W facecie, który jest z inną kobietą. – *O Boże, jak to brzmi!*

– Kasiu, możemy to odłożyć. Widzę, że się męczysz.

Co on ciągle taki szlachetny?

– Tak to się we mnie tliło, narastało, całkiem ześwirowałam na jego punkcie. I ostatnio... ten facet... zaczął wysyłać mi takie sygnały, że on też... Nie opowiadałam ci o tym.

– Trochę się domyślałem. To chyba ci ludzie, których poznałaś nad morzem i którzy byli ostatnio na premierze, prawda? Dużo o nich ostatnio mówiłaś.

– Tak. – *Cholera, wszystko rozumie, wszystko wyczuwa, poczciwy taki...* Już lepiej, żeby wrzasnął albo walnął pięścią w stół... – No i niedawno się z nim przespałam. – *A może nie tylko pięścią w stół...*

Wojtek pochylił się w krześle do przodu, jakby chciał sięgnąć po coś na biurku albo wstać. Nic nie mówił.

Dziwne, właściwie powinien się raczej odchylić do tyłu, z przerażeniem, obrzydzeniem?

– Zdawało mi się, że on chce odejść od swojej partnerki, że coś do mnie... Te sygnały, to trwało kilka tygodni. Tak mi się zdawało. Głupia byłam. Po prostu chciał się zabawić. A w tym czasie, gdy do mnie robił słodkie miny, swojej partnerce zrobił dziecko. Są na etapie opracowania testu ciążowego w złotą ramę. A mnie się świat zawalił. – *Teraz będzie najgorsze, teraz muszę o nim.* – Wojtek... – *Wojtusi, więc wiesz, żeby się pocieszyć, to się zabawiłam tobą.* – Byłam zrozpaczona.

Rozległ się dźwięk telefonu i leżąca na biurku komórka Wojtka zaczęła powoli jeździć po blacie, napędzana wibracjami. Jej właściciel spojrzał na wyświetlacz, odebrał i zapytał:

– Tak, Iwonko? Tak, jest u mnie. A dlaczego nie dzwonisz do niej? OK, przekażę. Na razie.

Rozłączywszy się, zwrócił się do siedzącej po przeciwnej stronie biurka Kaśki.

– Iwonka dzwoniła z informacją, że był telefon od jakiegoś piarowca z banku od Ratajczaka, z AAB. Chcieliby z tobą porozmawiać.

– No tak, zaczyna się. A dlaczego nie zadzwoniła do mnie? – spytała Kaśka, która chwilę wcześniej wyjęła swoją komórkę z kieszeni żakietu i sprawdziła, czy ktoś do niej telefonował.

– A, coś wspominała... że podobno jesteś nie w humorze i wołała jakoś... – Wojtek nieskładnie próbował tłumaczyć, a w końcu zawiesił głos.

– Dobrze, potem się tym zajmę. Ale jeszcze dokończmy naszą rozmowę... – *No właśnie, na razie kat założył skazańcowi stryczek na szyję i zrobił sobie przerwę na papierosa.* – Ostatnie dni przeżyłam w szoku.

– Kasiu, a wtedy, pamiętasz, jak byliśmy razem u Ratajczaka w AAB i ty tak nagle odjechałaś...? Potem cię odwoziłem. To miało jakiś związek?

No nie, wytrąć mu już ten stółek spod nóg. Nie baw się! Kat skończył już papierosa, a teraz jeszcze dzwoni do żony z informacją, o której przyjdzie na obiad. Mam mu powiedzieć, że mnie odwiózł wtedy właściwie do łóżka z Jackiem?

– Pewnie, że miało związek. Wszystko miało związek. Nie chcę mówić o szczegółach. Ale ostatnie dni to był dla mnie koszmar. A potem, po powrocie z Barcelony, te kłopoty w teatrze, jeszcze jeden stres, nie wiedziałam, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Zaprosiłam cię wczoraj, bo chciałam o tym

pogadać, w dzień cię nie było, a z przyjaciółkami nie mogę rozmawiać o sprawach Strychu. Powinam ci była pewnie opowiedzieć o swoich problemach. Ale kiedy tak siedzieliśmy... poczułam bliskość i taką potrzebę... Chciałam od wszystkiego uciec, nie myśleć, przytulić się. Być blisko z bliską osobą. I dlatego się na ciebie... przepraszam.

– Co ty wygadujesz? Przepraszasz mnie? Spędziliśmy razem wspaniałą noc.

– Tak, ale... Wiem, że dla ciebie to może znaczyło coś innego niż dla mnie. Że mogłeś pomyśleć...

No tak, teraz niech on mnie pozapewnia, że jednak jestem szlachetna. Żałosna krowa.

– Że się zakochałaś? Nie, Kasiu takie rzeczy się wie. Nie miałem specjalnych złudzeń. Było cudownie. Ty... ty jesteś cudowna. Ale ja wiem, że to nie ma przyszłości, że między nami nic się nie zbuduje. Niczego ci nie będę utrudniał.

Fajnie, sam sobie ten taboret odkopnie. Kat nie musi nawet palcem kiwnąć. „Szykuj obiad, kochanie, a potem zabierzemy dzieciaki i pójdziemy do galerii handlowej. Dzisiaj miałem spoko robotę”.

– To prawda, było cudownie. – *Przesada, ale niech tam.* – Będziemy mieli dobre wspomnienie. Ale próbujmy się tak zachowywać, jakby nic się nie zdarzyło, dobrze? Nic takiego. Możemy tak się umówić?

Czy to możliwe? W ciągu ostatniej półtorej godziny próbowała wmówić dwóm różnym mężczyznom, że spędzona na miłosnych uniesieniach noc to „nic takiego”. Noc to nic. Ona, która kiedyś zadręczała męża scenami zazdrości, kiedy podejrzewała, że choćby spotkał się z jakąś znajomą na kawę, teraz mówi „nic takiego” dwóm facetom, z którymi na przestrzeni kilku dni się przespała. *Dobrze, że ich było tylko dwóch, córca.*

– Jasne, Kasiu, tak się umawiamy.

Czy nic mu nie zetrze z buźki tego dobrotliwego uśmiechu? Chyba mnie chce do reszty pogłębić.

– Daj mi piętnaście minut i przyjdź do mnie, dobra? Zajmijmy się w końcu tym, za co nam tu płacą.

Pokiwał głową i dla większego efektu zamknął przy tym oczy.

Kiedy wróciła do siebie, zatrzymała się na chwilę przy biurku sekretarki.

– Fajnie dziś wyglądasz, Iwonko. Dobrze ci w zielonym.

Dobre uczynki? Proszę bardzo, też umiem.

– A czujesz? – Iwonka już rozchmurzona podsunęła Kaśce pod nos swoją

szyję.

– Mmm... Boska dalia... Cudnie!

A potem już naprawdę trzeba się było zająć pracą, chociaż Kaśka chciała tylko jednego: iść do domu.

*

Powoli otworzyła drzwi mieszkania na Noakowskiego. Weszła do ciemnego korytarza i nie zapalając światła, odstawiła torebkę, ściągnęła buty i zdjęła płaszcz, rzucając go na podłogę. Weszła do kuchni i nalała sobie szklanek zimnej wody. Stojąc przy zlewie, wypła połowę duszkiem. Potem weszła do salonu i ciężko opadła na jedno z czterech krzeseł stojących przy stole. Ciągle nie włączała światła. Oddychała ciężko. „Teraz sobie posiedzimy, babciu”.

Po kilku minutach zadzwoniła jej komórka. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła, że to jeszcze nie koniec dnia. Dzwoniła Elpida. Kaśka wzięła dwa głębokie oddechy.

– Halo? No cześć, kochana. Strasznie cię przepraszam, ale nie masz pojęcia, w jaki wir wpadłam po tej...

Rozdział 25.

Oczywiście na Szumali się nie skończyło. Od niego się dopiero tak naprawdę zaczęło. Kolejne dni przyniosły kilka dalszych wypowiedzi w podobnym duchu, choć utrzymanych w różnej poetyce i na różnym poziomie merytorycznym. Wszystkie mocno antystrychowe i skoncentrowane głównie na krytyce ostatniego przedstawienia – *Cenerentoli* Dabescha. W Strychu zastanawiano się, czy to była zaplanowana i skoordynowana akcja, w której tekst Szumali odegrał rolę zbliżoną do wystrzału z krążownika „Aurora” tamtej ponurej jesieni 1917 roku, czy po prostu ośmieleni przez niego zawistnicy, którym krajowe i międzynarodowe sukcesy teatru Rachwalskiego od dawna leżały na wątrobie, poczuli, że już można, że wypada, a nawet że należy podgryzać autorytety warszawki, europki, kosmopolitów, wegetarian i cyklistów. Bo teraz jest to mile widziane. Bo teraz są do obsadzenia miejsca po starych elitach.

Kaśka z Wojtkiem siedzieli w gabinecie Rachwalskiego i kładli na stole wydruki kolejnych tekstów. Kwietniowe słońce chwilami próbowało się do nich przebić i machało przez okno, żeby wlać w ich dusze ciut nadziei, ale byli zbyt zaaferowani i przygnębieni, żeby mu choćby odmachnąć.

– Proszę bardzo, poczytaj sobie: Łożniak w „Megahicie”... – Kaśka odszukała zakreślony na żółto fragment. – *Pląćcie i się nie wtrącajcie. Tak mniej więcej mówi polskim podatnikom, ludziom ciężkiej pracy, grupa liberalnych „altorytetów” skupiona wokół Stanisława Rachwalskiego i posłusznie wychwalająca wszystkie jego produkcje...*

– Dobra, ale przecież to tabloid – skrzywił się Staszek i lekceważąco machnął ręką.

– No, to proszę. To jest z portalu Przy kawie. – Tym razem to Wojtek Knapik dorzucił kolejny wydruk. – W podtytule mają „Nie piszemy o byle czym”. Więc o czym piszą? *Ten dziwnie nabożny stosunek niektórych polskich krytyków i recenzentów do tendencji kulturalnych znanych z krajów zachodniej Europy prześledzić też można w naszym życiu teatralnym. Przykładem mogą być liczne eksperymenty artystyczne grupy skupionej wokół warszawskiego prywatnego teatru Strych – niewątpliwego*

pieszczoszka części obserwatorów scen krajowych. I tak dalej. Albo to: zapis felietonu z radia Do Celu. Bywają chwile, kiedy milczenie oznacza współudział. Nie milczmy. Idźmy do nich i powiedzmy im, co sądzimy o beczeszczeniu symboli, naśmiewaniu się z tradycji, obrażaniu naszej wiary.

– Chcesz jeszcze posłuchać? – spytała Kaśka, kiedy Wojtek zawiesił głos. – Zebraliśmy trochę takich kwiatków.

W odpowiedzi szef Strychu ponuro pokręcił głową.

Wszystkie te wypowiedzi miały jedną wspólną cechę, pozwalającą się domyślać zestrojonego charakteru całej kampanii: nie dotyczyły spraw merytorycznych ani konkretnego przedstawienia, ale ogólnie podsumowywały działalność Rachwalskiego i jego teatru.

Oczywiście było też parę pozytywnych recenzji *Cenerentoli*. One również miały swoją reprezentację na stole w gabinecie Rachwalskiego – leżały na osobnej kupce – ale była to ekipa mniej liczna, słabiej umięśniona i niewyposażona w kije bejsbolowe. Zgrabniejsza i bardziej utalentowana od tamtej, ale w bezpośrednim starciu bez szans.

– Bokserzy kontra cheerleaderki. – Wojtek też miał skojarzenie z meczem.

– Nie można wrzucać wszystkich krytycznych opinii do jednego worka – rzekł melancholijnie Staszek.

– Nie chodzi o krytyczne opinie, o to, że się komuś spektakl nie podoba – powiedziała Kaśka. – To ma wszelkie cechy negatywnej kampanii. Oprócz analiz, które robimy sami, dostajemy raporty z Litery. To ci od monitoringu mediów. Zbierają informacje z kilkuset tytułów prasowych, z ponad tysiąca portali internetowych i kilkudziesięciu stacji telewizyjnych i radiowych. Normalnie w miesiącu jest kilkanaście wzmianek o Strychu, jeśli nie liczyć repertuarów teatralnych i informacji o kupnie biletów. Kiedy jest u nas premiera, oryginalnych tekstów, bez przedruków materiałów agencyjnych albo naszych własnych, może być ze sto w miesiącu. Przez ostatni tydzień było już mniej więcej tyle, ale dodatkowo teksty w rodzaju Szumali czy Łożyniaka były wielokrotnie przedrukowywane w rozmaitych mediach.

– Zresztą widać, co się dzieje w mejlach. – Wojtek dołączył się do głosu szefowej. – Kąpię się w tym szambie prawie codziennie. Z różnych adresów przychodzą prawie jednakowo brzmiące wyzwiska. Komentarze na naszej stronie już dawno trzeba było zamknąć, bo musielibyśmy zatrudnić kogoś, żeby je przez cały czas moderował.

– No dobra, ktoś nam robi koło pióra – podsumował Rachwalski. – Nie musicie mnie przekonywać. Zdarzało się nam już wcześniej. A poza tym na świecie zawsze ktoś kogoś zwalcza. W teatrze, malarstwie, literaturze. Koterie, mody, podjazdy, zajazdy, nic nowego. Cesarz miał swojego poetę, arcyksiężna swojego, a biskup swojego. I zawsze jedni drugim wrywali kasę, przywileje. I publiczność. Wolę, żeby mnie obrzygał Szumala, niż żeby nikt nie reagował na to, co robimy.

Kaśka i Wojtek spojrzeli po sobie. Rachwalski zauważył tę porozumiewawczą wymianę i postanowił uprzedzić atak.

– No dobrze, wiem, sytuacja jest poważna. Co, waszym zdaniem, można zrobić? Jaki mamy wpływ na to wszystko? To tak jak z tym AAB. Sami opowiadaliście: będą chcieli się wycofać, to się wycofają, chociaż może nie od razu – powiedział, nawiązując do relacji Kaśki i Wojtka ze spotkania, które odbyli dwa dni wcześniej w Alpha Amsterdam Bank.

Tym razem nie spotkał się z nimi wiceprezes Ratajczak, ale jeden z szefów – starszy specjalista – działu public relations. Kaśka wiedziała już z wcześniejszej rozmowy telefonicznej, że nazywa się Rosomak. Ale dopiero rzuciwszy okiem na jego wizytówkę, stwierdziła, że ma inicjały PR, tak jak i dział, w którym pracuje. Paweł Rosomak. Przez chwilę zabawiała się myślą, że zgodnie z tą zasadą prezesem AAB powinien być Andrzej Arkadiusz Bóbr. Albo Anna Agata Bażant. A u nich w Strychu dyrektorem naczelnym mógłby zostać Damian Nutria. Ale to trwało bardzo krótką chwilę. Potem już było nie do śmiechu.

Paweł Rosomak poinformował ich, że w związku z realizowanym już częściowo planem finansowego wsparcia niektórych projektów Strychu rutynowo wdrożyli w banku monitorowanie wypowiedzi medialnych dotyczących ich *ewentualnego* – we wcześniejszych rozmowach to słowo nie było używane – strategicznego partnera.

– Rozumiecie państwo, że z punktu widzenia relacji publicznych i budowy wizerunku dla banku ważny jest cały kontekst działań naszych partnerów... – Specjalista Rosomak przerwał na chwilę, czekając, aż sekretarka rozstawi przed wszystkimi zamówione kawy i herbaty. – Ostatnio pojawiło się w mediach sporo wypowiedzi krytycznych o państwa teatrze i niektórych konkretnych przedsięwzięciach. Także tych, z którymi zaczęliśmy się identyfikować.

– Jako doświadczony specjalista zwrócił pan zapewne uwagę, że te

wszystkie krytyczne opinie pochodzą z mediów o dość specyficznym i wyrazistym obliczu światopoglądowym. I politycznym. – Kaśka chciała nadać sprawie właściwe proporcje.

– Może i tak. Ale wie pani, pani dyrektor, przychodzą do nas klienci z rozmaitych środowisk, o różnych światopoglądach. Także nasi partnerzy biznesowi są zróżnicowani. Nie chcemy się wdawać w polityczne kontrowersje.

Milczący do tej pory Wojtek skinął głową, jakby chciał podkreślić, jak świetnie rozumie punkt widzenia banku i jego działu PR, a jednocześnie dać sygnał, że zamierza coś powiedzieć.

– To jasne, tylko, tak jak pan powiedział, chodzi o cały kontekst. Sugerowałbym, żeby nie podejmowali państwo pochopnych decyzji. Dziś media piszą tak, jutro mogą pisać inaczej.

– Rozumiemy to doskonale – potwierdził przymilnie Paweł Rosomak. – To jest tylko wstępna rozmowa. Prezes Ratajczak pozostaje miłośnikiem państwa działalności i nie podziela poglądów reprezentowanych na przykład przez pana... – zajrzał do teczki z jakimś papierami – Szumalę. Ale prosił mnie, żebym zgromadził dokumentację i porozmawiał z państwem. Sprawa nie jest jeszcze przesądzona w żadną stronę.

– Wie pan, w życiu teatralnym bywa tak, że sytuacje szybko się zmieniają – mówił Wojtek, przyjmując ton koleżeński. – Mody, plotki, wie pan, jak to jest. Raz mówią o czymś dobrze, raz źle. Miałbym taką sugestię, żebyście państwo zaczekali z decyzją na rozstrzygnięcie tegorocznej „Dobrej Sceny”. Moda bardzo zależy od tej najważniejszej nagrody teatralnej w Polsce. To już tylko dwa miesiące, wyniki będą ogłoszone w połowie czerwca. Jeśli decyzje jury ułożą się po naszej myśli, o Strychu będzie się pisać dużo i dobrze.

Kaśka patrzyła na swojego zastępcę z niepokojem, choć nie dawała tego po sobie poznać. Nie uzgadniali wcześniej tej propozycji, ale nie chciała dezawuować słów Wojtka. Rosomak wydawał się zadowolony z możliwości, jakie dawało odłożenie ostatecznej decyzji w sprawie sponsorowania *Cenerentoli* i innych projektów Strychu w przyszłym sezonie.

– No dobrze, tak się umówmy. Będziemy śledzić sytuację – powiedział. – Jeśli nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, podejmiemy decyzję po ogłoszeniu komunikatu o tegorocznej edycji „Dobrej Sceny”. – Zastanowił się jeszcze chwilę. – To zresztą będzie dobra okazja z punktu widzenia relacji publicznych, żeby oficjalnie przedstawić nasze plany w tym sektorze. Możemy

się tak wstępnie umówić.

Kaśka zauważyła, że po raz drugi użył spolszczonej wersji „relacje publiczne”. Pewnie taką ma zasadę, żeby unikać określenia *public relations*. Czyli właściwie dział RP. Rosomak Paweł.

– No, ostro zaszarżowałeś z tą nagrodą – powiedziała Kaśka, kiedy wsiadali do samochodu Wojtka, żeby wrócić do teatru.

Od pamiętnej nocy i porannej rozmowy nazajutrz relacje między nimi były trochę usztywnione jak mocno nakrochmalona koszula, ale kilka dni intensywnych kontaktów służbowych zaczynało tę sztywność powoli przełamywać. Tyle że Wojtek wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować na powrót do swoich paraseksualnych żarcików, a Kaśka... Cóż, Kaśka ze zdumieniem złapała się raz czy drugi na tym, że zaczyna tęsknić za tymi żarcikami...

– A co będzie, jak nie dostaniemy żadnej nagrody? – mówiła z lekkim wyrzutem, przekonana, że Wojtek popełnił w rozmowie błąd. – Wiesz przecież, że szanse mamy raczej teoretyczne. Jury pod nowym dowództwem... Wtedy kolega Rosomak będzie miał idealny pretekst, żeby nas rzucić w cholerę. Zastanowiłeś się nad tym?

– Kasiu, chciałem kupić od nich trochę czasu. Jak będą chcieli nas rzucić w cholerę, to poradzą sobie bez pretekstu. Ale może zrobią to dopiero za dwa miesiące. A nie teraz. Pomyśl, jak by to wyglądało, gdyby teraz poszła w świat wiadomość, że Alpha Amsterdam Bank odwraca się od *Cenerentoli* i rezygnuje z finansowania innych projektów Strychu. Lepiej to odwlec.

– No... może i racja – zgodziła się niezbyt chętnie Kaśka, zapinając pas.

– Wiesz, zastanawiałem się jeszcze nad sytuacją i nad tym, co powinniśmy robić – mówił Wojtek i na chwilę zamilkł.

Kaśka czekała na jego dalsze słowa, ale na razie mogła obejrzeć tylko tył jego głowy i słuchać miarowego, szybkiego pykania kierunkowskazu. „Jak rytm serca po przebiegnięciu paru kilometrów. Albo po intensywnym seksie” – pomyślała, patrząc na zwróconego do niej plecami Wojtka. Od dłuższej chwili wypatrywał przez okno po swojej lewej stronie okazji, żeby się włączyć do ruchu.

– I co wymyśliłeś? – spytała go na zachętę, kiedy już jechali aleją Jana Pawła II.

Wojtek nie potrzebował długich zachęt. Kiedy raz już zaczął gadać, skończył dopiero wtedy, gdy wrócili do Strychu. I teraz, dwa dni po tamtym

spotkaniu, siedząc ze Staszkiem i z Wojtkiem przy dyrektorskim stole, Kaśka zebrała rozłożone na nim kserokopie napastliwych artykułów, odsunęła je wszystkie na bok – jakby w ten symboliczny sposób oczyszczała przedpole – i powiedziała:

– No właśnie, jaki my mamy wpływ. Wojtek, chciałabym, żebyś opowiedział Staszce o swoich pomysłach. Tylko wiesz, wersja jednoodcinkowa, a nie tasiemiec na trzy sezony.

Wojtek odchrząknął i zaczął opowiadać:

– Próbują nas załatwić, mobilizując przeciwko nam opinię publiczną i opowiadając różne kłamstwa. Pomińmy, kto to robi i dlaczego akurat teraz. My powinniśmy robić to samo: mobilizować opinię publiczną, tylko za pomocą prawdziwych komunikatów. Nie możemy tylko reagować na ataki, musimy wykazywać własną aktywność.

Kaśka za pomocą kiwania głową nieznacznie wybijała rytm zdań swojego najbliższego współpracownika. Staszek odchylił się w krzesło i słuchał z miną zgryźliwego skrzata.

– Preambuła bardzo dobra – stwierdził. – A konkrety też będą?

– Staszku, daj mu mówić – powiedziała Kaśka z błagalnym wyrazem twarzy. – Wiesz, to raczej typ maratończyka niż sprintera... Musi się rozkręcić.

– Nie wiem, Kasiu, co masz na myśli, ale poczekam, aż się rozkręci – przytaknął z demonstracyjną uległością Staszek. Na szczęście chyba nie zauważył rumieńca Kaśki.

– Przechodzę do konkretów. – Wojtek tym bardziej nie myślał o figlach. – Jak się dziś mobilizuje opinię publiczną? Przede wszystkim w internecie. W mediach społecznościowych. Musimy być znacznie aktywniejsi w sieci niż do tej pory. Facebook, Twitter, Instagram. Nawet Snapchat, chociaż to może wyglądać śmiesznie. Fora internetowe, blogerzy.

– Przecież to wszystko robimy – zaproponował Staszek, nie wchodząc w szczegóły, o których nie miał za dużego pojęcia.

– Robimy, ale trochę anemicznie. – Wojtek spojrzał na Kaśkę. Nie chciał, żeby jego słowa zabrzmiały jak skarga na nią czy donos. Przecież to ona odpowiadała za dotychczasową politykę promocyjną i marketing teatru. – Nigdy nie było na to dość czasu, ludzi. A teraz jest konkretna okazja. Można publikę jednoczyć wokół jasnego celu: obrony Strychu.

– A gdzie kasa, Misiu? – Staszek koniecznie chciał być przekorny.

– Kasa? Na początek spróbujmy crowdfundingu. Finansowania

społecznościowego. Zorganizujemy dużą kampanię.

– To taka zrzutka po dolarze, żeby wydać płytę?

– Staszku, tak było na początku. – Kaśka włączyła się z wyjaśnieniami. – Zaczęło się od chłopaków, którzy chcieli wydać płytę. Teraz to jest legalna, pełnoprawna forma finansowania rozmaitych przedsięwzięć na całym świecie. W ten sposób zbiera się miliardy dolarów.

– No to jak to się robi, żeby te miliardy były?

– Jest dużo portali, przez które takie akcje można realizować. Trzeba wymyślić dobrą ofertę. Przekonać ludzi, że warto płacić na Strych, warto go bronić. Musi to być zrobione z biglem. Najlepiej nagrać jakiś energetyzujący filmik. Myślę, że z tym nie będzie problemów. Aktorów mamy, może i jakiś reżyser się znajdzie?

– Jak będzie dobry tekst... – Staszek wciąż zachowywał sceptyczną minę, ale widać było, że i on się w tym biegu rozgrzewa.

– Trzeba ludziom coś obiecać, jakiś udział w sukcesie – Wojtek był już na piątym, szóstym kilometrze, sądząc po częstotliwości poprawiania opadającej na czoło czupryny.

Kaśka raz już tego wszystkiego wysłuchała, więc choć była bardzo skupiona na temacie rozmowy, nie mogła się oprzeć i mimochodem obmyślała, jak zgodnie z „zasadą Rosomaka” powinna się nazywać funkcja piastowana przez Rachwalskiego. SR... SR... Strychowy Regent? SuperReżyser? Strych Rex? Żaden wariant jej się zanadto nie podobał. Zresztą w przypadku Staszka w ogóle nie występował element zoologiczny.

– A co my możemy obiecać? – Staszek zadał kolejne pytanie.

– Bilety na spektakle. Całkiem darmowe albo ze zniżkami, w zależności od wysokości wpłat. Udział w próbach. Płyty z zarejestrowanymi spektaklami. Transmisję internetową z wybranych przedstawień. Płacisz, dostajesz kod potrzebny do oglądania. Rozmowy z aktorami. No, takie rzeczy...

– Próby też możemy transmitować – wtrąciła się Kaśka. – Ludzi z Warszawy można zapraszać do teatru, inni mogą sobie wykupić dostęp do przekazu w internecie. Będzie z tym trochę problemów prawnych, ale wszystko się da rozwiązać.

– Ile to może dać? – spytał Strychowy Regent.

– Wszystko zależy od tego, jak się za to weźmiemy. Pomyśl: jeśli nam się uda skłonić dziesięć tysięcy ludzi w Polsce, żeby każdy dał po dychu, to jest sto tysięcy. Oczywiście będą koszty. Opłaty, podatki... Trzeba też wynająć

kogoś, żeby się tymi internetami zajął.

– Majątek to to nie jest... – Staszek robił wrażenie, że chce swoich pracowników porządnie zdenerwować.

– Może i nie jest, ale zyskujemy za to rzecz jeszcze cenniejszą: rozgłos. Będzie się o nas mówić, i to w pozytywnym kontekście. Tylko trzeba to umiejętnie wykorzystać. A wiesz, co to jest rozgłos? To są sponsorzy! – Wojtek chyba minął już półmetek tego maratonu. Kaśka z niejakim rozczerwieniem patrzyła, że całkiem zrezygnował z poprawiania włosów.

– No, właściwie to nie rozumiem, dlaczego tu ciągle gędzimy, zamiast to wreszcie zacząć robić! – W twarzy Staszka współczynnik wysycenia zgryźliwością wreszcie spadł poniżej stu procent. – Przygotujcie krótki opis tego projektu. Muszę to dać radzie fundacji do zatwierdzenia – powiedział Strych Rex i sympatycznie się uśmiechnął.

Rozdział 26.

Pierwszy raz po nocy, którą oboje tak dobrze zapamiętali, mieli się zobaczyć. Oczywiście nie we dwoje, tylko w obecności Elpidy. Kaśka często z nią rozmawiała przez telefon, dowiadywała się o jej zdrowie, samopoczucie, wysłuchiwała radosnego szczebiotu budzącego się macierzyństwa, śmiesznie mówiącego z greckim akcentem. Ale z Jackiem – poza tamtą rozmową telefoniczną, w której ustalili zeznania – więcej się nie kontaktowała. Bała się. Bała się swojej reakcji. Bała się jego zachowania. Bała się, że z takiego kontaktu wyjdzie z jeszcze gorszą opinią o sobie i o nim, niż miała do tej pory.

Teraz też się bała. Ale już dłużej nie dało się tego odwieleć bez wzbudzenia podejrzeń Elpidy. I tak nie widziały się prawie od miesiąca, od premiery *Cenerentoli*. Jak na ich standardy była to całkiem szokująca przerwa w kontaktach. Kaśka tłumaczyła się trudną sytuacją w pracy i związanym z tym nawałem zajęć, brakiem czasu... Ale kiedy Elpida po raz kolejny zaprosiła ją na kolację, nie mogła już odmówić.

Przyszła do nich z mocnym postanowieniem, że nie będzie spięta, usztywniona, że w kontaktach z Jackiem zachowa się naturalnie. Przecież jak się powiedziało A, kiedy zdecydowała, że w imię przyjaźni z Elpidą będzie brnąć w kłamstwie, to teraz musi powiedzieć B i dalsze litery, z których miała swobodnie układać słowa zabarwione tym kłamstwem.

Tyle że kiedy Jacek otworzył jej drzwi i Kaśka stanęła z nim twarzą w twarz w przedpokoju mieszkania na Barskiej, początkowo nie była w stanie tego B wydukać. Jak również „me”, o „kukuryku” w ogóle nie wspominając. Połączone siły wstydu, złości, nostalgii, resentymentów i całkiem jeszcze żywych sentymentów rozpoczęły i zakończyły blitzkrieg, zanim Kaśka zdołała przekazać gospodarzowi swój płaszcz i przyniesioną butelkę wina. Stali przez chwilę oboje nieruchomo, patrząc na siebie trochę jak współnicy skoku na jubilerę, którzy pokłócili się przy podziale łupów, trochę jak członkowie jednej drużyny w szatni po porażce 0:8 z ostatnim zespołem w lidze. Byli dla siebie świadkami klęski... Nic nie mówili. Trwało to krótką chwilę, ale nie była to chwila przyjemna. Dobiegający z głębi mieszkania szczebiot Elpidy wytrącił ich z tego stuporu. Kaśka, w sumie zawstydzona nieoczekiwaną utratą

pewności siebie, postanowiła wyciągnąć się z tej sytuacji za włosy. „Nie becz, córca”. Odwinęła z cienkiej bibułki niewielką doniczkę ze storczykiem i wręczyła Jackowi niepotrzebny już papier.

– To dla Elpidy – poinformowała go i wyszła na spotkanie przyjaciółce.

Wszystkie te gry wojenne w przedpokoju trwały może trzydzieści, może czterdzieści sekund. Pozostałe trzy godziny spotkania przebiegały już zupełnie inaczej. Znow, jak tyle razy wcześniej, było jedzenie, było wino, rozmowy, żarty, śmiechy... „Całkiem jak dawniej” – mówiła sobie Kaśka, dobierając musaki, którą specjalnie na jej cześć przygotowała gospodyni, czy podstawiając kieliszek Jackowi dolewającemu wino. I doskonale przy tym wiedziała, że nic nie jest jak dawniej, że dwie z trzech rozbawionych osób brną w daleko posunięte oszustwo, tłumacząc to dobrem trzeciej. A może wcale nie o dobro Elpidy chodziło, może to była tylko zasłona dymna, a tak naprawdę szło o własny strach przed przyznaniem się, o próbę zrzucenia z siebie i zamiecenia pod dywan tego czegoś, co uwiera gdzieś w okolicach sumienia? Zachowywali się na oko równie spontanicznie i beztrosko jak wtedy, w Kotwicy czy w ogrodzie państwa Gołąbków. Lubili się, cieszyli sobą, pasowali do siebie. I jednocześnie wszystko w Kaśce krzyczało: „Przestań! Nie oszukuj! Przecież trzeba mówić, jak jest...”.

Więc najprościej było dołożyć na talerz jeszcze kawałek *galakoboureko*, czyli greckiego deseru z ciasta filo wypełnionego kremem z kaszki manny, mleka i cukru, wypić jeszcze kieliszek metaksy i opowiedzieć jeszcze jedną anegdotę z życia gwiazd warszawskiego teatru.

Elpida była uszczęśliwiona. Ona jedna miała „jak dawniej”, a właściwie lepiej niż dawniej, bo teraz była w ciąży, czekała na dziecko z ukochanym mężczyzną, na dalszą stabilizację, a na razie była w towarzystwie dwojga najbliższych jej ludzi – jeśli nie liczyć pozostawionej w Grecji rodziny.

Ta gra nie była sprawiedliwa. Dwie osoby grały znacznymi kartami, choć nie byli to zawodowi szulerzy. I nawet wcale nie chcieli wygrać.

Było już po dziesiątej. Kaśka czuła się objedzona i opita, rozbawiona i sfrustrowana zarazem, wesoła i smutna, pełna energii i zmęczona jednocześnie. Nagle usłyszała plumnięcie, jakie wydawała jej komórka, kiedy przychodził esemes. Wyjęła telefon z torby, zdziwiona, że ktoś się do niej dobija o tej porze. Na wyświetlaczu zobaczyła „Wojciech Knapik”. Tak go kiedyś oficjalnie zapisała. Przeczytała wiadomość: „Sorry, że późno. Nie chcę dzwonić, ale coś mi przyszło do głowy. Jeśli nie śpisz, zadzwoń”. Odpisała

mu: „Za pół godziny będę w domu. Zadzwoń”. Po chwili Wojciech plumnął, że OK.

Wojtek przecież, nie Wojciech... Pośród całego dziwnego zagubienia, jakie czuła w trakcie kolacji – sympatycznej, ale lekko podtrutej niewielkimi dawkami nieznanych jej wcześniej toksyn – esemes od Wojtka wydał jej się przez chwilę jakimś sygnałem z bratniej galaktyki, wolnym od podtekstów i kontekstów. „Czyżby?” – pomyślała prawie natychmiast. „Z Wojtkiem nie ma podtekstów? Paradne!”.

– Wiecie co – powiedziała, dokończywszy historyjki, którą właśnie opowiadała – będę już wracać. Elpida musi odpocząć, a ja mam jeszcze przed sobą jakąś pracową rozmowę. Fajnie u was, ale wszystko już wyżarłam, więc pójdę. Następnym razem u mnie.

– Ale jeszcze wszystkiego nie wypijaś. – Jacek zamachał butelką metaksy.

– Nie, dzięki, naprawdę muszę iść.

– A ta rozmowa to o pracy czy o miłości? – spytała z głupia frant Elpida.

– O miłości do pracy – odpowiedziała Kaśka, patrząc przyjaciółce w oczy.

„A ten tam siedzi i kombinuje w sprawie Strychu” – przeleciała jej przez głowę myśl, pozostawiając za sobą smugę niejakiego rozczulenia. Potem przez chwilę się zastanawiała, do której korporacji dzwonić. Znów postawiła na tych od karty.

Poszła do łazienki, wróciła, ładnie podziękowała gospodarzom, dała wszystkim grzecznie buzi, ubrała się i dziesięć minut później rozpoczęła kolejną rundę negocjacji w sprawie płacenia za taksówkę kartą.

Rozdział 27.

To były bardzo nerwowe i pełne emocji tygodnie. Plan zaproponowany przez Wojtka i rozbudowany później w trakcie narad z Kaśką zakładał intensywne mobilizowanie opinii publicznej do obrony Strychu i wolności artystycznej przed atakami środowisk narodowych i fundamentalistów religijnych. Chodziło o to, żeby nikogo nie obrażać, nie odtrącać, nie nazywać grubymi słowami, tylko cierpliwie tłumaczyć, wyjaśniać, pokazywać, przekonywać. Kaśka z Wojtkiem przyjęła założenie, że cokolwiek by się działo, Strych nie da się sprowokować, wciągnąć w pyskówki, awantury i mordobicia.

Po pierwsze potrzebowali ludzi do pomocy. Tu znów przydała się pomysłowość Wojtka: postanowił poszukać współpracowników-ochotników wśród studentów Akademii Teatralnej. Dzięki znajomej, która opiekowała się uczelnianym Kołem Naukowym, dotarł na jedno ze studenckich spotkań. Opowiedział o sytuacji – o której zresztą wszyscy coś z grubsza słyszeli i wiedzieli – i spytał, czy ktoś chciałby poświęcić trochę czasu na działania wspierające Strych. Wyszedł ze spotkania z zapisanymi w komórce sześcioma adresami mejlowymi i numerami telefonów – czterech chłopaków i dwóch dziewczyn. W pierwszym ruchu wszyscy zostali zaproszeni na najbliższe przedstawienie *Cenerentoli*, żeby mogli się sami przekonać, o jakim zwierzęciu właściwie mowa. Unera nie było już w Warszawie, ale po spektaklu spotkał się ze studentami Staszek Rachwalski, który rozmawiał z nimi o założeniach inscenizacji i odpowiadał na pytania. Urok i autorytet Staszka – oraz samo przedstawienie – sprawiły, że wszyscy studenci wyszli z tego spotkania z mocnym przekonaniem, że warto się w sprawę zaangażować.

Po drugie potrzebowali atrakcyjnych materiałów, które mogłyby służyć do zdobywania poparcia poprzez media elektroniczne. W tej dziedzinie mieli oczywiście naturalne ułatwienia, dysponując ekipą aktorską, reżyserską, techniczną i sprzętem. Ku uciesze własnej i – jak się niebawem okazało – także publiczności, nakręcili kilkunastoodcinkowy „serial” pod roboczym tytułem *Wystrychnięci*. Zabawa polegała na tym, że w każdym z filmików niezwykle popularni aktorzy – Joanna Grodecka i Włodek Mikosz – ustylizowani trochę, ale bez przesadnej dbałości o szczegóły, na bohaterów

różnych znanych powieści i dramatów wchodzą po zakurzonych schodach na zagracony strych (z powodzeniem wcieliła się w tę rolę teatralna rekwizytornia), po czym odgrywają tam krótkie, częściowo improwizowane scenki, wykorzystując swoją aktorską wirtuozerię, abstrakcyjne poczucie humoru i zamiłowanie do pure nonsensu. Właściwie trudno powiedzieć, o czym te scenki opowiadały, ale po prostu były urocze, zgrabne i śmieszne. Dziwne kwestie, dramatyczne miny i gesty, nieoczekiwane zachowania, dziwaczne kostiumy i rekwizyty, czasem zaskakująca puenta, a czasem zaskakujący brak puenty – wszystko to nie trwało dłużej niż półtorej minuty, na końcu zaś pojawiał się napis: „STRYCH TO TWOJE MIEJSCE. NIE DAJ GO SOBIE ZABRAC”. Co trzy dni wpuszczali do sieci nowe odcinki. Filmiki były na tyle błyskotliwe i zabawne, tak dobrze trafiały w upodobania sporej części – głównie młodej – widowni, że szybko zaczęły robić furorę. Osiągały zawrotne liczby odsłon na YouTube i rozchodziły się po sieci ze zjadliwością wirali – chociaż tak właściwie konia z rzędem temu, kto wytłumaczyłby wiarygodnie ich sens.

Przygotowali też kilka poważniejszych materiałów: krótkie filmy wyjaśniające, o co chodzi w spektaklu *La Cenerentola*, materiał pokazujący nieuczciwe manipulacje, których dopuszczali się przeciwnicy Strychu próbujący dyskredytować przedstawienie i krótki przegląd mowy nienawiści generowanej przez „obrońców wartości”. Wszystkie te materiały stopniowo trafiały do mediów społecznościowych i innych kanałów internetowych.

Crowdfunding – czyli zbiorowe finansowanie – też wymagało przemyślanego podejścia. I znów zrobił to Wojtek, któremu pomagała Kaśka, coraz bardziej zauroczona kreatywnością i pracowitością swojego zastępcy. Właściwie chwilami miała wrażenie, że to on dowodzi wszystkimi ich akcjami, a ona jako jego pomocnica stara się za nim nadążyć. Wojtek jednak zachowywał pełną lojalność, swoje pomysły omawiał z szefową, nie pchał się przed szereg, a w wystąpieniach publicznych podkreślał, że działają jako zespół, którym kieruje Kaśka. Była mu za to wdzięczna, nie mogła się go nachwalić w swoich myślach, w rozmowach ze Staszkiem i w raportach, które składała lekko kręcącej nosem Lali.

- Robi to, co do niego należy – komentowała jej przyjaciółka.
- Robi dużo, dużo więcej. On tę całą kampanię wymyślił i na nim się to trzyma.
- Ojoj, pani dyrektor zaraz wskoczy panu wicedyrektorowi do łóżeczka, bo

taki jest pracowity – mówiła Lala wściekłym głosem.

– Lalka, jesteś nieznośna! Przestanę ci cokolwiek opowiadać, jeśli będziesz taką zołącą.

– Co, prawda boli? Jak potrzebujesz takich, którzy ci gruchają czułe słówka, to porozmawiaj ze swoją czarnowłosą Afrodytą. Tylko się nie wygadaj o wszystkim.

Raz czy dwa Kaśka w takich momentach wściekle rozłączała rozmowę z Lalą, bo nie mogła znieść jej ujadania. Oczywiście ciche dni między przyjaciółkami trwały najwyżej dziesięć minut, bo po tym czasie któraś z nich nie wytrzymała, dzwoniła i obie z płaczem wylewnie się przeproszały.

Na użytek crowdfundingu Kaśka z Wojtkiem wymyślili akcję Litera za dychę. Podzielili słowo B I L E T na pięć oddzielnych liter. Każdy uczestnik akcji mógł za dziesięć złotych kupić jedną literę, wpłacając pieniądze na odpowiednie konto. Za pięćdziesiąt złotych dostawało się cały bilet na wybrane przedstawienie z aktualnego i planowanego na przyszły sezon repertuaru Strychu. Za jedną literę otrzymywało się prawo do dwudziestoprocentowej zniżki przy kupnie biletu w przyszłości – i gwarancję pierwszeństwa przy jego zakupie. Dwie litery dawały czterdzieści procent zniżki – i tak dalej. Ponieważ przeciętny bilet na spektakl Strychu kosztował znacznie więcej niż pięćdziesiąt złotych, osoba wpłacająca pieniądze w ramach finansowania społecznościowego uzyskiwała istotny rabat. Niektórzy kupowali po jednej czy po dwie litery na kilka wybranych spektakli, kalkulując po swojemu, co się najbardziej opłaca. Można też było dokonywać wpłat na poczet przyszłego dostępu do transmisji internetowych wybranych przedstawień albo do zarejestrowanych spektakli. Cały system był dość skomplikowany, ale okazało się, że są ludzie, którzy lubią takie zabawy i – ku radości autorów pomysłu – na wydzielone rachunki zaczęły płynąć pieniądze. Był to może na razie bardziej strumyk niż szeroka rzeka, ale liczyło się to, że pomysł chwyta. Wojtek od początku twierdził, że chodzi w tej akcji zarówno o same wpłaty, jak i rozgłos, popularność i nowych stronników Strychu. I znów kto chciał i nie chciał, musiał przyznać mu rację. Kaśka chciała.

Jednym z kluczowych przedsięwzięć, które obejmował „plan Knapika”, było zorganizowanie dużej debaty z udziałem twórców *Cenerentoli*, dziennikarzy i krytyków teatralnych, poświęconej zarówno samemu spektaklowi, jak i granicom wolności w teatrze i sztuce w ogóle. Wydarzenie miało być dostępne za pośrednictwem internetowego *streamingu* na YouTube

w kanale Strychu i Facebooku. Obiecująco wyglądały też rozmowy z pewną ogólnopolską stacją radiową, wstępnie zainteresowaną transmisją wydarzenia. Były także szanse na zwerbowanie jednej ze stacji telewizyjnych, ale negocjacje w tej sprawie wciąż nie przynosiły rozstrzygnięć.

Najpierw chcieli zorganizować tę debatę u siebie, w Strychu. Ale po namyśle doszli do wniosku, że wrażenie będzie lepsze, a siła oddziaływania większa, jeśli odbędzie się to na gruncie neutralnym. Udało się przekonać władze Uniwersytetu Warszawskiego, żeby udostępniły w tym celu Auditorium Maximum w głównym uniwersyteckim kampusie. Spotkanie formalnie organizowało Koło Naukowe Kulturoznawców – temat był na tyle nośny, że zainteresowanie studentów wydawało się czymś całkiem naturalnym.

Wojtek z Kaśką – bo to jednak oni byli mózгами całego przedsięwzięcia, choć współpracowali blisko z uczelnianymi kulturoznawcami – spędzili długie godziny na układaniu listy dyskutantów, spisu zaproszonych gości, ustalaniu prowadzącego i obmyślaniu przebiegu spotkania. Długie godziny... Był z tym pewien problem. Rzeczą najbardziej naturalną byłoby prowadzenie tych narad i dyskusji – toczących się często wieczorami czy w weekendy – u któregoś z nich w domu. Z racji położenia w samym centrum Warszawy mieszkanie Kaśki byłoby idealnym punktem spotkań. I dla Wojtka, i dla współpracowników z UW czy Akademii Teatralnej. Ale przecież Kaśka z Wojtkiem dobrze pamiętali, co wydarzyło się kilka tygodni wcześniej w mieszkaniu przy Noakowskiego, i nie mieli najmniejszej ochoty spędzać tam wspólnych wieczorów czy nocy. Może zresztą brak ochoty to nie najlepsze określenie: Kaśka się tego bała, a Wojtka krępowała taka perspektywa. Z podobnych powodów Kaśka nie chciała przychodzić do Wojtka. Pozostawały więc ich pokoje w Strychu. Kaśka stała się gościem we własnym domu, spędzała w pracy większość czasu, a do siebie chodziła głównie po to, żeby się przebrać i wyspać. Miała przy sobie często Iwonkę, a zawsze Wojtka.

Wiedzieli, że muszą zadbać o to, żeby reprezentowani byli przedstawiciele różnych poglądów i ideologii, ale jednocześnie chcieli uniknąć obecności wśród panelistów oczywistych wariatów i szaleńców, gotowych rozłożyć każdą dyskusję i zantagonizować najcierpliwszych świętych. Potem trzeba było zawiadamiać przedstawicieli mediów – zarówno takie kanale jak Szumala, jak i ludzi przyzwoitych i rozsądnych.

Zadań zresztą było co niemiara. Kaśka z Wojtkiem chcieli przyjąć zasadę, żeby wstęp był tylko za wejściówkami, które można by odbierać w biurze

organizacyjnym spotkaniu. Pozwoliłoby to utrzymać jakąś kontrolę nad tym, kto wchodzi na salę, i wyeliminować agresywne bojówki lub grupy modlitewne z własnym nagłośnieniem. Nie bardzo jednak chcieli się na to zgodzić gospodarze – władze uniwersytetu – argumentując, że kłóci się to z zasadą swobody dyskusji akademickiej.

Były też kwestie techniczne związane z transmisją internetową, zapewnieniem możliwości zadawania pytań przez uczestników z sieci. Ze względu na gorącą temperaturę dyskusji trzeba było szczególnie zadbać o bezpieczeństwo. Ludzie teatru byli niby przyzwyczajeni do rozmaitych wymogów związanych z imprezami masowymi, ale strychowo-kulturoznawcza debata okazała się pod względem logistycznym trudniejsza niż niejedna premiera.

Warto było. Przedsięwzięcie okazało się wielkim sukcesem. Przyszły tłumy, dyskusja była gorąca, ciekawa i – poza nielicznymi epizodami – utrzymana w cywilizowanych granicach. Dużo ludzi śledziło ją w internecie. Transmisji telewizyjnej w końcu nie było, radiowa i owszem. Kaśka i jej przyjaciele ze Strychu mieli wrażenie, że ta rozmowa rzeczywiście coś dała, że pozwoliła stronom zbliżyć się do siebie, poznać stanowiska, że przynajmniej u pewnej części osób stereotypy i automatyzmy w myśleniu ustąpiły miejsca argumentom, że choćby jakaś część wykrzykników została zastąpiona przez znaki zapytania. Wszyscy gratulowali głównym organizatorom debaty, którymi byli oczywiście Kaśka i Wojtek. Wojtek i Kaśka.

Oboje byli szczęśliwi. Spracowani, ale szczęśliwi. Przynajmniej do chwili, gdy na portalu Kulturalni Polacy przeczytali relację z debaty na UW pióra redaktora Szumali. Nosiła tytuł *Wody z mózgu ciąg dalszy*. I podtytuł *Zaraza weszła na UW*.

Rozdział 28.

No to co będzie dalej?

Łatwiej jej było sobie wyobrazić, co stanie się z Jackiem, Wojtkiem, Unerem, ze Strychem nawet czy z wolnością sztuki w Polsce, niż... „Ale co się stanie ze mną, z moim życiem?”.

Jej dni były wypełnione. Bardziej niż kiedykolwiek. W obecnej, pełnej napięć sytuacji teatr wdzierał się w kolejne obszary jej egzystencji, stawał się pasją intelektualną, zastępował życie towarzyskie, realizował potrzebę przygody, ryzykownego wyzwania, nadawał sens i kierunek, poczucie misji... Poza tym utrzymywała kontakty z przyjaciółmi. Spotykała się z Elpidą i – siłą rzeczy – z Jackiem, ale zarówno ze względu na stan przyjaciółki, która często nie czuła się najlepiej, jak i na kompletnie zaburzony stosunek do Jacka, nie były to kontakty tak częste i intensywne jak dawniej. Rozmowy i okazjonalne winne wieczorki z Lalą, inni znajomi, matka, brat... Jak zawsze dużo czytała, a nieliczne pozostałe skrawki wolnego czasu zabierał jej Facebook, czasem jakieś filmy, wizyty w innych teatrach... Dni miała naprawdę zapełnione, ale przecież od czasu do czasu... Na przykład kiedy stała pod prysznicem albo kiedy wchodziła rano do łazienki i spoglądała w lustro: nagle ogarniała ją dziwna ekscytacja, czuła rytm mijających dni, czuła płynący czas, czuła, jak wiele jest w jej życiu niezadanych pytań i nieudzielonych odpowiedzi. Czy za pięć lat, patrząc na tę samą twarz w lustrze, nadal będzie myślała o tym, że Marcin ją zdradzał i nie potrafił prawdziwie rozgrzać w łóżku, a ojciec był zły dla mamy, a Jacek oszukał, a Fosfor się upił, a brat nie miał dla niej dość serca, a Wojtek nie dał rady jej w sobie rozkochać, a ten to, a tamten tamto... Jakie to wszystko miało znaczenie? Jakie będzie miało za kilka lat? Kim będzie? Czym będzie? Z kim będzie?

Czasem myślała, żeby zmienić pracę, może wyjechać. Miała wciąż kontakt z Montse – swoją odpowiedniczką z barcelońskiego Mercat de les Flors, która zresztą wybierała się niebawem do Warszawy. Dobrze im się rozmawiało w mejlach i przez Skype'a, gadały też trochę o sprawach prywatnych. Kiedyś Montse dała jej do zrozumienia, że gdyby Kaśka ze swoją znajomością życia teatralnego w Polsce i innych krajach Europy Środkowej chciała przyjechać

do Barcelony, mogłaby być przydatna na przykład w wydziale kultury autonomii katalońskiej albo w którymś z teatrów.

Czy to mogłoby wiele zmienić? Zarabiałaby pewnie więcej, stanęłaby przed nowymi wyzwaniem, poznała nowych ludzi, może jakichś ciekawych facetów. I co z tego? Czy to się przekłada na zadowolenie z życia, na poczucie spełnienia?

Czasem myślała, żeby pogadać ze Staszkiem Rachwalskim. Zwierzyć mu się po prostu. Ufała mu, był dla niej autorytetem. Nigdy nie była czuła na jego słynny męski Super Glue, ale wierzyła mu bez zastrzeżeń, szanowała jego rozsądek i doświadczenie. Po trosze reprezentował dla niej figurę ojca, którego w życiu nie miała za dużo. Korciło ją, żeby opowiedzieć mu wszystko o swoich sprawach i poprosić o ojcowską radę. Sam ją zresztą nieraz do czegoś takiego delikatnie zachęcał. Miała pewność, że dochowałby tajemnicy tej spowiedzi, że nigdy nie wykorzystałby przeciwko niej tego, czego by się dowiedział. Ale jednak wciąż nie mogła się przemóc, ciągle wydawało jej się, że nie wypada chodzić do szefa z takimi sprawami, tym bardziej że przecież musiałaby w tym konfesjonale wyszeptać to i owo o innym podwładnym Staszka.

Na co dzień było ciekawie, zajmująco i satysfakcjonująco. Nie miała powodów do narzekań, co powtarzała sobie dobitnie kilka razy w tygodniu. Tylko czasem, gdy płynąca z prysznicza woda szczególnie mocno ukłuła ją w policzki czy plecy albo kiedy znajoma twarz w lustrze wydała jej się wyjątkowo wyrazista, albo kiedy gwizdek na czajniku zagwizdał dziwnie przenikliwie, Kaśka nie potrafiła uciec od kilku prostych, banalnych, ale wciąż tak trudnych pytań.

- Więc co to będzie, babciu? Wiesz może? Powiedziałyś mi coś.
- Ech, córcia, już ty tam coś wykombinujesz.

Rozdział 29.

Od pamiętnego telefonu odebranego w barcelońskiej kawiarni, telefonu, który zastał Kaśkę rozkołysaną, a zostawił rozdeptaną, imię Elpidy na wyświetlaczu dzwoniącej komórki niezmiennie wprawiało ją w lekki niepokój. Relacje między nimi były dobre i serdeczne, ale przesadą byłoby twierdzenie, że nic się w nich nie zmieniło, przynajmniej od strony Kaśki. Wciąż była pod wielkim urokiem Greczynki, cieszyła ją i zachwycała jej radość życia, dodatkowo teraz podkrecona rozwijającym się w niej macierzyństwem, radością, jakim Elpida ją obdarzała, przywiązanie, jakie jej okazywała. Widziała, jak bardzo jest jej potrzebna. Elpida nie miała w Polsce żadnej innej przyjaciółki, uwielbiała rozmawiać z Kaśką, zwierzać się jej, opowiadać o wszystkim. Ufała jej bezgranicznie... No właśnie.

Ich przyjaźń kwitła i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ostre ząbki robaczka, który podgryzał korzonki tej pięknej rośliny.

Nie mogła w pełni odwzajemniać szczerości i otwartości Elpidy, bo była w ich relacjach strefa zakazana, strefa zero, obszar, w którym doszło do eksplozji, odgradzony od reszty życia policyjną taśmą. *Ground Zero*. Tam obowiązywały inne zasady: przemilczenia, uniki, nieszczerości, półprawdy, żywe kłamstwa. Obowiązywały jedną z nich. Bo tylko jedna widziała policyjną taśmę.

Nie była to sytuacja łatwa. Kaśka brnęła w nią, bo zależało jej na Elpidzie, na przyjaźni, bo nie chciała Greczynki krzywdzić, bo bała się dewastującego działania szczerości. „Co się stało, to się stało – mówiła sobie – już nic złego więcej się nie dzieje, więc może uda się uchronić tę przyjaźń, może nie warto wszystkiego niszczyć”. Autentycznie obawiała się też o zdrowie Elpidy, o efekt, jaki nagłe ujawnienie całej prawdy mogłoby mieć dla jej ciąży. Egoizm mieszał się tu z troską o bliską osobę, strach przed własnym upadkiem w oczach wiernej przyjaciółki z odpowiedzialnością za los matki i dziecka. I ojca...

I oto teraz cały ten splot emocji, cały mocno zaciśnięty węzeł objawił się Kaśce w postaci hasła „Elpida”, które pojawiło się na ekranie komórki leżącej na kuchennym blacie w mieszkaniu przy Noakowskiego. Kaśka stała

w kuchni i robiła kanapki na kolację.

– Cześć, Elpida. Jak się masz?

– Dzień dobry. Możesz rozmawiać, Kaszka? Nie jesteś zajęta?

– Nniee... – odpowiedziała, przeciągając nieco to słowo i spoglądając na sok wyciekający na deskę do krojenia z przeciętego na pół pomidora.

– Chciałam porozmawiać z tobą. O Jacku. Coś się dzieje.

Nie czas żałować pomidorów... Kaśka przeniosła się do pokoju i usiadła na krześle przy stole.

– Co takiego? Co się dzieje z Jackiem? Coś mu się stało? – spytała, czując przyspieszone bicie serca.

Te pytania zadziałały jak karabinowy wystrzał w górach, gdzie zalegają masy śniegu, czekając na okazję, żeby się przekształcić w lawinę.

– Coś się stało. Tak czuję. Ale nie, że jakiś wypadek – odparła Elpida.

A potem jej opowieść zaczęła nabierać tempa. Opowieść o Jacku, który się zmienił. Zmienił się, bo nie zachowuje się tak jak do tej pory, wiesz, Kaszka? Kaśka nie wiedziała.

– Ale na czym to polega? – chciała się dowiedzieć.

Więc Elpida poskarżyła się, że Jacek zrobił się jakiś obcy, mniej czuły, inaczej z nią rozmawia, a czasem w ogóle nie rozmawia, tylko włącza telewizor albo komputer i zabawia się jakimiś grami... (*Pewnie ma już ten dodatek do Wiedźmina, o którym mówił Andrzej – przemknęło Kaśce przez myśl*). Elpida wyliczała przyjaciółce różne sytuacje ilustrujące przemianę, o której opowiadała. Nie były to jakieś rzeczy drastyczne i bolesne, na każdą z nich z osobna można było machnąć ręką albo pomyśleć, że Jacek akurat miał zły humor albo nie najlepiej się czuł. Jednak takich zachowań – zdaniem Elpidy – zebrało się w ostatnich tygodniach tyle, że stawały się powoli nowym sposobem bycia. Wszystko obracało się wokół jednego motywu: że Jacek nie jest już tak zaangażowany i zainteresowany jak wcześniej, nie poświęca życia z Elpidą i ich wspólnym sprawom tyle uwagi, ile poświęcał, traktuje ją jako jeden z obowiązkowych elementów dnia codziennego, jak pracę, sprzątanie albo zmywanie naczyń... Nadal był wobec swojej żony dobry i serdeczny, nic złego, Kaszka, ale trochę jakby nieobecny, jakby jego myśli wędrowały gdzieś indziej, jakby rozmyślał o czymś... albo o kimś...

– I jeszcze, wiesz, Kaszka, jest... inny seks. Też taki... granie na komputerze.

– Elpida, mężczyźni różnie reagują na ciężę swoich partnerek. Może to o to

chodzi? Przecież ty też się zmieniałaś. Pewnie masz inne hormony, inaczej pachniesz, feromony, no wiesz... I psychika. Niektórzy faceci mówią, że kobieta w ciąży jest tabu, którego nie potrafią dotknąć – Kaśka próbowała udawać doświadczoną.

– No tak, ale to nie dlatego... Tak czuję. On jest trochę inny w ogóle. Wiesz, Kaszka, boję się... że on kogoś ma innego. Inną.

– No coś ty! – Kaśka krzyknęła, jakby się oparzyła, dotykając rozgrzanego palnika kuchenki.

Co miała powiedzieć? Jak zareagować? Zapewniać Elpidę, że to niemożliwe? Całkiem wykluczone? Jacek – nigdy? Mogę ci to zagwarantować.

Lawina sunęła już w najlepsze po zboczu, a wciąż jeszcze zagarniała nowe masy zalegającego śniegu.

– Bo wiesz, Kaszka... Ja już dawniej miałam problem... z Jackiem.

„O Boże...” – jęknęła w duchu Kaśka. Nie była pewna, czy w głosie Elpidy nie słyszy wzbierających łez, choć nigdy wcześniej nie widziała jej płaczącej. Ale też kiedy miała wcześniej płakać? Przy rozmowach o Jamesie Bondzie? Przy greckich kolacjach albo żartach na temat wyboru imienia dla dziecka?

– Jaki problem, kochana? – zapytała Kaśka na głos.

– Wiesz, zanim przyjechałam do Warszawy na stałe... – Elpida zaczęła kolejną opowieść.

Kiedy pozostawali w stanie narzeczeństwa na odległość – po pierwszym przyjeździe Elpidy do Polski, kiedy się poznali, a przed podjęciem przez nią pracy w warszawskiej Radzie Przedsiębiorców Greckich – udało im się dwukrotnie spotkać. Najpierw Jacek spędził w Atenach tydzień, który upłynął im na bardzo miłym upewnianiu się, że poprzednio wcale się nie pomylili i szalenie się kochają. Dwa miesiące później Elpida przyjechała do Warszawy na wstępną rozmowę o pracy. Mieszkała wtedy przez trzy dni u Jacka. Nie musieli się już o niczym upewniać, bo wszystko dobrze wiedzieli, więc ze smakiem konsumowali wzajemne zauroczenie i zafascynowanie. Byli bardzo szczęśliwi. Tyle że pewnego popołudnia, kiedy Jacek wyszedł zrobić zakupy, a Elpida pitrasila coś w jego kuchni, rozległ się dzwonek do drzwi. Elpida nie była pewna, co ma zrobić, ale jako osoba dobrze wychowana postanowiła otworzyć. Trzymała zresztą przy tym w ręku drewnianą łyżkę lekko upapraną sosem. W drzwiach stała atrakcyjna kobieta, trochę od niej starsza. Na widok Greczynki zareagowała tak, jakby zobaczyła Aleksandra Macedońskiego – i to z nagim mieczem, a nie łyżką. Wykrztusiła z siebie coś,

co nieznająca jeszcze polskiego Elpida zinterpretowała jako „J... ja... ja jestem Lucyna. Czy Jacek jest w domu?”. Elpida odpowiedziała po angielsku, że Jacek wróci za pół godziny, po czym mniej pewnym głosem zapytała Lucynę, czy chce poczekać. Ta jednak, popatrując to na czarne loki Elpidy, to na drewnianą łyżkę, pokręciła bez słowa głową, po czym odwróciła się i zbiegła po schodach.

Pół godziny później Elpida rozmawiała z Jackiem o niespodziewanym gościu. Nie była to przyjemna rozmowa. Jacek, wyraźnie zmieszany i zaskoczony, na przemian to usiłował rzecz bagatelizować, to robił z Lucyny wariatkę, która się do niego przyczepiła, to znowu opowiadał coś o dawnej przyjaźni... W sumie ułożyło się to w historyjkę o zakończonej już mniej więcej rok wcześniej krótkiej relacji, której końca Lucyna nie chce wciąż przyjąć do wiadomości, i od czasu do czasu nachodzi Jacka, namawiając go na ciąg dalszy. O którym oczywiście nie ma mowy, szczególnie od czasu, gdy w życiu Jacka pojawiła się Elpida.

Być może gdyby nie ten czas zauroczenia i zafascynowania Elpida miałyby trochę więcej wątpliwości i pociągnęłyby tę rozmowę nieco dłużej... Ale kilka tygodni później była już na stałe – i w Warszawie, i w życiu Jacka. Żadna Lucyna więcej w ich wspólnym już domu się nie pojawiła, więc Elpida machnęła ręką na tamto wspomnienie. Ale powróciło do niej teraz... I opowiedziała o nim Kaśce.

– Wiesz, Kaszka, on może nie mówił prawdy. I boję się, co jest teraz. Lucyna wróciła? Albo inna Jadwiga? – podsumowała swoje lęki.

Kaśka próbowała ją uspokajać, rozpraszać jej strach i wątpliwości. Ale nie potrafiła przecież tego robić z prawdziwym przekonaniem i zaangażowaniem. To też było jak... granie na komputerze. Cholerne, przeklęte *Ground Zero*!

W końcu rozmowa dogasła. Lawina zeszła na dno kotła. Kobiety pożegnały się, obiecując sobie spotkanie i dłuższą rozmowę w najbliższych dniach.

Kaśka odłożyła na stół rozgrzany od jej ucha i dłoni telefon i po dłuższej chwili wróciła do kuchni. Bez patrzenia w lustro wiedziała, że trudno ją odróżnić od białych ścian. Czowała, że w jej twarzy nie została ani jedna kropla krwi. Spojrzała na pomidora. W nim też nie zostało wiele soku.

Rozdział 30.

– Nie będę robić za paprotkę! – powiedziała dobitnie głosem pełnym energii i złości.

– Jaką paprotkę, Kasiu? – Rachwalski przybrał ton perswazji, jakim rodzice tłumaczą sześciolalnemu synalkowi, że te cztery ptysie, które zjadł, już wystarczą i piątego nie dostanie, bo rozboli go brzuszek. – Co ty opowiadasz? Mówisz ciekawie, znasz się na teatrze, nawiązujesz dobry kontakt z młodymi, masz wycucie sali, możesz pomóc Unerowi w sprawach językowych...

Szef Strychu wyliczał różne argumenty przemawiające za tym, żeby Kaśka też wzięła udział w spotkaniu w krakowskich Jaszczurach zaplanowanym na najbliższy czwartek.

– To dlatego chcemy, żebyś tam z nami była. – Staszek podsumował swoją wyliczankę. – My z Unerem mamy specyficzne spojrzenie na teatr, dobrze zrobi obecność kogoś z bardziej rynkowym podejściem.

– Niech Wojtek jedzie. On to wszystko załatwił. – Mała rączka wciąż uparcie sięgała po piątego ptysia.

– Wojtek jest super i będzie potrzebny, ale musi się zajmować techniką i sprawami organizacyjnymi. Poza tym ty jesteś bardziej doświadczona w takich sytuacjach. No i nie byłoby dobrze, gdyby teatr miał być sprawą facetów. Parytety, nie paprotki.

– No to weź którąś z aktorek. Też kobiety, a na dodatek znane.

– Kasiu... nie upieraj się. To fajne dziewczyny, ale... No przecież ty się lepiej nadajesz do takiego gadania. A że przy okazji jesteś ładną kobietą, to naprawdę nie twoja wina, nie zadręczaj się. – Rachwalski zachichotał ubawiony własnym żartem. – Właśnie ze względu na sprawy merytoryczne zależy mi na twojej obecności. Jak chcesz, możesz wystąpić w worku na głowie.

Tym razem i Kaśka się uśmiechnęła.

– No dobra, skoro tak uważasz... – powiedziała z rezygnacją.

Talerz z ptysiami definitywnie powędrował na najwyższą półkę spiżarni.

*

Kaśka z Wojtkiem pojechali jednym z przedpołudniowych pociągów, zainstalowali się w lokum zarezerwowanym w pokojach gościnnych Teatru Stu na Krasińskiego i poszli obejrzeć salę w Jaszczurach. Rachwański z Unerem mieli przyjechać po południu, bezpośrednio przed spotkaniem zaplanowanym na siódmą.

Kaśka nie powiedziała Staszce, jakie są rzeczywiste powody jej niechęci do uczestniczenia we wspólnym wyjeździe do Krakowa. Chodziło o jej relacje z Wojtkiem, które od tamtego seksu sprzed sześciu tygodni (Boże, czuła się, jakby to było sześć lat!) były obiektem specjalnej troski. Wojtek ze stuprocentową lojalnością trzymał się tego, co później ustalili: ani razu nie zrobił najmniejszej aluzji do wspólnie spędzonej nocy, nie rzucił ani jednego żarciku, ani razu nie postawił jej w niezręcznej sytuacji. Czuła do niego z tego powodu wdzięczność, ale przecież nie była ślepa i widziała, że tamte przeżycia w nim zostały: w spojrzeniach, które się do niej przyklejały, kiedy był pewien, że ona tego nie widzi, i odklejały gwałtownie, gdy Kaśka kierowała na niego wzrok; w sposobie, w jaki bezwiednie do niej właśnie adresował swoje uwagi w trakcie licznych strychowych narad; w automatyzmie, z jakim to w jej oczach szukał potwierdzenia swoich racji albo pochwały za udane przedsięwzięcia. Wszystko to było bardzo subtelne i ani trochę Kaśki nie krępowało; można nawet powiedzieć, że jej ta gra dość schlebiała, ale to przecież nie znaczy, że nie była świadoma kryjących się za nią cierpienie Wojtka i że nie narastały w niej jakiegoś rodzaju wyrzuty sumienia. Wojtek był w niej zakochany. Ona w nim nie. W tych dwóch stwierdzeniach zamykał się cały bezmiar ich niedopasowania.

A jednocześnie musieli ze sobą współpracować – coraz bliżej, coraz intensywniej i, co najważniejsze, coraz lepiej im to wychodziło. W ostatnich bojach w obronie Strychu zgrali się idealnie i stworzyli znakomicie uzupełniający się duet. Podpowiadali sobie nawzajem pomysły, podrzucali brakujące w dyskusji argumenty i kwestie. Fakty, które jednemu z nich umykały z pamięci, odnajdywały się w pamięci drugiego. Czuli, że mogą na sobie polegać. Kaśka miała wiele podziwu dla zaangażowania Wojtka w sprawę Strychu, dla jego pracowitości, niebanalnych pomysłów i niestandardowego myślenia. On cenił jej wiedzę, upór, wytrwałość, konsekwencję, z jaką

potrafiła przekonywać do swoich racji, wycucie rozmówców, umiejętność publicznego występowania.

Dobra atmosfera panująca między nimi w jakiś sposób promieniowała na cały zespół Strychu. Wszyscy mieli świadomość, że w obecnych, trudnych czasach bezpardonowej kampanii obrzucania Strychu błotem i podpiłowywania korzeni jego egzystencji to właśnie tych dwoje jest najaktywniejszym ośrodkiem oporu i kontrofensywy. Kaśka i Wojtek... To głównie oni kojarzyli się z nadziejami na odwrócenie skutków obskuranczej nagonki. Wojtek i Kaśka... Kaśka i Wojtek... I tylko Iwonka, widząca niewątpliwie, co się dzieje między tą parą – choć z pewnością nieznająca wszystkich szczegółów ich relacji – kręciła z dezaprobatą głową na widok szefowej, po tym jak Wojtkowi wyrywało się jakieś ciche westchnienie. Czasami zresztą ten czy ów zadawał jej gdzieś w ustronnym kącie równie ciche pytanie:

– Pani Iwonko, a Kaśka i Wojtek... to oni coś ze sobą, tego...?

– Proszę wybaczyć, ale obsługi maglownicy nie mam w swoim zakresie obowiązków – odpowiadała dumnie Iwonka.

Przy całym bowiem zgraniu zespołu marketingu, przy wszystkich podobieństwach i analogiach między dwojgiem jego głównych członków, wciąż pozostawała między nimi ta jedna zasadnicza różnica: Wojtek był w Kaśce zakochany. Ona w nim nie.

Kaśka wiedziała, że wspólny wyjazd, który na pewno będzie się wiązał ze Strychową kolacją, pobytem w hotelu i wspólnym, intensywnym, spędzonym razem dniem, może stać się źródłem różnych krępujących sytuacji. Była pewna, że Wojtek w niczym nie sprzeniewierzy się ich niepisanej umowie. Wiedziała, że może na nim polegać... Nie zrobi niczego niewłaściwego. Nawet nie zażartuje o ten-tego. A jednak nie chciała tego dnia pełnego... Czego właściwie? Pokus? Przecież to bzdura.

*

Pomysł zorganizowania dyskusji w Jaszczurach narodził się w trakcie rozmowy Wojtka Knapika z jego dobrym kumplem z krakowskiego Starego Teatru. Z Przemkiem Zwinkowskim, zwanym powszechnie Zwinką, znali się z czasów studiów w Warszawie, choć spędzili te lata na różnych uczelniach.

Zwinka bajerował dziewczyny egzystencjalnymi jazdami kulturoznawcy z Uniwersytetu Warszawskiego, Wojtek rozsnuwał przed nimi raczej uroki światowego życia u boku przyszłego, dynamicznego MBA ze Szkoły Głównej Handlowej. A poznali się w Dyskusyjnym Klubie Filmowym... Politechniki Warszawskiej, do którego obaj chodzili. Po studiach, po różnych przymiarkach i perypetiach obaj w końcu wylądowali w teatrze: Wojtek jako zastępca Kaśki w warszawskim Strychu, a Zwinka w Koordynacji Dramaturgiczno-Artystycznej Starego Teatru.

Wojtek opowiadał kumplowi o kłopotach ich teatru, zresztą sprawa była na tyle głośna w całym środowisku, że nie trzeba było wiele opowiadać. Stary też miał za sobą różne boje i kampanie wojenne, więc Wojtkowi nie trudno było tam znaleźć zrozumienie i solidarność – także dla jego pomysłów mobilizowania opinii publicznej w obronie wolności sztuki. Wiedząc o sukcesie warszawskiego seminarium, Zwinka sam zaproponował powtórzenie podobnego zdarzenia w Krakowie. Przez kolegów z Jaszczurów załatwił korzystne warunki wynajęcia klubowych pomieszczeń; miał w tym zresztą jeszcze swój dodatkowy, własny interes: zależało mu na kontakcie z Unerem Kernesem, bo chciał go namówić na udział w pewnym wspólnym projekcie teatralnym w Krakowie. Wkładał zaś w to Strychowe przedsięwzięcie bardzo cenne dobra: informację o zdarzeniu i jego promocję za pośrednictwem wszelkich kanałów, którymi dysponował Stary Teatr. Dzięki temu można było mieć nadzieję na frekwencyjny sukces – także internetowej transmisji spotkania.

Spotkali się w Pod Jaszczurami o drugiej we troje: Kaśka, Wojtek i Przemek Zwinkowski. Zwinka był zaprzyjaźniony z całą obsługą klubu, pomógł Wojtkowi zorientować się w różnych sprawach technicznych, które mogły mieć znaczenie w trakcie spotkania. Kaśka trochę się powymądrzała co do aranżacji estradki dla dyskutantów, rozstawienia krzeseł, sposobu oświetlania. Spotkanie miał prowadzić redaktor Wrona, dziennikarz redakcji kulturalnej lokalnego radia. (Kaśka, usłyszawszy kolejne animalne nazwisko, zaczęła się odruchowo zastanawiać, w jakiej komórce organizacyjnej radia powinien pracować redaktor Krzysztof Wrona zgodnie z „doktryną rosomaka”. „Kulturalna Witryna”? „Kulturalne Wiadomości”? Zgrabniej „Wiadomości Kulturalne”, ale wtedy Wrona Krzysztof, a tego żaden kulturalny redaktor nie napisze sobie na wizytówce). W trakcie spotkania Wojtek miał się między innymi zajmować śledzeniem pytań oraz komentarzy napływających od

słuchaczy przez internet i przekazywaniem ich po przefiltrowaniu prowadzącemu. Porozmawiali o sprawach technicznych i organizacyjnych, uzgodnili, co było do uzgodnienia, po czym około wpół do czwartej Kaśka z Wojtkiem postanowili pójść coś zjeść. Zwinka poradził im gruzińską restaurację blisko Rynku, ale sam z nimi nie poszedł, wykręcając się obowiązkami. Mieli się znów zobaczyć bezpośrednio przed spotkaniem. Strychowcy ruszyli do knajpy we dwoje.

No właśnie. To był jeden z tych momentów, których Kaśka się bała. Nie chciała już rozmawiać o sprawach teatru. Wojtek chyba też. Tęskniła za ich dawnymi pogaduszkami o życiu, rodzicach, perypetiach słoika... Na przykład o facecie, emerytowanym wojskowym, konsekwentnie usiłującym wygonić Wojtkę z miejsca parkingowego, które pan major zupełnie bez żadnej racjonalnej przyczyny uznał za swoją wyłączną własność. Miejsce było tak samo jego, jak i każdego innego mieszkańca osiedla, ale ilekroć Wojtkowi zdarzyło się je zająć, znajdował rano za wycieraczką kartki z wykaligrafowanymi napisami. „PARKUJ U SIEBIE POD STODOŁĄ, ŁOBUZIE”. „KROWĘ TEŻ TU ZAPARKUJESZ?”. „CHAM NIEMYTY!”. Wojtek miał już w domu całą kolekcję tej twórczości. Kiedyś organizowali w Strychu seminarium na temat mowy nienawiści i obwiesili teatralne foyer różnymi przykładami zjadliwego hejtu pochodzącego z różnych źródeł; kserokopie prac dzielnego wojaka też znalazły wśród nich należne miejsce.

Właśnie takich historyjek, wspomnień rodzinnych, studenckich, romansowych pełno było zawsze w opowieściach Wojtkę, które z wesołym albo nostalgicznym uśmiechem przekazywał Kaśce w trakcie ich niespiesznych rozmów. Ona miała dla niego z kolei swoje historyjki – o rodzicach, koleżankach, dziewczynskich fascynacjach, przygodach i wpadkach, ważnych filmach, książkach i koncertach. Miała, tak, kiedyś miała. A teraz wszystkie gdzieś pouciekały. Oboje się za nimi rozglądali. Szukali ich między swoimi słowami, między spojrzeniami, oddechami. Ale znajdowali głównie nostalgię za dawną radością, za dawną swobodą.

I wciąż szukali, także kiedy już doszli do gruzińskiego fast foodu, usiedli, naradzili się, co zamówić, przekazali swój wybór kelnerce... W końcu Kaśka poczuła, że za chwilę może się od tych poszukiwań poryczeć. Na wszelki wypadek poszła do łazienki. Kilka wdechów, trochę zimnej wody i sporo doświadczenia sprawiły, że zdołała wrócić do stolika w jednym kawałku. Postanowiła wyjść z zakłętą kręgu.

– Jak twoja mama? – spytała, starając się mówić spokojnym i pewnym głosem. – Doszła do siebie po operacji?

Pytanie można by uznać za najnaturalniejsze na świecie, ale było to chyba pierwsze osobiste zdanie wypowiedziane przez którekolwiek z nich od tamtego dnia, gdy Kaśka zamknęła ich dotychczasową rozmowę słowami „Ale próbujmy się tak zachowywać, jakby nic się nie zdarzyło, dobrze?”. Zobaczyła teraz w oczach Wojtka wdzięczność za to, że owo pytanie zadała. Premia za odwagę. Jego też najwyraźniej męczyła ta dziwna sztywność panująca między nimi.

Zaczął opowiadać o mamie, jej zdrowiu, zagrożeniu, które nie minęło, i o tym, jak sytuację znosi ojciec, jak go to dodatkowo przygnębia, jak gorzkniej i dziwaczej... Stosunkowo bezpieczny temat zdrowia rodziców (nie do końca bezpieczny, bo przecież WTEDY przyjechał do niej prosto z Ostrołęki, gdzie towarzyszył ojcu w czasie operacji mamy i bezpośrednio po niej) sprawił, że tama puściła: Wojtek znów zaczął opowiadać, a Kaśka – jak dawniej – stała się dobrą przyjaciółką, uważnie słuchającą o kłopotach przyjaciela.

Oboje byli świadomi, że dzieje się coś ważnego.

W pewnym sensie właśnie wtedy i tam – przy stoliku utrzymanego w brązowych tonacjach gruzińskiego baru – udało im się poodnajdywać to, co ostatnio pogubili, pozbierać to, co im się rozsypało, odzyskać to, za czym tęsknili. Jeden z „niebezpiecznych momentów” tego wyjazdu, których tak bardzo obawiała się Kaśka, momentów niejasnych pokus i zagrożeń, okazywał się właśnie skutecznym lekarstwem na schorzenie, które ich trapiło. To, co nie udawało im się w dobrze znanej scenerii chińczyka, kebabu czy OBIADÓW DOMOWYCH – JAK U MAMY, udało się nad resztkami placka *chaczapuri* i pierogów *chinkali*.

Miała znów przed sobą Wojtka lekko zamyślonego, z nostalgiczną mgiełką w oku, z uśmiechem jak z opowieści Hrabala, cierpliwie rysującego prostymi, celnymi słowami obraz mamy, taty, ostrołęckie podwórko, szpitalny korytarz, odgarniającego od czasu do czasu opadające na czoło włosy. A on miał przed sobą oddaną, lojalną przyjaciółkę, w której się na dodatek kochał.

Kiedy wyszli na ulicę, oboje rozpierała radość. Kaśka poczuła się na tyle swobodnie, że wsunęła rękę pod ramię Wojtka i oparła się lekko o niego. Szli jak para na randce. Po kilkudziesięciu metrach, widząc bardzo po krakowsku wyglądającą cukiernię, Kaśka powiedziała:

– Chodź jeszcze na kawę. Mamy czas.

A wtedy zadzwoniła Lala, żeby przeprowadzić inspekcję. Kaśka, nagle wybita z rytmu opowieści Wojtka ostrym dźwiękiem i wibracją komórki, miała dość rozumu, żeby – zobaczywszy, kto dzwoni – mocno docisnąć telefon do ucha. Dobrze zrobiła, bo dzięki temu do Wojtka być może nie dotarł świdrujący głos jej przyjaciółki, pytającej:

– Nie robisz nic głupiego?

Rozdział 31.

Od czasu, gdy Kaśka – przybita, załamana i zapłakana – zadzwoniła do Lali i zawiadomiła ją o swoich marcowych wyczynach z Jackiem i Wojtkiem oraz o sytuacji, w jakiej się znalazła, minęło już prawie sześć tygodni. Lala zachowała się wtedy jak wzorowa przyjaciółka. Nic nie komentowała, zakazała Kaśce wychodzić z domu, wsiadła do taksówki, przytomnie zgarniając jeszcze z domowego barku dwie butelki wina, przyjechała na Noakowskiego i wbrew oczekiwaniom i obawom przyjaciółki nie powiedziała jej ani jednego złego słowa.

Kobiety spędziły ze sobą całe popołudnie, na zmianę przytulając się i obejmując, popijając wino, jedząc kanapki, które donosiła z kuchni Lala, i rozmawiając. Kaśka trochę popłakiwała, ale nie za dużo. Widać miała tę historię już wcześniej dobrze opłakaną. Opowiedziała Lali wszystko, na tyle szczegółowo, na ile miała ochotę. Lala o nic ważnego nie wypytywała, pozwoliła przyjaciółce się wygadać i samej decydować, o czym chce mówić, a o czym nie. Nie komentowała też, ograniczyła się do drobnych pytań porządkujących całą historię. Z rzeczy bardziej zasadniczych zainteresowało ją właściwie tylko, czy Kaśka nie obawia się, by tak rzec, trwałych owoców którejs z erotycznych przygód. Nie całkiem uspokoiły ją zapewnienia przyjaciółki, że to bardzo mało prawdopodobne. Potem, kiedy Kaśka opowiedziała o tamtym dniu, w którym z oboma swoimi kochankami ustaliła reguły dalszego postępowania, Lala popatrzyła na nią z wielkim podziwem.

– To ci dopiero pigułka dzień po... – skomentowała z uznaniem.

Spiły się dość skutecznie. Kiedy Kaśka skończyła swoją opowieść, zaczęły mówić o innych sprawach, właściwie mało ważnych. Ktoś niewtajemniczony mógłby uznać, że cała ta historia nie wywarła na Lali zbyt wielkiego wrażenia, jakby wysłuchała dość obojętnej opowieści o kimś słabo znanym, dalekim... Oczywiście tak nie było, tylko dawała tu o sobie znać błogosławiona powściągliwość w operowaniu słowem, która w obu przyjaciółkach brała górę w chwilach naprawdę istotnych i nabrzmiątych emocjami. Podobnie było przecież wtedy, przed laty, kiedy pewnego letniego dnia wracały o świcie z willi na Mokotowie, nie zamieniając ze sobą ani słowa o zdarzeniach dla

nich obu ważnych.

Teraz też przesiadziały resztę wieczoru, rozmawiając trochę o Kaziu – synku Lali i Sławka – trochę o Barcelonie, z której Kaśka dopiero co wróciła, trochę o Strychu, trochę o niczym. Tylko częstość, z jaką Lala niby mimochodem obejmowała przyjaciółkę, przylepność spojrzeń, które jej rzucała, i determinacja, z jaką potrzasała asymetryczną grzywką przy kolejnych potyczkach z kieliszkiem wina świadczyły o tym, że sytuacja jest wyjątkowa. W końcu Kaśka wyjęła dla niej z szafy długi, nocny tizert, a z szafki w łazience nową szczoteczkę do zębów. Lala niezwykle zapobiegliwie uprała na następny dzień majtki i przyjaciółki zwały się do łóżka – objęte i wypełnione wzajemną miłością.

To, czego Lala pożałowała sobie w trakcie tamtego popołudnia i wieczoru z Kaśką, zaczęła nadrabiać dzień lub dwa później.

– Wiesz, cały czas się nad tym zastanawiam. Jesteś kompletną idiotką – napadła na przyjaciółkę przez telefon w trakcie którejś z pierwszych Strychowych narad po ukazaniu się tekstu Szumali.

Kaśka nie mogła z nią wtedy rozmawiać, więc Lala zadzwoniła za godzinę. I za dwie godziny. Dzwoniła jak opętana. Na początku głównie po to, żeby Kaśkę zadręczać wyrzutami, wymyślać jej od idiotek. Była w tym oczywiście troska i niepokój o przyjaciółkę, ale przybierały one formy naprawdę trudne do zniesienia.

W końcu Lala przestała zgłaszać pretensje, tylko zaczęła Kaśki pilnować.

„Muszę się wziąć za ciebie” i „Ja cię z tego wyciągnę” stały się najczęściej wypowiedzianymi przez nią kwestiami. Kaśka wiedziała oczywiście, że i ta faza minie, że jest to kolejna forma, jaką u Lali przybrał niepokój i zmartwienie losami przyjaciółki, nie potrafiła się na nią denerwować, ale często miewała dość, kiedy – tak jak teraz, na krakowskiej ulicy – ni z tego, ni z owego słyszała w telefonie przenikliwy głos Laleczki:

– Tylko nic tam głupiego nie kombinuj!

Lala uważała, że Jacek jest podłym niegodziwcem. Nie wyobrażała sobie, żeby Kaśka w ogóle mogła się jeszcze zastanawiać nad jakimikolwiek kontaktami z nim. W tej kwestii zresztą w zasadzie między przyjaciółkami panowała zgoda. Ale Lala była też wrogo nastawiona do Wojtka. Uważała, że przyjaciółka powinna sobie znaleźć kogoś całkiem innego, nowego, spoza dotychczasowych układów służbowych czy towarzyskich. Obawiała się, że ciągła fizyczna bliskość Wojtka i wspólne zaangażowanie obojga w działania

zawodowe „blokuje” Kaśkę, uniemożliwia jej wypływanie na nieznane łowiska, odciąga od nowych możliwości.

Kaśka nie całkiem to rozumiała.

– A dlaczego właściwie ty go tak nie lubisz? – pytała czasem. – Przecież to fajny facet.

– Co, znów cię do niego ciągnie? Nie możesz wyjść z tego kręgu? Poszukać kogoś nowego, w kim byś się zakochała? Kto jest wolny, uczciwy, przyzwoity, komu na tobie zależy...?

– Laleczko, no właśnie, przecież ty mówisz o Wojtku. Wszystko się zgadza, poza tym moim zakochaniem. Ale wiesz, że to nie takie proste. – Kaśka droczyła się z nią bardziej przez przekorę niż z autentycznej potrzeby przymierzania się w wyobraźni do własnej roli u boku Wojtka.

– Oj, nie denerwuj mnie. Już ja się za ciebie wezmę.

Elementem tego brania się był i ten popołudniowy kontrolny telefon, który zastał Kaśkę przy wejściu do krakowskiej cukierni. Akurat w chwili, gdy między nią a Wojtkiem zaczęła wracać wątła jeszcze nutka poprzedniej bliskości... „Dobrze, że nas nie widzi” – pomyślała Kaśka, która dopiero co wysunęła rękę spod ramienia swojego towarzysza. Wojtek wszedł do cukierni, ona stała jeszcze chwilę na ulicy, obiecując Lali, że zadzwoni wieczorem i zda jej szczegółową relację z przebiegu dnia.

– Tylko pamiętaj! – napomniała ją przyjaciółka i rozłączyła się, najwyraźniej tylko po to, żeby po dziesięciu sekundach zadzwonić ponownie.

Kaśka z politowaniem pokręciła głową.

– Tak, Laleczko? – rzuciła w telefon z lekko kwaśnym uśmiechem.

– Kasiu, bardzo się za mną stęskniłaś? – spytał zdumiony Rachwański.

On to bowiem dzwonił, żeby powiedzieć, że idą z Unerem pieszo od dworca PKP i za chwilę będą w Rynku.

Kaśka wrzasnęła „O Jezu!” i zaczęła się histerycznie śmiać. Kiedy przestała, usłyszała w telefonie:

– Kasienko, ani Jezus, ani żadna laleczka. To ja, Staszek. Dobrze się bawicie?

Umówili się w cukierni, do której Kaśka właśnie weszła za Wojtkiem. Staszek z Unerem dotarli po dziesięciu minutach. Po wspólnym espresso i serii żartów wszyscy czworo przeszli dystans mniej więcej dwustu metrów dzielący ich od Jaszczurów.

*

Sala w trakcie spotkania sprawiała wrażenie, że urąga wszelkim standardom przeciwpożarowym i przepisom o bezpieczeństwie imprez masowych. Zajęte były wszystkie miejsca siedzące, nawet dostawione w ostatniej chwili krzesła, trochę ludzi siedziało też na podłodze pod ścianami. Jeszcze dziesięć minut przed siódmą nie zanosilo się na taki tłum, Kaśka była nawet zmartwiona, czy spotkanie nie okaże się frekwencyjną klapą. Ale w ciągu kolejnego kwadransa sala się zapełniła i kiedy dziesięć po siódmej prowadzący zaczął uciszać widownię i przedstawiać gości, Kaśka po raz kolejny z satysfakcją pomyślała o sile portali społecznościowych. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że zadziałało tu nie samo hasło „Strych” ani nawet „Strych w potrzebie”, ale raczej „Teatr w potrzebie” i „Brońmy wolności”.

Tak czy owak zaczęło się dobrze. Na początek na dużym telebimie odtworzono kilka fragmentów zarejestrowanej w trakcie premiery Strychowej wersji *Cenerentoli*, po czym jako pierwszy zabrał głos Uner Kernes, który posługując się swoją zabawną i sympatyczną polszczyzną naszpikowaną angielskimi i niemieckimi słowami, bez większego trudu złapał kontakt z publicznością. Opowiedział o założeniach spektaklu i swoim odczytaniu niewątpliwie kontrowersyjnego tekstu Olivera Dabescha.

Potem przemówił Staszek Rachwalski, który starał się odnieść spektakl Kernesza do ogólnej linii artystycznej Strychu. Przyjął dość osobisty ton – mówił do ludzi, których większość była od niego sporo młodsza, jak weteran niejednego boju o rozumienie teatru i swobody twórczej. Przypomniał różne dawne spory między „tradycjonalistami” a „rewolucjonistami”, teatralne przełomy, które rozgrzewały niegdyś współczesnych do białości, a po których nie zostały już dziś w zasadzie żadne emocje. Powiedział kilka zdań o posługiwaniu się teatrem i sztuką w walce politycznej, doświadczeniach lat dwudziestych i trzydziestych w Niemczech i stalinowskiej Rosji, *Dziadach* i Marcu 1968 roku, „normalizacji” sztuki w Czechosłowacji po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego. Najmniej mówił o aktualnej nagonce na Strych – tak jakby chciał uświadomić słuchaczom, że to tak naprawdę nic nowego, że pewni ludzie po prostu co jakiś czas wchodzą w role napisane już dawno temu, z ochotą angażują się w rytuały wznawiane po raz nie wiadomo który.

Na koniec tej części spotkania wystąpiła Kaśka, która – inaczej niż Staszek

– skoncentrowała się głównie na najnowszej akcji propagandowej wymierzonej w Strych. Przygotowała sobie krótki przegląd co bardziej soczystych wypowiedzi z mediów – także kilku bardzo konkretnych wezwań sformułowanych przez czytelników niektórych portali („Spalić zawszoną budę!”, „Ogolić te kurwy na łyso!”, „Pokażmy temu Turkowi i jego kumplom, gdzie jest ich miejsce”). Te słowa robiły wrażenie i podczas ich odczytywania w sali znów zrobiło się całkiem cicho. Kaśka otwarcie powiedziała o zagrożeniach, jakie cała ta kampania stwarza dla teatru – i dla fizycznego poczucia bezpieczeństwa pracowników, i dla jego finansowej egzystencji. Zakończyła słowami, które w trakcie jednej z ich narad wypowiedział Wojtek i które stały się niejako mottem całej Strychowej kampanii mobilizowania opinii publicznej: „Teatr jest dla ludzi. Jeśli ludzie potrzebują naszego teatru, niech go bronią”.

Potem prowadzący oddał głos publiczności. Oczywiście nie wszyscy mówili jednym tonem. Pojawiały się różne poglądy. Padały dobrze znane argumenty o demoralizacji, o kalaniu wartości, obrazie uczuć religijnych, dziwactwach.

Uner próbował z nimi rzeczowo i spokojnie dyskutować. Mówił o tym, że archetypowa opowieść o Kopciuszku, będąca odwieczną metaforą uciśnienia i wyzysku, nie musi być odczytywana dosłownie. Dzisiaj to uchodźca, przedstawiciel mniejszości seksualnych czy religijnych albo człowiek nieradzący sobie z własną płcią może uchodzić za symbol wykluczenia i upokorzenia, a potęga globalnego kapitału, zorganizowanej religii czy medialnych kampanii staje się ucieleśnieniem opresji. I nie ma w tym chęci obrażenia kogokolwiek, tylko czasy się zmieniają, a z nimi kierunki pewnych wektorów działających w społeczeństwie.

Zdarzyło się też kilka wypowiedzi o charakterze czysto rasistowskim, ale ich głosiciele zostali wybuczani przez widownię. Z argumentami typu „A dlaczego z Mahometa się nie śmiejecie?” też nikt nie dyskutował.

Większość jednak wyraźnie sympatyzowała z postawą Strychu i świetnie odczytywała argumenty Unera, Staszka czy Kaśki, której udzieliła się wysoka temperatura dyskusji. Od czasu do czasu Wojtek przekazywał pytania zadawane przez internautów. Wbrew początkowym obawom Kaśki i jej kolegów proporcje wypowiedzi anty- i prostrychowych były wśród komentarzy z sieci zbliżone do głosów z sali.

W pewnej chwili wstał młody mężczyzna, chyba poniżej trzydziestki,

w okularach i jasnoniebieskiej kamizelce.

– Trudno mi to zrozumieć – zaczął nieco stremowany. – Ja właściwie nie pamiętam PRL-u, ale przecież słyszało się tyle opowieści, czytało się tyle wspomnień... Przecież... – Rozejrzał się nieco bezradnie po zebranych i na chwilę zamilkł. Może trochę dłużej niż na chwilę; Kaśka zaczęła się obawiać, że chłopaka zje trema, i szykowała się, żeby jakoś przyjść mu z pomocą. Okularnik się jednak odetkał. – Przecież te spory już się odbyły. Że sztuka musi służyć. Że musi być nasza. Ta dyskusja już się toczyła. Czy znowu musimy ją wałkować?

Staszek wstał ze swojego miejsca, żeby odpowiedzieć.

– Proszę pana, nic nie jest dane raz na zawsze. Nic. Nie ma nic raz na zawsze – powtórzył dobitnie. – To chyba najważniejsza nauka, jaką wyniosłem i z tych kilku dekad zajmowania się teatrem, ze swojej pracy i przede wszystkim ze swojego życia. Staralem się o tym powiedzieć wcześniej. Nic nie jest dane raz na zawsze... – powtórzył znów. – Co pewien czas kolejne pokolenia muszą odrobić swoją lekcję. Całkiem od nowa. Nie ma żadnej zbiorowej mądrości. Nic się nie kumuluje. Przychodzi taki czas, że diabeł, który już niby siedział pod kluczem w jakimś lochu, wyłazi na świat i zaczyna po nim latać z toporem w ręku. I trzeba mu stawić czoło. Całkiem od nowa. – W sali zapanowała kompletna cisza, słyhać było tylko wyraźnie poruszonego Staszka, który nieczęsto używał patetycznych słów. Teraz widać przysła jego pora. – Co pewien czas wybuchają te same spory, te same awantury, ludzie walą się po mordach w tych samych sprawach. Zło nie ginie raz na zawsze. Ani dobro nie zwycięża raz na zawsze. Każde pokolenie musi walczyć o swoje, całkiem od nowa. Wasze też. Teraz jest czas waszej walki. Nasze dawne boje nie mają z tym nic wspólnego. Musicie przejść to wszystko od nowa. Po swoim.

Cisza trwała jeszcze chwilę, a kiedy stało się jasne, że Staszek skończył, rozległy się oklaski. Ucichły, kiedy odezwał się prowadzący, redaktor Wrona, mówiąc, że to dobry moment, żeby podziękować gościom i zakończyć spotkanie. Wtedy znów rozległy się oklaski, ludzie wstali i długo jeszcze bili brawo. Jak w prawdziwym teatrze.

*

Byli bardzo zadowoleni z przebiegu spotkania.

Siedzieli w restauracji specjalizującej się w kuchni korsykańskiej, którą polecił Przemek Zwinkowski. Kaśka czuła przyjemne oszołomienie. Wypuszczający ją z objęć stres i zdenerwowanie, poczucie odniesionego sukcesu, wypity na początek kolacji kieliszek białego wina... Nie była jedyną kobietą w towarzystwie: po zakończeniu dyskusji w Jaszczurach redaktor Wrona wydzwonił swoją żonę, która do nich dołączyła. Przez dłuższą chwilę omawiali samo spotkanie, relacjonując Ani Wronie co ciekawsze sytuacje. Zaśmiewali się z wpadek tych, którzy próbowali atakować Strych czy współczesną sztukę w ogóle z pozycji „Bóg-honor-ojczyzna”, powtarzali trafne riposty strony przeciwnej, rekapitulowali celne argumenty Staszka, stonowane i spokojne wypowiedzi Unera o założeniach jego pracy, rzeczowe uwagi Kaśki. Zarówno frekwencja w klubie, jak i dane o uczestnictwie internautów, temperatura w sali i wypowiedzi dyskutantów w sieci – które Wojtek wciąż kompulsywnie przeglądał na swoim smartfonie – nie zostawiały wątpliwości: spotkanie było zdecydowanym sukcesem Strychu i jego przyjaciół. Gdyby tylko merytoryczne argumenty miały rozstrzygające znaczenie...

W pewnej chwili Staszek uniósł kieliszek i wzniosł toast:

– Chciałem wam wszystkim podziękować. Mam szczęście, że w Strychu zebrali się ludzie tak oddani teatrowi jak Kasia i Wojtek. Mam szczęście, że współpracujemy z tak świetnymi artystami jak Uner, mam szczęście, że Strych ma takich sojuszników jak nasi krakowscy przyjaciele. Zdrowie teatru!

Mimo uśmiechów i chrząkania, które miały pokryć zakłopotanie, czuło się, że biesiadnicy są poruszeni i przejęci. Nikt nie miał ochoty nic dodawać do słów Staszka. Naraz Zwinka ni z tego, ni z owego, patrząc na wzniesione wielkie kieliszki z czerwonym winem, powiedział:

– Wiecie? Ale takie kieliszki się trudno myje. Mam podobne.

Wszyscy się roześmiali, po czym rozmowa zeszła na różne domowe obyczaje. Okazało się, że poza małżeństwem Wronów oraz Staszkiem, który mieszkał z żoną – postacią nieco mityczną: wielu o niej słyszało, ale mało kto ją widział – reszta towarzystwa to aktualnie single. Temat zmywania, sprzątania i w ogóle samotnego prowadzenia gospodarstwa okazał się więc bardzo nośny i każdy miał jakąś pożyteczną radę dla innych. Zmywanie naczyń najwyraźniej dokuczało wszystkim. Ku zainteresowaniu ogółu z ciekawą doktryną w tej sprawie wystąpił Wojtek.

– Kiedy się dociera do końca zapasu talerzy, sztućców i kubków i nie ma już gdzie wstawić brudnych naczyń, są dwa wyjścia. Jedno jest radykalne i prymitywne: pozmywać. Wymaga czasu, wysiłku, no i jest takie... barbarzyńskie.

Zawiesił głos. Przy stole zapadła kompletna cisza, wszyscy czekali na dalszy ciąg, a Wojtek w tym czasie z irytującym spokojem maczał kawałek bagietki w oliwie, którą podano im do spróbowania na czas czekania na zamówione potrawy.

– No mów! – Nie wytrzymała Kaśka. – A to drugie? Wyrzucasz i kupujesz nowe?

– No co ty, Kasiu, to dopiero byłoby barbarzyństwo. I koszty. Drugie wyjście to włączyć program $n + 1$.

– Co takiego?

– Program $n + 1$. Polega to na tym, że od chwili, gdy wprowadzam ten program, obowiązuje zasada, że wszystkie nowo zabrudzone naczynia są myte natychmiast po użyciu, a do tego dochodzi umycie przynajmniej jednej brudnej sztuki ze zlewu. Na przykład: brudzisz w czasie kolacji talerz, nóż, widelec i kubek. Musisz to umyć od razu, a do tego dokładasz na przykład jedną łyżeczkę. Daje ci to dwie rzeczy: po pierwsze wiesz, że sytuacja już się nie będzie pogarszać, po drugie masz pewność, że za jakiś czas wszystkie naczynia zostaną umyte. Może to potrwać, ale skutek jest gwarantowany. I to bez jednorazowej napinki. Właściwie kiedy ogłaszam program $n + 1$, mam już poczucie, że problem naczyń zniknął.

– I to plus jeden może być zupełnie dowolne? – zainteresował się redaktor Wrona, łypiąc na żonę.

– Zupełnie. Oczywiście na początku wybierasz łyżeczki po herbacie, ale w końcu musisz dojść do garnka po przypalonym gulaszu. Nieważne, byle być o jedną sztukę do przodu. O, czasem, jak mnie nachodzi fantazja, to myję nawet plus dwa albo plus trzy, ale to już na ochotnika. Programu $n + 1$ nie wolno odwołać, dopóki wszystkie naczynia nie są pozmywane. Po paru dniach masz już tego tak dość, że za każdym myciem dokładasz jeszcze parę sztuk, żeby to się szybciej skończyło. W końcu zlew jest pusty, naczynia poukładane w szafkach. Nawet nie zauważyłeś wysiłku i wracasz do normalnego życia.

Towarzystwo się zadumało, każdy próbował przymierzyć w wyobraźni system $n + 1$ do swojej sytuacji.

Kaśkę rozczuliła ta opowieść. Wyobraziła sobie Wojtka obmyślającego

w samotnym życiu różne doktryny tego typu... Wiedziała, że to wszystko żart, zabawa, ale z sympatią spojrzała na swojego współpracownika, który akurat odgarniał z czoła spadające włosy.

– Wojtek, a jak z kobietami? – zaczął go Zwinka. – Też masz jakiś system? Bez wysiłku, a skutecznie?

Wojtek uśmiechnął się dobrotliwie.

– Jeszcze do tej pory tak nie było, żeby mi zalegały w zlewie. Albo w wannie. Jak kiedyś do tego dojdzie, na pewno zastosuję $n + 1$ – powiedział.

Dwaj kelnerzy z tacami, na których nieśli zamówione dania, pojawili się w samą porę.

*

Staszek z Unerem szli przodem. Kiedy cała Strychowa czwórka dotarła już na trzecie piętro Teatru Stu, gdzie mieściły się pokoje gościnne – brak windy był główną niedogodnością tego skądinąd bardzo sympatycznego lokum – obaj mężczyźni odwrócili się, pomachali ciągnącym się nieco z tyłu Wojtkowi i Kaśce, po czym weszli każdy do swojego pokoju.

Wojtek doszedł z Kaśką pod jej drzwi i oboje na chwilę przystanęli.

– Dobranoc, Kasiu – odezwał się, obrzucając ją czułym spojrzeniem. – Długi dzień za nami.

– Dobranoc – odpowiedziała. – Dzięki za wszystko. – Wspięła się lekko na palce, objęła go za szyję i pocałowała w policzek. – Super było. Dziękuję. Mam jeszcze jakąś zaległą lekturę. Widzimy się jutro o ósmej trzydzieści.

Umówili się z pozostałą dwójką, że rano wybiorą się gdzieś na śniadanie i potem pójdą na dworzec, żeby wracać do Warszawy.

– Dobranoc. Do jutra. – Wojtek pogłaskał ją po jasnych włosach, odwrócił się i poszedł do swojego pokoju.

Wszedłszy do siebie, Kaśka zablokowała zamek, przekręcając dwukrotnie pokrętko i zasuując mały skobel, zsunęła buty, po czym oparła się plecami o drzwi i stała dłuższą chwilę, smakując zmęczenie, satysfakcję, rozbawienie, dobrą kolację i... I coś jeszcze.

Weszła na chwilę do łazienki, zrzuciła z siebie dziennie-służbowy strój i włożyła jeden z ulubionych nocnych tiszertów. Nalała sobie szklankę wody z kranu, a z małej walizeczki na kółkach, którą przywiozła do Krakowa,

wyjęła beżową, papierową kopertę formatu A4. Usiadła w fotelu i położyła nogi na niskim stoliku, który stał przed nim. Odchyliła lekko wygniecione skrzydełko koperty, sięgnęła do środka i wyjęła plik białych kartek. Na pierwszej widniał tytuł i nazwisko autorki:

IRENA KRZEMIŃSKA
STŁUCZONA FILIŻANKA
Opowiadania

„Hm, skąd wiedziałaś, Irenko, że filiżanka się stłukła?” – pomyślała Kaśka i odsłoniła pierwszą stronę tekstu.

Dopiero teraz była w stanie wziąć te opowiadania do ręki. Jeszcze wkładając je do walizki w Warszawie, nie miała pewności, czy da radę do nich usiąść. „Dzień przełomów” – przemknęło Kaśce przez myśl. Niezależnie od wszystkiego była winna tę lekturę nieznannej nastolatce. Zaczęła czytać.

Rozdział 32.

Siedzieli w kilka osób w gabinecie Staszka Rachwalskiego i zastanawiali się, czy przeprowadzona na początku tygodnia w Strychu kontrola przeciwpożarowa była elementem akcji nękającej i czy należy się teraz spodziewać kontroli skarbowych, inspekcji pracy, sanepidu i NIK-u. To też był niezły sposób, żeby wykończyć jakąś instytucję, a w każdym razie skutecznie ją sparaliżować. Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do gabinetu wpadł Wojtek Knapik. Wypatrzył wśród zebranych Kaśkę i krzyknął do niej:

– Solecki! Pamiętasz?

Kaśka zamrugała, energicznie przeszukując w głowie fiszki z notatkami. Bezskutecznie.

– Mietek! – krzyknął do niej jej zastępca.

– Wojtek, piłeś w pracy? – spytał go Rachwalski.

– Mietek Solecki – powiedziała spokojnym głosem Kaśka, u której trybiki zaskoczyły, a na ekranie pojawiła się informacja, że chodzi o kolegę starego Knapika z Ostródy. – Jachty.

– Obojeście pili? – dopytywał Rachwalski.

– Mietek. Ostróda – potwierdził Wojtek.

– Co to, kurwa, jest?! – wrzasnął Staszek całkiem już poirytowany.

– Już tłumaczę. – Wojtek starał się zapanować nad emocjami. – Już tłumaczę...

I przedstawił zebrany trailer serialu „Mietek Story”, pomijając takie na przykład informacje, jak pomylenie przez bohatera Ostrołęki z Ostródą. No i oczywiście zaspoilerował cały serial, bo opowiedział zakończenie.

– Ojciec do mnie dzwonił... Rozmawiałem z nim parę razy ostatnio o naszej sytuacji, a on opowiedział wszystko Mietkowi. No i Mietek – zawiesił głos na chwilę – postanowił wesprzeć Strych. Dotacją. Pół bańki.

– Jakiej bańki? – spytał przytomnie Staszek.

– Pół miliona. Pięćset tysięcy złotych. Na rozwój i naszą działalność.

Kaśka rozdziawiła buzię nie mniej szeroko niż pozostali zebrani.

Wojtek przesunął spojrzenie po kolei z twarzy na twarz. Po dłuższej chwili milczenia Rachwalski pierwszy odzyskał język w gębie.

– No to wygląda na to, że Mietek właśnie uratował nam wszystkim dupy. A właściwie Wojtek...

– Mietek powiedział staremu, że skoro on nic od niego nie chce przyjąć, to przynajmniej w ten sposób mu pomoże, wspierając jego syna i jednocześnie kulturę narodową. Jezus Maria, nie wiem, czy facet choć raz w życiu był w teatrze.

Spojrzenie Kaśki mówiło wszystko. Długie tygodnie walki... Ramię w ramię, pierwsza linia... Sukcesy, porażki... Szczęśliwe zakończenie. Przynajmniej na razie. Patrzyła na Wojtka, jak odgarniał opadające na czoło włosy. Był przejęty, rozradowany, szczęśliwy. Mówił niby do wszystkich, ale przede wszystkim spoglądał na nią, na jej reakcję, jakby to jej składał w darze tę wiadomość, jakby to był głównie prezent dla niej. Wojtek...

– Ale stawia warunki. Chce, żebyśmy od czasu do czasu przyjechali do Ostródy z jakimś spektaklem. Na dni Ostródy i może jeszcze drugi raz w roku. Ma jakieś swoje układy z burmistrzem, chce mu dać darmową działalność kulturalną, a w zamian liczy na jakiś jego rewanż... Nie wiem dokładnie...

– Jezioro Drwęckie... Ładne miejsce – rzuciła Klara Wojczkowa, jedna z aktorek, związana ze Strychem od samego początku.

Staszek wstał, otworzył drzwi do swojego gabinetu i zwrócił się z pytaniem do sekretarki:

– Halinka, jest jeszcze jakiś koniak z czasów świetności tego teatru?

Kaśka podeszła do Wojtka. Napięcie ostatnich tygodni, wysiłki, zmartwienia. Ciągłe byli razem, tyle wspólnie przeżyli. Wspierali się, pomagali sobie, sprawdzili się nie wiadomo ile razy. Byli blisko. Nie umiała tego inaczej podsumować, nie chciało jej się zresztą. Zrobiła to, co było najprostsze i na co miała największą ochotę: przytuliła się do niego na chwilę i objęła go mocno. A on ją.

Do pokoju weszła sekretarka Halinka, niosąc tacę z kilkoma kieliszkami i butelką.

– Koniaku nie ma – powiedziała. – Jest hiszpańska brandy. Prezent od dyrektorki z Barcelony. – Popatrzyła znacząco na Staszka.

Ten z kolei przyjrzał się stojącej blisko siebie parze.

– To co my właściwie będziemy oblewać? – spytał z zadumą w głosie.

Rozdział 33.

Opowiadania były naprawdę niezłe. Lepsze niż niezłe. Zdziwiło ją to, bo spodziewała się egzaltowanej, młodzieńczej prozy pensjonarki, a trafiła na dojrzały tekst osoby sprawnie posługującej się bardzo plastyczną polszczyzną, umiejącej rysować postaci, budować klimat, kleić całkiem spójną fabułę. Irenka Krzemińska stworzyła kilka krótkich, błyskotliwych opowiadań, w których wykazała się zmysłem obserwacji obyczajowej, słuchem językowym i poczuciem humoru. Zadziwiające, ale to wszystko naprawdę było w jej prozie. Szczególnie tytułowa *Stłuczona filiżanka* zrobiła na Kaśce wrażenie tekstu pisanego przez dojrzałą autorkę, a nie przez dorastającą dziewczynę przechodzącą przez okres psychicznej trzęsączki. Nie ulegało wątpliwości: panna Irenka miała talent i dobre pióro. Musiała – po prostu *musiała* – ten talent rozwijać. Grzech byłoby zmarnować takie zdolności. Kaśka bardzo chciała ją wesprzeć, przekazać jej swoje pochwały i zachęty. Niezależnie od tego, w jakich okolicznościach dostała jej opowiadania, Irenka K. najzwyczajniej w świecie zasługiwała na wsparcie.

Kaśka usiadła więc późnym wieczorem do laptopa, otworzyła nowy dokument, który zaczęła od słów *Droga Ireno*, a pod tym nagłówkiem spisała systematycznie i cierpliwie wszystkie swoje refleksje. Znalazły się w jej liście także uwagi krytyczne dotyczące pewnych potknięć językowych, ale przede wszystkim były tam pochwały i zachęty – wszystko przekonująco ilustrowane cytatami z tekstu.

Kaśka już dawno nie pisała niczego tak rzetelnie, w skupieniu i na poważnie. Bo czuła, że adresatka na to zasługuje. Czuła, że pisze coś ważnego.

Zajęło jej to bitą godzinę. Skończyła i... no właśnie. Co zrobić z listem do panny Ireny Krzemińskiej? Uświadomiła sobie, że nie ma jej adresu mejlowego. Spojrzała jeszcze raz na zawartość beżowej koperty, ale ani na stronie tytułowej, ani końcowej, ani na żadnej innej stronie tekstu Irenka nie zapisała adresu. Kaśka pomyślała, że wydrukuje list i wyśle go zwykłą pocztą, ale adresu pocztowego też nie zamieszczono.

No cóż... Nie było innej rady. Zapisała dokument w pamięci komputera i ułożyła krótki e-mail do Jacka, dołączając plik Irena_K_opowiadania jako

załącznik.

Jacku,

przeczytałam opowiadania Twojej bratanicy. Sporo to trwało, ale chyba rozumiesz, że niełatwo było mi zabrać się za lekturę. Opowiadania są bardzo dobre. Naprawdę. Powiedziałabym, że świetne, gdybym nie bała się przesady. Irenka ma talent i koniecznie powinna go rozwijać. Jeśli chciałaby się ze mną spotkać, chętnie z nią porozmawiam. Mogę ją też umówić z naszym kierownikiem literackim. A na razie przekaz jej, proszę, moją recenzję, którą zamieszczam w załączniku.

Irenką naprawdę warto się zająć.

Pozdrawiam

Kaśka

PS Wydruk oddam przy okazji.

*

Zadzwoił do niej nazajutrz przed południem, kiedy była w Strychu.

– Kasiu, bardzo ci dziękuję za ciepłe słowa o Irence.

– Napisałam szczerą prawdę. Ma dziewczyna talent.

Nie w smak jej była ta rozmowa. Nie wiedziała, po co Jacek dzwoni. To, co napisała, było wystarczająco jasne i klarowne, nie wymagało dalszych rozmów. Chciał podziękować? No to podziękował. Teraz niech spada.

– Była bardzo szczęśliwa, kiedy przeczytała twoją opinię. – Najwyraźniej nie miał ochoty spadać.

– Cieszę się. Daj jej mój telefon, niech zadzwoni, to porozmawiamy.

– Dobrze. Dzięki. Dam jej na pewno... Kasiu...

– Tak, słucham.

– A co poza tym?

– Poza tym? Poza tym to nic.

– Bo wiesz... Często o tobie myślę. I o tym, co się wydarzyło. I jak to wszystko wyszło. Często, naprawdę.

Przypomniała sobie, co mówiła jej niedawno Elpida, przypomniała sobie jej smutny głos i słabo skrywane zdenerwowanie. Przejęła się wtedy słowami przyjaciółki, ale – choć wiedziała, co prawdopodobnie kryje się za niepokojącym Elpidę zachowaniem Jacka – nie czuła tak bezpośrednio, że to

o nią chodzi, że to ona właśnie stanowi centrum tego maleńkiego układu słonecznego, w którym już cały polsko-grecki duet planetarny krąży wokół blondgwiazdy. Teraz, słysząc dziwne słowa Jacka wypowiedziane nietypowym dla niego, rozchwianym tonem, poczuła dobitnie, jak bardzo to jej dotyczy. I zaczęła się zastanawiać, co się stanie, jeśli grawitacja w tym nieopisanym jeszcze przez astronomów układzie będzie się zwiększać, słońce zacznie przyciągać coraz mocniej, orbity planet zacieśnią się i oba krążące wokół niej ciała niebieskie znajdą się bliżej... i bliżej... I coraz bliżej... W końcu musi przecież nastąpić katastrofa. Czy wszyscy na siebie pospadają i dojdzie do wielkiej eksplozji...?

Przerażona nagle tą wizją przywołała się do porządku.

– Jacek! Nasza umowa chyba obowiązuje, prawda?

– Tak, tak... – odpowiedział jakby spłoszony. – Jasne. Tak tylko chciałem pogadać... Masz ten wydruk?

– No mam, napisałam ci, że go oddam, jak się kiedyś spotkamy. We troje.

– A masz go przy sobie?

– Taak... mam. – Istotnie rano włożyła beżową kopertę do torby i przyniosła do swojego biura. Miała pomysł, że pokaże opowiadania Irenki jeszcze jednej czy dwóm osobom, więc wolała mieć je pod ręką w teatrze.

– Bo wiesz, mógłbym na chwilę wpaść po niego. Do Strychu, żeby nie było dwuznacznie.

Z jakiegoś powodu Kaśka wpadła w panikę. A zresztą wiedziała, z jakiego powodu: wyobraziła sobie Jacka wchodzącego do jej pokoju w teatrze i mijającego się w drzwiach z Wojtkiem. Strasznie byłoby głupio... Dla wszystkich. Głównie dla Wojtka. Nie, za wszelką cenę musiała oddalić niebezpieczeństwo, że Jacek przyjedzie do niej do Strychu!

– Nie, to niedobry pomysł. Nie mam dziś czasu.

– Ale to byłoby niekrępujące. I tylko na chwilę. Kasiu...

– Nie, nie, dzisiaj nie.

Była coraz bardziej spanikowana i rozdrażniona. Tą rozmową i jego głosem, i słowami, że o niej myśli... Myśli? Tęskni...? Musiała zapobiec jego wizycie w Strychu. Musiała. Zafiksowała się na tym.

– Nie, wiesz, dziś nie. To może... wpadnij do mnie jutro do domu. Tak około siódmej. Dam ci te opowiadania.

Uff. W ten sposób przynajmniej uzyskała pewność, że nie przyjedzie do teatru.

Nie miał zamiaru przyjeżdżać do teatru, skoro zaprosiła go na jutro do domu. Milczał przez chwilę.

– Dobrze, Kasiu. Jutro przyjadę. O siódmej.

Rozdział 34.

Ktokolwiek liczył się w polskim teatrze – był tam. Musiał być. Tego roku rozstrzygnięcie kolejnej edycji nagrody Dobra Scena po raz pierwszy odbywało się w przestrzeniach Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Ze względu na piękną i ustabilizowaną od kilku dni czerwcową pogodę organizatorzy zdecydowali się przenieść część recepcyjną do ogrodów BUW-u, w których rozstawiono kilka dużych namiotów. Na początku zaś we wnętrzu budynku miała się odbyć krótka część oficjalna, sprowadzająca się właściwie do ogłoszenia komunikatu jury o laureatach w kilku kategoriach konkursowych.

Strych reprezentowany był przez Staszka Rachwalskiego, dwóch związanych ze Strychową sceną aktorów – Włodka Mikosza i Pawła Korbińskiego – oraz Kaśkę. Przez chwilę znów wydawało się, że będzie to ekipa czysto męska. Znana i popularna Joanna Grodecka była za granicą. Innym paniom też się jakoś nie składało...

– Takie czasy nastały, że ludzie się nie wrywają, żeby się z nami pokazywać – zauważył kwaśno w swoim gabinecie Staszek, kiedy ustalali, kto pójdzie na uroczystość w BUW-ie.

W końcu Rachwalski, narażając się na wściekłe spojrzenia i oskarżenia, że jest seksistą i zwolennikiem poglądu o kobietach-paprotkach, powiedział, patrząc na swoją dyrektorkę marketingu:

– Musi to jakoś wyglądać. Kasiu, pamiętaj, że idziesz z nami. Nie pójde z samymi ponurymi wujkami.

Szli jak na ścięcie. Nie robili sobie złudzeń. Wiedzieli, że w atmosferze nieustannej nagonki „obrońców tradycyjnych wartości” – którzy przykleili Strychowi naklejkę z napisem „Gorszyciele. Pseudoartyści. Zdrajcy religii i narodu” – i w obliczu zmian personalnych w jury nagrody, pozostała im raczej dobra mina niż Dobra Scena.

– Nieźle będzie, jak w komunikacie jury nie zostaniemy przedstawieni jako pedofile – podsumował ich nastroje Staszek.

Nowa przewodnicząca jury, redaktor Kostrzewska, która kilka miesięcy wcześniej zastąpiła na tym stanowisku schorowanego weterana teatralnego Rafała Golińskiego, znana była wszystkim ze swoich tradycyjnych upodobań.

Kaśka dodatkowo miała wrażenie, poparte doświadczeniami wielu bezpośrednich spotkań, że budzi w krytyczce portalu Proscenium.pl jakąś osobistą niechęć. W tej sytuacji próbowała nawet przekonywać Staszka, że jej obecność na gali w BUW-ie może zaszkodzić Strychowi, ale Rachwalski machnął tylko ręką.

– Moja droga, przecież decyzje są dawno podjęte, teraz już nic nam nie zaszkodzi, nawet jak Kostrzewskiej wylejesz na głowę filiżankę kawy.

Przygnębienie Rachwalskiego i jego niewielkiej trzódki dodatkowo wzmocnił na samym wstępie widok Pawła Szumali udzielającego przed wejściem do BUW-u wywiadu reporterowi, który trzymał mikrofon z napisem TV Otwarta. Szumala – człowiek, który jak mało kto jednoosobowo zaszkodził Strychowi, uruchamiając kampanię napaści i pomówień skierowanych przeciwko jednej z najbardziej nowoczesnych scen stolicy – spojrzał na przechodzącą czwórkę z pogardliwym uśmieszkiem. Odpowiedziały mu pełne niechęci spojrzenia Kaśki i Staszka oraz Mikosza i Korbińskiego. Staszek zwolnił kroku, jakby zastanawiał się, czy nie wykorzystać tej sytuacji i obecności kamer telewizyjnych do urządzenia małego skandalu. Kiedyś znany był z upodobania do bulwersujących zachowań. Z tych czasów pamiętał go najstarszy w ich gronie Paweł Korbiński. Przez chwilę obaj z Korbą patrzyli sobie ze Staszkiem w oczy, wążąc pewne myśli. W końcu Rachwalski machnął ręką i przyspieszył kroku.

– Zestarzałeś się, Stachu – rzucił za nim Korbiński. – Kiedyś byś mu nie przepuścił.

Dyrektor naczelny Strychu coś zamamrotał pod nosem, na tyle niewyraźnie i cicho, że Kaśka nie była pewna, czy słowa szefa naprawdę brzmiały „A chuj z nim”.

Oczywiście nie wszyscy w środowisku przyłączyli się do atmosfery nagonki wszczętej przez Szumalę i kręgi „obrońców wiary i wartości”. Staszek i inni ludzie Strychu spotykali się też z przejawami solidarności i poparcia. Puszczano do nich oko, poklepywano po ramieniu, „Trzymajcie się”, „Nie przejmujcie się tymi durniami”, stukano się w czoło, opowiadając o „tamtych”. Ale to najczęściej prywatnie, w niedużym gronie, czasem ktoś coś napisał na Facebooku. Staszek jednak słyszał też od swoich znajomych o losach kilku środowiskowych inicjatyw, na przykład zbierania podpisów pod listami biorącymi w obronę atakowanych artystów. Jeden z takich listów ujrzał światło dzienne, choć liczba podpisów pod nim nie rzucała na kolana.

W kilku innych przypadkach inicjatorzy sami rezygnowali, widząc nikłe poparcie. Czym innym było krzepiące słowo rzucone na przyjęciu albo podczas spotkania u kogoś w domu, czym innym publiczne wystąpienie. Przecież tylu ludzi zależnych było od dotacji, sympatii sponsorów, życzliwości urzędów i instytucji, angaży, zleceń, przychylności mediów...

Jako autorom przedstawienia zgłoszonego do konkursu wyznaczono im miejsca we frontowej części sali, najbliżej podestu, na którym ustawiono krzesła dla członków jury Dobrej Sceny. Kiedy przechodzili wąską alejką między tym sektorem a częścią zarezerwowaną dla VIP-ów, Kaśka usłyszała, jak ktoś ją woła.

– Pani dyrektor! Pani Katarzyno!

Odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał głos. Machał do niej sympatycznie uśmiechnięty wiceprezes Ratajczak z Alpha Amsterdam Bank. Kaśka podeszła do niego. Ratajczak wstał ze swojego krzesła i Kaśka zauważyła, że z sąsiedniego krzesła podnosi się znany jej już specjalista Rosomak.

– Miło panią widzieć, pani dyrektor. To ważny dzień – powiedział Ratajczak, uśmiechając się znacząco i ściskając jej dłoń.

– O tak, dla całego polskiego teatru, a dla niektórych szczególnie. – Kaśka weszła w konwencję zaproponowaną przez bankowca.

– Chyba poznała już pani naszego piarowca, pana Rosomaka – powiedział Ratajczak, wskazując swojego podwładnego.

– Oczywiście. Pan Rosomak Paweł. Relacje Publiczne – powiedziała Kaśka, wyciągnęła dłoń i zaczęła się nerwowo śmiać ku pewnemu zaskoczeniu obu przedstawicieli AAB. Stłumiła ten chichot po krótkiej chwili i próbowała zatrzeć dziwne wrażenie, jakie zrobiła. – Przepraszam panów, mój szef opowiedział przed chwilą dowcip, no i właśnie go zrozumiałam. Z opóźnieniem, jak to blondynka.

Wszyscy troje nieco sztywno się do siebie uśmiechnęli, po czym Kaśka – nieczuła na zachęty Ratajczaka, żeby zdradziła im, co to za dowcip – przeprosiła obu mężczyzn i dołączyła do czekającej na nią reszty Strychowej ekipy.

Obietnica jednorazowej dotacji od Mietka Soleckiego i pieniądze uzyskane dzięki społecznościowym działaniom Kaśki i – głównie – Wojtka, pozwalały co prawda odsunąć na pewien czas widmo rychłego zagłodzenia Strychu, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że nie są to rozwiązania długofalowe. Dlatego

rozstrzygnięcia, które miały dziś zostać ogłoszone, były dla ich teatru naprawdę istotne. Dobra Scena liczyła się w teatralnym świecie i na jego obrzeżach: wyznaczała mody, wpływała na gust publiczności, otwierała drzwi urzędów oraz kasy firm i instytucji. W ubiegłych latach Strych był kilkakrotnie nagradzany w poszczególnych kategoriach, ale nigdy nie zdobył najłystszej kaska – nagrody za premierę roku. Rachwański już dwa razy został najlepszym reżyserem: raz, kiedy wystawili *Przyjęcie* Harolda Pintera i później za *Szklany klosz* – spektakl do tekstów Sylvii Plath. Kiedyś nagrodzono strychową scenografię z *Tanga* Mrożka. Najlepszą aktorką została w ubiegłym roku Grodecka jako Szosza w adaptacji powieści Singera.

W tym roku faworytami byli teatralni klasycy, poprawni wyznawcy tradycji, niesienia kaganka i służby narodowi. Takie wiały wiatry w urzędach i mediach, zwolenniczka takiego teatru została szefową jury Dobrej Sceny. Trudno się więc było dziwić, że Staszek i jego trzódka trwali raczej w nastroju oczekiwania na egzekucję niż na ogłoszenie wyników.

Niemalże murowanym faworytem do głównej nagrody, Dobrej Sceny za premierę roku był w powszechnej opinii *Beniowski* Słowackiego w inscenizacji Teatru Morskiego w Gdańsku. Przedstawienie wpisywało się w aktualne trendy – było dostatecznie tradycyjne, nobliwe i niekontrowersyjne. I nudne, dodawali niektórzy z przekąsem. Ale nie była to ocena sprawiedliwa, bo w produkcji Morskiego było kilka rzeczywiście cennych elementów. Przede wszystkim gra aktorów, z wielką rolą Marka Sudoła – typowanego zresztą do zwycięstwa w kategorii „najlepsza rola męska”. Poza tym intrygująca scenografia, dość nowatorskie odczytanie tekstu przez reżysera i trochę nietypowe rozłożenie akcentów, ciekawe rozwiązania, jeśli chodzi o ruch sceniczny... No a poza tym wiadomo: „Słowacki wielkim poetą był”... A klasyki dziś, panie szanowny, na scenach nie za dużo...

Punktualnie o osiemnastej na podest wyszło dziewięcioro członków jury. Jako ostatnia szła redaktor Kostrzewska – w doniesieniach na temat jej pracy w jury Dobrej Sceny przedstawiana zresztą jako doktor Kostrzewska w nawiązaniu do jej teatrologicznego doktoratu obronionego wiele lat wcześniej. W związku z tym Staszek mawiał o niej „redaktor Kostrzewska”. Swoim zwyczajem wyglądała jak skrzyżowanie przeoryszy z inspektorką skarbowki. Prosty strój, stonowane kolory, skromna fryzura, żadnych ozdób, żadnego makijażu, żadnych bzdur. Staszek z Kaśką spojrzeli po sobie i z wyrazem kompletnej rezygnacji na twarzach opadli głębiej na oparcia

krzesel.

Kostrzewska stanęła przy mikrofonie ustawionym na środku podestu, mając po swoich bokach po czworo jurorów, i otworzyła prostą tekturową teczkę, z której wyjęła kilka kartek. Przywitała zebranych, przedstawiła pozostałych jurorów, a także sponsorów i fundatorów nagrody, po czym zaczęła odczytywać końcowy komunikat z obrad jury.

Nie było niespodzianek. Żadnych ozdób, żadnego makijażu, żadnych bzdur. Pewniaki dochodziły do mety na pierwszych pozycjach. Kostrzewska odczytywała wyniki w poszczególnych kategoriach, po czym nagrodzeni wchodzili na podest, odbierali stosowne dyplomy, wygłaszali lepiej lub gorzej wypracowane podziękowania i schodzili, okazując mniej lub bardziej spontaniczną radość. Najbardziej nieoczekiwanym wydarzeniem była jak na razie chwilowa awaria mikrofonu Kostrzewskiej, szybko usunięta przez kogoś z obsługi technicznej.

– Nareszcie jakaś dobra scena – szepnął Staszek do Kaśki, po czym wszystko wróciło do normy.

Kiedy „redaktor” doszła do najlepszej roli męskiej, okazało się, że istotnie na estradę wywołany zostaje Marek Sudoł, nagrodzony za główną rolę w *Beniowskim* wystawionym przez Teatr Morski w Gdańsku. Nagroda była jak najbardziej zasłużona, ale też w pełni przewidywalna. Kaśka pomyślała, że jeśli pod przewodniczącą jury nie zarwie się podium albo na kogoś nie spadnie jakiś reflektor, cała uroczystość przebiegnie w sposób kompletnie pozbawiony pierwiastka nieprzewidywalności.

Wreszcie przyszła pora na nagrodę główną: Dobra Scena za premierę roku. Napięcie mimo wszystko wyraźnie wzrosło. Kaśka, patrząc na Kostrzewską, miała wrażenie, że szefowa jury spogląda na nią i jej towarzyszy niedoli z isierką rozbawienia w oku. Kotek i myszka... Spośród mniej więcej trzystu zebranych w sali osób jakieś dwieście dziewięćdziesiąt osiem spodziewało się, że Kostrzewska wywoła na estradę *Beniowskiego* – spektakl Teatru Morskiego w reżyserii Krzysztofa Kozuba.

I Kostrzewska wywołała na estradę *Beniowskiego* – spektakl Teatru Morskiego w reżyserii Krzysztofa Kozuba... Przedstawiciele nagrodzonej ekipy weszli na podium, odebrali dyplomy, wygłosili podziękowania. Publiczność im poklaskała dość długo i gromko, po czym można było już iść na wino i przekąski do ogrodu. Trzysta osób, tym razem już bez jednego wyjątku, czekało tylko, aż szefowa jury przybliży nieuszminkowane usta do

mikrofonu i powie:

– Proszę państwa, a teraz zapraszamy na lampkę wina.

Kostrzewska przybliżyła nieuszminkowane usta do mikrofonu i powiedziała:

– Proszę państwa... Po raz pierwszy w historii Dobrej Sceny jury postanowiło przyznać w kategorii „premiera roku” dodatkową nagrodę specjalną. Uważamy bowiem, że jest jeszcze jeden spektakl, niewątpliwie zasługujący na wyróżnienie. Tym bezprecedensowym odstępstwem od wieloletniej tradycji naszej nagrody chcemy uhonorować przedstawienie, które dzięki swojemu nowatorstwu, oryginalnemu charakterowi i twórczemu, krytycznemu stosunkowi do europejskiej spuścizny kulturowej, a przede wszystkim dzięki wybitnemu warsztatowi teatralnemu reżysera i zespołu aktorskiego, stało się na naszej scenie teatralnej powiewem świeżego powietrza. Tym spektaklem jest *La Cenerentola* Olivera Dabescha w reżyserii Unera Kernesa, wystawiona w marcu przez warszawski teatr Strych kierowany przez dyrektora Stanisława Rachwalskiego.

Kaśka nie bardzo wiedziała, jak zdołała dotrzeć w towarzystwie kolegów na estradę. Miała bowiem wrażenie, że kolejna awaria wyłączyła nie tyle mikrofon, co dopływ tlenu do jej mózgu, a reflektor, który miał spaść, zwałił się prosto na jej głowę.

*

Od dłuższej chwili stali w ogrodzie BUW-u otoczeni wianuszkami ludzi, którzy składali im gratulacje. Staszek Rachwalski wreszcie porzucił cyniczno-zgryźliwy grymas i śmiał się odprężony, ukazując całkiem inną twarz: przystojnego, wesołego i uwodzicielskiego faceta, o którym nie bez powodu mawiano „Super Glue”. Częścią tego wianuszka był rozpromieniony wiceprezes Ratajczak z nieodstępującym go na krok specjalistą od PR, a raczej RP. Nagle wianuszek w jednym miejscu pękł, brzegi tego pęknięcia się rozchyliły, a przez powstałe przejście wkroczyła energiczna jak zawsze redaktor Kostrzewska.

– Chciałam państwu jeszcze raz pogratulować nagrody specjalnej – powiedziała, ściskając dłoń Staszka, który w tym momencie przyoblekł twarz w firmowy uśmiech w wersji Super Glue Mega Power Extra Large. – To rzecz

bez precedensu w historii Dobrej Sceny, żeby przyznać dwie nagrody w jednej kategorii. Ale według mnie *La Cenerentola* w pełni na to zasługuje. Cieszę się, że udało mi się przekonać do tego kolegów z jury... Proszę przekazać moje gratulacje panu Kernesowi. Rozumiem, że nie ma go teraz w Warszawie.

– Niece... – powiedział Staszek z pewnym ociąganiem. – Nie byliśmy pewni, czy...

– Prawdę mówiąc, zaskoczyła nas ta nagroda. Nie spodziewaliśmy się – wtrąciła się Kaśka, na którą Kostrzewska właśnie przeniosła swój energiczny, męski uchwyt ręki.

– Pani dyrektor – powiedziała kwaśno jurorka, nie mogąc, rzecz jasna, darować sobie krótkiej i krytycznej lustracji biustu Kaśki – zajmuję się teatrem trochę dłużej niż pani i pewnie widziałam już więcej niespodzianek. Muszę jeszcze dodać, że poza samym spektaklem zrobiło na nas wrażenie, jak wymownie zespół potrafi o nim opowiadać i bronić przyjętych założeń.

Wianuszek utrzymywał się przez ponad pół godziny. Magia nagrody już zaczęła się objawiać. Strych błyskawicznie odrabiał straty wizerunkowe poniesione w ostatnich miesiącach.

W końcu wszyscy mieli już dość.

– Kochani, jedziemy na wódkę – rzucił w końcu Staszek do swojej ekipy. – Zapraszam. Pojedźmy do mojego brata, do Pyzy. Możemy ściągnąć jeszcze innych.

Młodszy od Staszka o pięć lat Maciej Rachwański był właścicielem niewielkiej restauracji z polską kuchnią, usytuowanej na tyłach placu Unii Lubelskiej.

– Kasiu, chcesz jechać ze mną? Pojadę autem, a potem zostawię je u Maćka na parking. Trzeba się będzie napić. Włodek, ty zabierzesz Pawła, okej?

Kaśka była całkiem oszołomiona. Wiadomością o nagrodzie, gratulacjami, wywiadami, rozmową z Kostrzewską, dwoma wypitymi kieliszkami wina, radością kolegów, perspektywą zaimprovizowanej nagle imprezy... Ale było coś jeszcze. Początkowo nie mogła sobie uświadomić co. Musiała przez dłuższą chwilę szukać w głowie, żeby zlokalizować to coś, co ją nękało właściwie od chwili, gdy usłyszała werdykt jury. Stała bezradnie na trawniku w ogrodach BUW-u, marszcząc czoło i szukała, szukała...

– No, Kasiu, jedziesz? – niecierpliwiał się Staszek.

– Tak, już, już, jadę... Muszę tylko zadzwonić.

Znalazła. Musiała zadzwonić, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Dopiero

wtedy komunikat jury się dopełnił. Dopiero wtedy wrócił dopływ tlenu do mózgu. A potem już spokojnie poszła ze Staszkiem do jego starego jeepa, którego jakimś cudem udało mu się zaparkować przy Wybrzeżu Kościuszkowskim.

Rozdział 35.

Po śledziu i zrazach z kaszą gryczaną, dwóch małych wódkach oraz paru kieliszkach wina chciało jej się pić. Sięgnęła w półśnie po stojącą na szafce nocnej szklankę z wodą i wypła wszystko z zamkniętymi oczami, po czym opadła na wznak na poduszkę.

– Pójdę już... – odezwał się cicho.

– Nie, nigdzie nie idź – odpowiedziała Kaśka zaskakująco pewnym głosem, po czym odwróciła się na bok i umościła do snu.

– Naprawdę tak ci się już chce spać? – spytał Wojtek lekko zawiedziony.

– Niemożliwie – odpowiedziała z zamkniętymi oczami. – Ale ty zostań...
Zostań – powtórzyła po chwili.

„Muszę jutro zadzwonić do Lali” – pomyślała i zasnęła.

Warszawa 2017